



ANNA KARNICKA

PARADOKS
MARIONETKI

SPRAWA
KLARY B.

 GENIUS
CREATIONS

Spis treści

- [1. Dwadzieścia przepisów na przetwory z muchomorów](#)
- [2. Szepty](#)
- [3. Druga strona](#)
- [4. Dziedzic alchemików](#)
- [5. Pod Trupkiem](#)
- [6. Najlepsze lody w mieście](#)
- [7. Podchody](#)
- [8. Stara Sprawa](#)
- [9. Kot i Ciastko podejmują trop](#)
- [10. Gwóźdź do trumny](#)
- [11. Wieczorny smutek](#)
- [12. Widmokot](#)
- [13. Nocny gość](#)
- [14. Rada Kolegium](#)
- [15. Egzamin wstępny](#)
- [16. Piekielny rajd](#)

Paradoks marionetki: Sprawa Klary B.

Copyright © Anna Karnicka

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN 978-83-7995-066-9

epub ISBN 978-83-7995-067-6

mobi ISBN 978-83-7995-068-3

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

i www.eBook.MadBooks.pl

*Dla mojej mamy, która wciąż myśli,
że to broszurka reklamująca proszek do pieczenia*

1. Dwadzieścia przepisów na przetwory z muchomorów

Widok z drzewa na przeciwną stronę ulicy był idealny. Trudno o lepszy punkt obserwacyjny.

– Ktoś idzie – zauważyła Magpie, na chwilę odsuwając lornetkę od oczu. Jackdaw wyciągnął w jej kierunku odzianą w skórzaną rękawiczkę dłoń.

– Daj popatrzeć.

– Zaraz, próbuję się zorientować, czy nasz, czy tutejszy.

– Daj popatrzeć, mówię – nalegał Jackdaw. – Sam ocenię.

Dziewczyna westchnęła i z rezygnacją podała towarzyszowi lornetkę. Poprawiła osłaniający twarz czarny kaptur i mocniej nasunęła chustkę na nos.

Jackdaw w milczeniu obserwował postać, zbliżającą się do drzwi na wprost zrujnowanego budynku. Jeśli wierzyć sztyldowi, za drzwiami znajdował się sklep z antykami.

– Nasz – orzekł wreszcie, nie odsuwając lornetki od twarzy.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Magpie.

Nieznajomy stanął na progu budynku i zaczął majstrować coś przy zamku w drzwiach.

– Maskowanie – ocenił fachowo Jackdaw. Jego czarne, złośliwe oczy były pełne satysfakcji. Podał lornetkę towarzyszce. – Do tego nieudolne. Sama zobacz, gość wygląda jak przebieraniec.

„Przebieraniec” miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarne spodnie i sięgające kolan skórzane buty. W ciepły czerwcowy wieczór jego strój wyglądał nieco absurdalnie. Włamywacz sprawnie uporał się z zamkiem i zniknął za drzwiami. Okna budynku wciąż pozostały ciemne. Puste.

– Co robimy? – zapytała.

– Nic – padła krótka, zdecydowana odpowiedź. – Mistrz kazał tylko obserwować.

Magpie z rezygnacją pokiwała głową. Nie miała dość odwagi, by sprzeciwić się rozkazom Mistrza. Nagle zamrugała. Ciemne dotychczas okna sklepu pojaśniały intensywnym, pomarańczowo-czerwonym blaskiem. Pożar. Wściekły, trawiący wszystko na swojej drodze i zupełnie niespodziewany. Żaden z przechodniów nie zwrócił na to uwagi. Nikt nie dostrzegł kłębow dymu i języków płomieni, pełzających po szybie. Nikt poza nimi dwojgiem nie słyszał syku trawionego ogniem drewna i oszalałego wycia ginącej w płomieniach duszy.

Magpie przykucnęła na gałęzi, gotowa zeskoczyć na ziemię.

– Tylko obserwować – powtórzył dobitnie Jackdaw, zaciskając dłoń na jej ramieniu. – Siedź, gdzie siedzisz.

– Ale... ale... – powtarzała z niedowierzaniem. – Cholera, co jest z tym sklepem?

Jej towarzysz tylko wzruszył ramionami.

– Dobry system alarmowy – stwierdził od niechcienia.

– Tyle to sama widzę – odcięła się Magpie. – Ale właściwie dlaczego? Co takiego jest w tym sklepie, że już trzeci albo czwarty frajer tam lezie jak ten głupi i daje się spopielić albo poćwiartować?

Chłopak popatrzył na nią z wyższością.

– Mistrz ci nie powiedział? – zapytał. Czarne oczy znów zalśniły złośliwie. – Nie zdradził ci, czemu obserwujemy ten sklep?

– Tak, wiem, jestem tylko szeregowcem, nie należę do ścisłego kręgu jego zaufanych uczniów.

– Dziewczyna wykrzywiła się cierpiętniczo. – Będziesz łaskaw uchylić rąbka tajemnicy?

– Właścicielka tego sklepu niedawno sprowadziła pewną bardzo szczególną lalkę – odparł

enigmatycznie Jackdaw. Nastolatka wzniosła oczy ku niebu.

– Mianowicie?

– Mianowicie lalkę, której posiadacz będzie w stanie obalić Pana Pieśni.

– Obalić Pana Pieśni? Niemożliwe. On... on jest przecież tak jakby bogiem, prawda?

– Tak jakby – podkreślił Jackdaw. – Znasz przecież Mistrza, wiesz ile to dla niego znaczy. Jeśli istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że coś może zaszkodzić naszemu panu i władcy, woli trzymać rękę na pulsie.

Magpie popatrzyła na niego z autentyczną zgrozą. W tym samym momencie drzwi do sklepu otworzyły się. Niska dziewczyna w letniej sukience wyszła i wyrzuciła do stojącego przed budynkiem kubła na śmieci pełną szufelkę popiołu.

– No, kocie w złocie, chyba czas pożegnać się z nerkami – powiedziała Klara, przyjaźnie klepiąc przyjaciela po ramieniu. Chłopak westchnął i jeszcze raz popatrzył na budynek, przed którym stali. Wąskie, obdrapane drzwi, odpadający tynk, upiorny pajacyk siedzący na parapecie za oknem.

– Myślisz? – spytał bez specjalnej nadziei. Klara ponuro przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Zdecydowanie – zawyrokowała. – Ta tabliczka aż krzyczy: „to pułapka, która ma zwabiać młode zagraniczne studentki szukające dorywczej pracy, by wykorzystywać je do lubieżnych celów i następnie sprzedać na organy. Uciekaj!”

– Ale ja nie jestem studentką z zagranicy – zauważył Martin. Dziewczyna przyjrzała mu się, lekko przekrzywiając głowę.

– No, kto wie... jak się tak spojrzy pod odpowiednim kątem, to trochę wyglądasz, jakbyś był.

Z tym stwierdzeniem nie mógł dyskutować. Rzeczywiście, los obdarzył go delikatnymi, niemal dziewczęcymi rysami, dużymi, ciemnoniebieskimi oczami i nieco zbyt długimi rzęsami. Bez względu na to, co robił, wyglądał jak bardzo chuda i całkiem urodziwa nastolatka. Sięgające ramion kasztanowe włosy, związane w koński ogon, wcale nie pomagały. – Ta tabliczka mówi: „Antyki, obrazy, biżuteria” – nie omieszkał zauważyć. Klara popatrzyła na niego z przyganą. Ona sama robiła wszystko, by jej wizerunek odzwierciedlał bogate wnętrze. Wysoka, dobrze zbudowana, z wygoloną połową głowy, nosiła kolczyk w brwi i tunele w uszach. A teraz jeszcze trzymała w pomalowanych czerwona pomadką ustach bardzo stylowy, czarny papieros. Mimo dość chłodnego dnia ubrana była jedynie w cienką skórzaną kurteczkę i krótką spódniczkę.

– Czytaj między wierszami – poradziła. Sięgnęła do kieszeni po paczkę papierosów. Wyciągnęła jednego i zapaliła. – Przypomnij mi, co my tu właściwie robimy i dlaczego postanowiłeś wejść do tego domu strachów?

– Już tłumaczyłem. Potrzebuję pracy na wakacje, a oni podobno potrzebują asystenta.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Zaraz, na co ci właściwie ta praca? Nie miałeś się przygotowywać do jakichś niezwykle trudnych egzaminów wstępnych do szkoły cyrkowej, do której próbujesz się dostać?

– To nie szkoła cyrkowa – odparł, usiłując przybrać srogą minę. Z jego rysami twarzy nie było to łatwe zadanie. – To uczelnia dla lalkarzy. A pracy potrzebuję dlatego, że muszę uzbierać kasę na marionetkę.

– Marionetkę? – padło pełne powątpiewania pytanie. – Czy skoro to jest niby-szkoła lalkarzy, to nie powinieneś dostać tam całego potrzebnego badziewia? No wiesz, tych wszystkich lalek albo rzeczy potrzebnych, by je zrobić?

– Teoretycznie dostanę – odparł. – Ale wymagania są takie, że jedną marionetkę muszę mieć

swoją. Podobno na jakieś specjalne zajęcia czy coś. Zamierzam uzbierać kasę przez wakacje i kupić najlepszą, jaką mają na Starym Mieście.

– Super – prychnęła, wypuszczając z ust kłęb dymu. – Szkoła dla dziwolągów, która jeszcze każe ci przywozić własny sprzęt. Przecież cena tych marionetek dochodzi do kilku tysięcy koron, sama widziałam. Za czesne zapłacisz mniej niż za to gówno.

– Nie ma żadnego czesnego. Poza tym już ci tłumaczyłem. – Popatrzył na nią poważnie. – To moje marzenie. I zrobię wszystko, żeby je spełnić.

– Jasne, jasne. No, kocie w złocie. – Lekko pchnęła go w stronę drzwi. – Skoro już jesteś tak zdesperowany, to zrób krok w stronę przeznaczenia. Gapienie się na budynek nie sprawi, że stanie się mniej straszny.

Niestety, Klarka miała rację. Martin musiał – chcąc nie chcąc – wspinać się po kilku stromych schodkach i nacisnąć klamkę. Bez skutku. Drzwi pozostały zamknięte. Sklep z antykami, który w środku dnia jest zamknięty? Zapukał nieśmiało. Po chwili znowu, bardziej zdecydowanie.

– Chwileczkę! – Dobiegł go z wnętrza budynku dziewczęcy głos. – Proszę zaczekać, już idę!

Martin nie miał zamiaru dłużej się dobijać. Nie spieszyło mu się, by wracać w nieznanne. Klara, wciąż stojąca przed sklepem, ruchem głowy wskazała na pobliski park, dając do zrozumienia, że będzie tam czekać, aż on skończy rozmowę rekrutacyjną.

Bardzo miło. Bardzo lojalnie. Dziękuję, Klarciu.

Aż podskoczył, gdy drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem.

– Czeeeeść – powiedziała stojąca w progu dziewczyna.

– Hej – powiedział dość nieśmiało Martin, odruchowo robiąc krok w tył. Nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. To była przecież pierwsza rozmowa kwalifikacyjna w jego życiu. Wyglądało na to, że potencjalna rekruterka wcale nie jest bardziej doświadczona. Bez wątplenia była młodsza od niego. Niewiele, rok, może dwa, ale nie dawał jej więcej niż siedemnaście lat.

– Jestem Martin – powiedział, ściskając wyciągniętą rękę. – Przyszedłem w sprawie...

– Stażysta – uśmiechnęła się szeroko. – Tak, wiem, słyszałam. Ciocia Petra mówiła, że przyjdiesz. A ja jak zwykle się zaczytałam i zapomniałam, że miałam tu trochę posprzątać. Dlatego tak długo zwlekałam z otwarciem drzwi. Wchodź, napijesz się herbaty.

Była bardzo drobna, raczej niska – zupełne przeciwieństwo Klarki. Sięgające ramion włosy założyła za ucho. Miały dziwną barwę, przywodzącą na myśl cynamon. Podobny kolor miały jej oczy. Wcale nie zdziwiło go, gdy dziewczyna się przedstawiła:

– Canelle. Po francusku „cynamon”.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu i posłusznie przekroczył próg. W środku sklep z antykami wydawał się większy niż na zewnątrz. Przejrzysty, zadbane i, paradoksalnie, jeszcze bardziej przerażający. Ze ścian spoglądały portrety i martwe oczy wypchanych zwierząt. Na bardzo staroświeckiej i drogiej szafce – stojąca na niej tabliczka z ceną pokazywała kilka zer – stał ogromny kubek i otwarta książka, odwrócona okładką do góry. Martin wyciągnął szyję, by bliżej przyjrzeć się tytułowi.

– *Dwadzieścia przepisów na przetwory z muchomorów* – powiedziała Canelle, stając za nim na jednej nodze i zaglądając mu przez ramię.

– Naprawdę?

– I tak, i nie. To naprawdę tytuł książki, ale nie ma w niej za dużo o przetworach.

– Nie ma przepisów? – zmartwił się. Przygotowywanie przetworów z muchomorów wydało mu się nagle wiedzą nie tylko istotną, ale i całkowicie nieodzowną. – A co jest?

– Nie no, są przepisy – uśmiechnęła się zaczepnie dziewczyna. – Ale nie z muchomorami.

– Przepisy na co?

– Na morderstwo doskonałe.

Miała szeroki, nieco niepokojący uśmiech, sprawiający, że wyglądała na kogoś, kto spokojnie mógłby trzymać za plecami rzeźnicki nóż.

– Nie rób takiej przestraszonej miny – roześmiała się nieco złośliwie Canelle. – To po prostu kryminał. O tym, że otruto kolesia właśnie za pomocą tych przetworów. Jeszcze nie wiadomo, kto jest mordercą, ale obstawiam sąsiadkę. Jest stanowczo zbyt cicha i niepozorna. Takie są najgorsze.

Martin również był tego zdania. Ostrożnie odsunął się szafki i zrobił krok w tył.

Wycofuj się cicho i niepostrzeżenie. Bądź jak cień. Bądź jak wiatr.

I wtedy ją zobaczył.

Wisiała na haku, niedaleko drzwi, i wpatrywała się w niego świdrującym, choć nieruchomym spojrzeniem. Marionetka, bez której nie wyobrażał sobie przestąpienia progu Praskiej Szkoły Lalkarzy. Wydawała się całkiem niepozorna, dość mała, łysa, naga. Idealnie pasowało do niej określenie „marionetka treningowa”.

– Widzę, że spodobał ci się nasz Daimon – dobiegł go inny głos. Mniej piskliwy niż głosik Canelle i znacznie bardziej dystyngowany.

– Nie wiedziałem, że ma imię – powiedział Martin, odwracając wzrok. Był tak zafascynowany marionetką, że nie zauważył, jak dziewczyna zaczytująca się w dziwacznych kryminałach zniknęła, a w jej miejscu pojawiła się wysoka, dostojna kobieta w czarnej sukni z wysokim, koronkowym kołnierzem. Jasnobrązowe włosy związała w ciasny kok. Oczy, tego samego koloru, co oczy Canelle, rzucały wesołe, złociste iskierki. Bez wątpienia ona i jej pracownica były ze sobą spokrewnione.

– Każda z nich ma imię, nadane przez twórcę – odparła swobodnie, poprawiając kok wystudiowanym gestem. – Kiedy już zrobisz swoją pierwszą marionetkę, też ją jakoś nazwiesz. Wraz z imieniem otrzyma własną osobowość.

– Ja... – Spuścił wzrok, zastanawiając się, skąd i jakim sposobem ta kobieta wie o Praskiej Szkole Lalkarzy. Już od pierwszego rzutu oka wyglądał na dziwaka, który wybiera się do „szkoły dla cyrkowców”? – Ile kosztuje? – wypalił.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie jest na sprzedaż. Marionetek nie sprzedaje się tak po prostu. Tego też sam się nauczysz, prędzej czy później – westchnęła. – To ty zgłosiłeś się do pomocy w sklepie podczas wakacji? Jestem Petra Althan, właścicielka.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, z rozdziawionymi ustami. To tyle jeśli chodzi o robienie dobrego pierwszego wrażenia na pracodawcy.

– M-Martin Lubovic – powiedział nieśmiało.

– Obserwowałam ciebie i Canelle. Lubisz sprawdzać, jakie ludzie czytają książki, ale łatwo cię wystraszyć – stwierdziła pani Althan, wyraźnie upajając się jego zmieszaniem i przerażeniem. – Interesujące połączenie. Może nie do końca pożądane w tej pracy, ale kto wie, kto wie... Może nas czymś zaskoczysz.

Martin uśmiechnął się pod nosem, zastanawiając się, czy powiedzieć coś w stylu „na pewno” albo „postaram się”, czy lepiej w ogóle nic nie mówić. Kobieta przyglądała mu się z coraz większym zaciekawieniem.

– W swojej aplikacji napisałeś, że interesujesz się teatrem i dramatem – powiedziała, lekko przekrzywiając głowę.

– Tak... trochę – odkaslnął. – Chodziłem na warsztaty i takie te... różne... no...

– I ubiegasz się o miejsce w Praskiej Szkole Lalkarzy – powiedziała z nutą satysfakcji. – Naturalnie, że się ubiegasz.

– Skąd pani wie? – nie wytrzymał. Wcześniej jakoś walczył z ciekawością, tłumaczył sobie, że kobieta strzela w ciemno. – Nie wspominałem o szkole.

– Nie, ale wydało mi się to całkiem naturalne – odparła, siadając przy solidnym, mahoniowym biurku. – Wiem, jakie są wymogi co do marionetek, bo nie raz ktoś już o nie rozpytywał w moim sklepie, przedstawiając tę całą nudną historię o tym, po co i dlaczego. Wiem, że idąc na tak prestiżową uczelnię chciałbyś mieć najlepszą lalkę. I wiem, że w sklepach na Starym Mieście marionetki – uśmiechnęła się sarkastycznie, wyrażając tym samym opinię o ich wartości – osiągają ceny leżące daleko poza zasięgiem przeciętnego ucznia szkoły średniej. I dlatego potrzebujesz pracy.

– T-tak – powiedział ostrożnie. To wciąż ani trochę nie wyjaśniało, czemu tak łatwo zaklasyfikowała go jako przysłego ucznia szkoły dla lalkarzy.

– Zawrzyjmy układ – zaproponowała pani Althan, uśmiechając się zawadiacko. – Ja przyjmę cię do pomocy w sklepie i nauczę wszystkiego, co potrzebne do przetrwania w tym całym... interesie. Ty będziesz pracował i wykonywał moje polecenia, a jeśli wytrzymasz do końca stażu, подарuję ci Daimona. Będzie marionetką, którą zabierzesz ze sobą na uczelnię.

– Naprawdę? – spytał. Oczy mu się zaświeciły. – Ale sama pani powiedziała, że...

– Nie jest na sprzedaż, owszem – przyznała niecierpliwie właścicielka. – Ale mogę ją przekazać komuś, kto udowodni, że potrafi odpowiednio pociągać za sznurki.

– Podsumujmy – powiedziała Klarka mniej więcej miesiąc później. Siedzieli w parku, jedząc pizzę. – Pracujesz w sklepie bez wynagrodzenia, w zamian za to, że szefowa na do widzenia da ci marionetkę?

– Ale on naprawdę jest niesamowity. Znaczą marionetka. Ma na imię Daimon. Ostatnio nawet pani Althan pozwoliła mi go zdjąć z haka i trochę z nim poćwiczyć. I obiecała, że zrobimy dokładny przegląd i dokonamy niezbędnych napraw, tak żeby Daimon był w pełni sprawny, kiedy już go dostanę...

– Gratulacje – mruknęła dziewczyna, zdejmując oliwki ze swojego kawałka pizzy. – Naprawdę, interes życia, stary.

– Nie widziałas tej marionetki – odparł, sięgając po kolejny kawałek.

– Na pewno powaliłaby mnie na kolana.

– Tam naprawdę nie jest tak źle – zapewnił. – Właściwie to nie robię nic strasznie wymagającego. To znaczy okej, czasem muszę przepchnąć jakąś szafę, przenieść coś albo pozdejmować eksponaty z półek i poodkurzać. Głównie siedzę, piję herbatę i rozmawiam z Canelle o tym, kto jest mordercą w książce, którą ona właśnie czyta. Ostatnio stwierdziła, że listonosz, ponieważ przynosił denatowi jakieś podejrzone listy. Canelle w ogóle mieszka w sklepie. Rozumiesz? W sklepie, na dole. To znaczy ona i pani Althan mają mieszkanie na górze, ale Canelle twierdzi, że zawsze chciała nocować w sklepie ze starociami. A pani Althan jej pozwala. Więc zawsze, kiedy przychodzę, Canelle na przykład je śniadanie przy którymś z tych zajebięście drogich stołów.

– Czytanie kryminałów? Jedzenie śniadania w sklepie? – spytała podejrzliwie Klara. – Wy tam nie macie w ogóle ruchu?

– No, nie za duży – przyznał. – Ale jak już przyjdą klienci, to jest na co popatrzeć. Uwierz, jeden dziwniejszy od drugiego. Zazwyczaj to pani Althan ich obsługuje. Częstoje ich domowymi

ciasteczkami i herbatą albo gorącą czekoladą. – Zignorował to, że przyjaciółka wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „narkotyki”. – Ona jest naprawdę niesamowita. Ludzie szukają totalnie zakreconych rzeczy: spreparowanych czaszek, medalionów chroniących przed klątwą, obrazów, o których krążą straszne legendy... A ona pomyśli chwilę, coś sprawdzi i nagle oświadcza, że tak, owszem, mamy to na składzie. Pewnie jakby poprosić o rękę mumii, to też by znalazła.

– Jak dla mnie to tylko kolejny powód, żeby jak najszybciej stamtąd zniknąć – zaopiniowała Klara. Uważnie zbadła swój kawałek pizzy i, upewniwszy się, że nie została tam ani jedna oliwka, ugryzła pierwszy kęs. – Skoro mają nawiedzone obrazy i trupie główki, to nie wiadomo, co jeszcze. Bo że świra, to na pewno. I jeszcze częstują czekoladą zamiast chociaż kawą, jakoś tak bardziej po ludzku...

– Wiem, że to brzmi jak z jakiegoś horroru, ale to tylko pozory. One naprawdę są bardzo miłe. Rozmawiają ze mną, opowiadają różne historie o klientach. Jest taka super domowa atmosfera.

– Tak, tak. Próbują cię oswoić i uspić twoją czujność. Nawet się nie zorientujesz, kiedy obudzisz się w wannie lodu z karteczką „nie masz nerki, dzwoń po pogotowie”.

Westchnął.

On i Klara byli przyjaciółmi z sąsiedztwa. Znali się od dziecka i kiedyś widywali prawie codziennie, a teraz praktycznie nie mieli dla siebie czasu. Martin jeździł na drugi koniec miasta do pracy w antykwariacie, a ona, ponieważ jej rodzice często wyjeżdżali za granicę, najczęściej chodziła po mieście z ludźmi poznanymi na jakimś forum internetowym. Ani razu nie skorzystała z zaproszenia, by przyjść i sprawdzić, czy sklep z antykami naprawdę jest tak upiornym miejscem, jak opowiadał Martin, co mimo wszystko nieco chłopaka irytowało. Zwłaszcza że w tym samym czasie spędzała całe wieczory ze swoimi nowymi znajomymi, włócząc się po wszystkich podejrzanych miejscówkach w okolicy. Sytuacji nie poprawiał fakt, że były to ostatnie wakacje, które mieli szansę spędzić razem. We wrześniu Klara miała wyjechać z rodziną za granicę, on zaś przeprowadzić się do centrum miasta, do internatu Praskiej Szkoły Lalkarzy.

– A co słyhać u Kota i Ciastka? – zmienił temat. Kot i Ciastko byli parą superbohaterów z komiksów Klarki. Wymyśliła ich dawno temu, jeszcze w szkole podstawowej, i wciąż rysowała, choć jak do tej pory nigdy nie udało jej się skończyć żadnego odcinka komiksu.

– Kot i Ciastko są w dupie – powiedziała z właściwą sobie prostotą, pochłaniając kolejny kawałek pizzy. Martin popatrzył na nią, nie wiedząc, czy przyjaciółka chce mu się odgryźć, czy to po prostu najlepszy opis fabuły.

– To znaczy, no... po prostu właśnie dowiedzieli się, że ich świat się kończy. – Zmrużyła oczy i przechyliła głowę do tyłu, opierając się o ławkę. – Wiesz, zafascynowały mnie ostatnio takie klimaty, to wrażenie, że zbliża się coś nieodwracalnego. Każdy gest, każde słowo może być tym zapowiadającym koniec świata. Wszystkie następne tylko przybliżają do katastrofy, której nie można zapobiec.

Martin znów na nią popatrzył, tym razem naprawdę zaniepokojony. Znał Kota i Ciastko od dawna – Klara w wielkim sekrecie pokazywała mu swoje komiksy. Nie oszczędzała swoich bohaterów i często pakowała ich w sytuacje, z których udawało im się wybrnąć w jednym kawałku tylko dzięki supermocom. Nigdy jednak jej opowieści nie brzmiały tak... ostatecznie. Nigdy nie chciała zniszczyć ich świata.

– Klara... – odkaszlnął, nie wiedząc, jak zacząć.

– Hm?

– Kim... – zawahał się – ...kim właściwie są ci ludzie, z którymi się spotykasz, żeby łączyć po

ruinach?

– To nieistotne – wzruszyła ramionami. – Ważne jest to, że teraz Kot i Ciastko mają dwa tygodnie na uratowanie świata. Albo czternaście dni do jego zniszczenia.

2. Szepty

– Martin!

Nie zdążył się uchylić przed lecącą w jego stronę poduszką.

– Au. – Odrzucił przedmiot w kierunku Canelle. – Co?

Dziewczyna pochwyciła jasek i podłożyła sobie pod głowę. Leżała na zabytkowej, skórzanej sofie. Jej bose stopy spoczywały w górze, na oparciu. Był piątek, a w sklepie panowała leniwa atmosfera letniego popołudnia. Drobiniki kurzu unosiły się w powietrzu, oświetlane wpadającymi przez okna promieniami słońca.

– Mówiłam, że mam do ciebie strasznie ważną sprawę – oświadczyła, uśmiechając się przebiegle. Dotarło do niego, że istotnie, mówiła do niego już od dłuższej chwili. – Ale widzę, że znowu odleciałeś gdzieś daleko. Cały czas martwisz się o tę twoją koleżankę? – zaciekała się.

– Aha.

Skoro nawet Canelle to zauważyła, naprawdę musiało być kiepsko. Zazwyczaj świetnie ukrywał, że coś go dręczy. Nie mógł zaprzeczyć, że martwił się o Klarę. Od tego wieczora, gdy wspomniała o poważnych problemach Kota i Ciastka, nie widzieli się ani razu. Unikała go, wynajdywała dziesiątki wymówek. Jej rodzice grzecznie go spławiali, mówiąc, że Klara jest zajęta przygotowaniami do wyjazdu albo po prostu gdzieś wyszła z przyjaciółmi.

Z przyjaciółmi, dobre sobie.

Był niemal pewien, że to właśnie nowi znajomi Klary mają związek z tymi jej dziwnymi, apokaliptycznymi nastrojami. Z każdą chwilą narastało w nim przeczucie, że coś jej grozi. „Zapach nadchodzącego nieszczęścia”. Sama coś takiego powiedziała.

– Co to za sprawa? – spytał, machając ręką, by odgonić nieprzyjemne myśli.

– Nie wiem, czy wiesz, ale ciocia Petra wyjeżdża dziś w południe – powiedziała, ściszej głoś. – Do Wiednia, po czekoladę. Nie będzie jej cały weekend, wraca dopiero w niedzielę wieczorem. Wiesz, co to znaczy?

– Oświeć mnie.

– Naprawdę się nie domyślasz, głuptasie? – Z radości aż zatarła ręce. – To oznacza, że możemy zrobić imprezę!

– Imprezę? – spytał podejrzliwie i rozejrzał się po wypełnionym starymi meblami i obrazami pomieszczeniu. – Tutaj, w sklepie?

– No pewnie. – Poderwała się na nogi. – Imprezy w sklepie są najlepsze. Zresztą, sam się przekonasz. Poznasz moich znajomych, zaproś też tę swoją koleżankę, jeśli chcesz. Może uda wam się wreszcie pogodzić! – zaproponowała wspaniałomyślnie. – Musisz koniecznie pomóc mi to wszystko zorganizować. Trzeba zrobić zakupy, przygotować coś do jedzenia, przejrzeć płyty z muzyką...

– Canelle, jesteś pewna, że twoja ciocia nie będzie zła? – spytał, spoglądając na nią zdziwiony.

– Niby o co? Przecież jej tutaj nie będzie.

Canelle, imprezy i zapraszanie znajomych – to było coś nowego. Przez ostatni miesiąc z kawałkiem znał ją jako dziewczynę, która przyjechała na wakacje do obcego miasta, mieszka w sklepie cioci, a całe dni spędza na czytaniu kryminałów, zawierających motywy kulinarne. Nie wiedział, że ma tutaj kolegów, że gdzie wychodzi i rozmawia z kimś poza nim, panią Althan i klientami. Dziwne, ale poczuł się zawiedziony. Tym, że Canelle nie była aż tak bardzo podobna do niego. On sam raczej unikał towarzystwa i nie miał wielu znajomych poza pracą i szkołą. Przyjaźnił się jedynie z Klarą, a nawet z nią nie układało mu się ostatnio najlepiej. Co nie

zmieniało faktu, że ciekawiło go, jakich znajomych może mieć dziewczyna mieszkająca w antykwariacie.

Ku jego rozczarowaniu na imprezie nie podano żadnych muchomorów ani innych wyszukanych potraw, sporządzonych według przepisów pochodzących z książek Canelle. Były oczywiście babeczki i imbirowe ciasteczka pani Althan, chipsy oraz paluszki. Pojawiło się też kilka butelek wina z sekretnej piwniczki i nalewka, przyniesiona przez jednego z przybyłych.

I byli goście. No właśnie.

Martin oczywiście nie zdołał zapamiętać wszystkich osób, które mu się przedstawiały. Nigdy nie miał pamięci do twarzy, a teraz sytuację pogarszały dodatkowo obce imiona i przezwiska. Sid, Sin, Aisling, Iskra, Piórko. I wielu innych. W pewnym momencie w sklepie zgromadziło się chyba ponad dwadzieścia osób. Więcej, niż kiedykolwiek wynosiła dzienna liczba klientów, pomyślał z pewnym rozbawieniem. Nerwowo zerkał na swój telefon. Pisał kolejne wiadomości do Klary, ponawiając zaproszenie. Dzwonił do niej. Bezskutecznie. Niepokoił się, oczywiście. Dodatkowo irytowało go, że musi radzić sobie w stresującej sytuacji bez wsparcia.

– Martin, koniecznie musisz poznać Greema – powiedziała Canelle, niespodziewanie łapiąc go za nadgarstek i ciągnąc w stronę wysokiego chłopaka, stojącego w progu. Był bardzo chudy i żylasty, co nadawało mu wygląd szkieletu z pracowni biologicznej. Mimo młodego wieku miał jedno całkowicie białe pasemko, wyraźnie odcinające się od potarganych włosów ciemnoblonde. Farba czy efekt jakichś strasznych przeżyć?

– Greem uczy się w Praskiej Szkole Lalkarzy, jest na drugim roku. A to Inga. – Canelle wskazała na towarzyszącą Greemowi dziewczynę o długich, czarnych włosach i oliwkowej cerze. – Też drugi rok. Na pewno nie raz spotkasz ich na korytarzu.

– Naprawdę? – ucieszył się Martin. Więc to dlatego pani Althan tak szybko domyśliła się, do jakiej szkoły się wybiera. Większość znajomych Canelle była w taki czy inny sposób z nią powiązana. Ciekawy zbieg okoliczności.

– Specjalnie zorganizowałaś tę całą imprezę, żeby zapoznać mnie z ludźmi z uczelni? – zagadnął Canelle, gdy oddalili się na chwilę, by poszukać dodatkowych szklanek i kieliszków. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego przebiegle.

– Nie mogę pozwolić na to, żebyś snuł się samotnie po szkole i podparł ściany – odparła zaczepnie. – Nie żebym nie doceniała twoich towarzyskich talentów.

– Dziękuję – powiedział. Nieśmiałość często była dla niego barierą nie do pokonania. W duchu cieszył się, że Canelle to zauważyła i dyskretnie wyciągnęła pomocną dłoń. – Nie wiem, jak ci się odwdzięczyc.

– Znajdź mi jakiś fajny kryminał, którego bohaterowie dużo jedzą. – Machnęła beztrosko ręką. – Inga i Greem są naprawdę w porządku, więc spróbuj się z nimi zakolegować – poradziła. – Uwierz mi, będziesz ich potrzebował bardziej, niż ci się teraz wydaje.

Nie zamierzał tego kwestionować. Znajomi, których przedstawiała mu Canelle, zaliczali się raczej do grona nieszkodliwych dziwaków. Staromodnie ubrani, sympatyczni, chociaż – nie licząc rozleniwionego, zrelaksowanego Greema – nieco nerwowi. Zupełnie jakby ich też niepokoiły tak duże imprezy. To momentalnie wzbudziło sympatię Martina, zwłaszcza że wykazywali duże zainteresowanie jego osobą. Zapewniali, że miło go poznać, zadawali pytania, próbowali wciągnąć do rozmowy.

To było przyjemne. Przez jakiś czas.

Nie miał zbyt dużej wiedzy i doświadczenia w kwestii tego, jak powinno wyglądać przyjęcie w gronie nastolatków, coś jednak mówiło mu, że na pewno nie tak, jak wyglądało spotkanie w

antykwaracie. Pomijając już samo miejsce, na imprezie powinno być chyba więcej śmiechów, zabawy, alkoholu i beztroskiego gadania o niczym. Tutaj wszyscy wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, rozmawiali półgłosem, wędrując między regałami książek i starymi meblami. Śmiali się, owszem, ale było to bardzo niezręczne, wymuszone.

Przez odgłosy rozmów i muzyki ze starego gramofonu przebił się nagle znajomy dźwięk fortepianu. Ktoś grał miniaturę fortepianową Beethovena *Dla Elizy*. Martin rozejrzał się, zaciekawiony. Ruszył przed siebie, przeciskając się między ludźmi i meblami, aż znalazł schody prowadzące na górę. Nagle przypomniał sobie, skąd może dochodzić muzyka: z magazynu luster. Pomieszczenia, do którego pani Althan pakowała wszystkie uszkodzone lub pęknięte zwierciadła z wystawy. Stał tam również fortepian.

Drzwi były uchylone. Martin nacisnął klamkę i niemal bezszelestnie wślizgnął się do środka, po czym z ciekawością przyjrzał się muzykowi. Chłopak siedział przy fortepianie, wyprostowany, ubrany w czarne spodnie i nieco staroświecką, jasną koszulę. Czarne kręcone włosy przysłaniały mu twarz. Grał dalej, całkowicie nieświadomy tego, że ktoś go obserwuje. Szczupłe palce zręcznie skakały po klawiszach. Martin słuchał w milczeniu, nie chcąc przerywać.

– Bardzo ładnie – przyznał, gdy muzyk wreszcie zdał sobie sprawę z obecności słuchacza i melodia umilkła. – Od dawna grasz?

– Właściwie od dziecka – odparł chłopak. – Ale niezbyt dużo i miałem długą przerwę. Teraz znowu trochę ćwiczę. Fortepian to mój ulubiony instrument – przyznał. – Muszę przypomnieć sobie sporo rzeczy przed rozpoczęciem roku akademickiego – powiedziała z nutą melancholii.

– Zdajesz do konserwatorium? – spytał Martin, coraz bardziej zaciekawiony. Ku jego zdziwieniu chłopak pokręcił przecząco głową.

– Dostałem zaproszenie na egzamin do Praskiej Szkoły Lalkarzy – odparł z westchnieniem. – A dobrze wiesz, że takiej oferty nie można tak naprawdę odrzucić.

– Ty też? Naprawdę?

– Tak wyszło. – Uśmiechnął się lekko do Martina. – Z tego, co pamiętam, Canelle mówiła, że również tam zdajesz. Jaki instrument sobie wybrałeś?

– Gitarę elektryczną – odparł chłopak, czując się nieco głupio. Jego rozmówca roztaczał wokół siebie dziwną aurę szlachectwa: maniery, drobne gesty, sposób mówienia. Błękitna krew. Kto wie, może był synem jakiegoś arystokraty albo dziedzicem fortuny?

– Kiedy skończyłem podstawówkę, chciałem zostać muzykiem rockowym, ale nikt nie brał mnie na poważnie, no bo wiesz – Martin rozłożył bezradnie ręce – z taką twarzą? W każdym razie uczyłem się grać przez jakiś czas i coś tam pamiętam... Swoją drogą to strasznie idiotyczny wymóg, żeby oprócz marionetki jeszcze mieć opanowaną grę na jakimś instrumencie, ale rozumiem... To uczelnia dla artystów, jasne, że biorą najlepszych. Mam nadzieję, że jednak się dostanę. W końcu nie po to wysyłałem zgłoszenie, żeby odpuścić na samym początku.

Chłopak patrzył na niego z mieszaniną uznania i zupełnie niezrozumiałego przerażenia.

– Więc to ty jesteś tym ochotnikiem, o którym tyle się mówi – powiedział, w zamyśleniu przesuwał dłoń po klawiaturze fortepianu. Dźwięk sprawił, że po plecach Martina przebiegły dreszcze. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że fakt zdawania przez kogoś egzaminów na znaną w środowisku uczelnię może wzbudzać aż taką sensację.

– No... a co w tym dziwnego? – zapytał Martin, nieco zaskoczony i zbity z tropu. – Uwielbiam teatr, zwłaszcza marionetkowy. Moim marzeniem było nauczyć się, jak zostać lalkarzem i poruszać marionetkami. Dlatego zamierzam zdać ten egzamin, choćby nie wiem co! Nawet jeśli

będę musiał całymi dniami dodatkowo ćwiczyć grę na gitarze.

– I... nie boisz się? – dopytywał chłopak.

– Jeśli coś się naprawdę kocha, nie ma miejsca na strach i wątpliwości. Chce się zdobywać wiedzę i doświadczenie, osiągać sukcesy. Skoro kochasz muzykę, czemu nie wolałeś się kształcić w tym kierunku?

– Uwierz, chciałbym – powiedział chłopak, naciskając klawisz fortepianu i wydobywając z niego czysty dźwięk.

– Więc dlaczego nie konserwatorium? – dopytywał Martin. Nie powinieneś marnować swojego talentu na uczelni, która cię nie interesuje i iść na egzamin wyłącznie dlatego, że dostałeś zaproszenie! To twoje życie i powinieneś realizować własne marzenia!

Chłopak tylko uśmiechnął się dziwnie. W jego ciemnych oczach czaił się smutek.

– Obawiam się, że w moim przypadku to nie jest takie łatwe – westchnął. – Ale to mądre słowa, zapamiętam je sobie – zapewnił. – Wygląda na to, obaj zamierzamy podejść do tego samego egzaminu, tak więc... – Wyciągnął rękę do Martina. – Jestem Walter – przedstawił się. – A ty?

– Martin. Powodzenia – powiedział, patrząc nowemu znajomemu w oczy. – Mam nadzieję, że dobrze ci pójdzie, nawet jeśli to nie jest twoja wymarzona uczelnia.

Walter pokiwał głową i uśmiechnął się do niego pogodnie.

– Hej, są dobre strony tej sytuacji – stwierdził. – Może przynajmniej będę na tym samym roku z kimś, kto zdaje być całkiem rozgarnięty.

W tej samej chwili zadzwonił telefon Martina. Klarka.

– Przepraszam, muszę odebrać – wyjaśnił, sięgając do kieszeni. Na pożegnanie skinął Walterowi dłonią i wymknął się na schody.

Nie rozmawiali zbyt długo. Klarka, i zniecierpliwiona i bardzo czymś zdenerwowana, w kilku ostrych słowach powiedziała mu, że nie przyjdzie na żadną imprezę, bo nie ma czasu ani ochoty na zabawy gówniarzy i że w ogóle Martin ma się od niej raz na zawsze odwalić i przestać wydzwaniać. Pożegnali się dość chłodno, dając sobie do zrozumienia, że znajomość można uznać za zakończoną. Zły i smutny zszedł na dół. Podczas gdy on rozmawiał z Klarą, do sklepu przyszli następni goście, a atmosfera zgęstniała chyba jeszcze bardziej. Gdzieś tam rozlegały się urywane, nieszczerze śmiechy, muzyka grała głośno, kilka osób nawet tańczyło na zaimprovizowanym kawałku parkietu. Było też jednak coraz więcej dyskutujących cicho grupki i znaczących spojrzeń. Martin bez słowa podszedł do stolika i nalał sobie wina do kieliszka. Miał już dość tej nerwowości, napięcia, obcych ludzi szepczących po kątach i zerkających na niego ukradkiem. Planował wymknąć się niepostrzeżenie i wrócić do domu, uznał jednak, że warto poinformować o swojej decyzji Canelle. Odruchowo zaczął szukać jej wzrokiem.

– To tak naprawdę nigdy nie była dobra szkoła.

– A przynajmniej nie od kiedy Marionetkarz ją opuścił. Później zrobiło się jeszcze gorzej. Zniszczyli wszystko. Zmarnowali.

Zmarszczył brwi, słysząc ten fragment rozmowy. Chciał odnaleźć Canelle, nie zatrzymywał się więc, by usłyszeć coś więcej. Po drodze musiał wyminąć kolejną grupkę młodych ludzi. Wyróżniał się wśród nich barczysty, rudowłosy chłopak. Aisling. Przynajmniej pod takim imieniem został Martinowi przedstawiony. Jego oczy ciskały iskry.

– Podróżny byłby dobrym dyrektorem, ale odszedł. Zniknął bez śladu.

– Podróżny właściwie nigdy oficjalnie nie został Mistrzem Marionetek.

– Podobno podszedł do egzaminu i zdał go bez problemu, ale zapomniał stawić się na

uroczystości mianowania.

– Tak czy inaczej bił ich wszystkich na głowę. I to on powinien był przejąć stery, kiedy pokonano Króla Demonów.

Podróżny? Mistrz? Król Demonów? O czym oni właściwie mówili?

– To, co zrobiła z tą szkołą Erika Ekhart, jest nie do pomyślenia. Skandal. Kolegium zawsze preferowało drastyczne rozwiązania, ale to już gruba przesada.

– No cóż, podobno zawsze chciała mieć taką szkołę, żeby kandydaci zabijali się o miejsce. No to ma.

– Ale to ciągnie się od dobrych kilku lat. Ktoś powinien to przerwać.

Erika Ekhart – znał to nazwisko. Widniało na liście wykładowców Praskiej Szkoły Marionetek. „Erika Ekhart, dyrektor”. Jasne, uczniowie i absolwenci mieli prawo od czasu do czasu ponarzekać na władze szkoły, w tych narzekaniach jednak zdecydowanie kryło się coś więcej.

– Może gdyby Podróżny wrócił...

– Nie wróci.

– Ale gdyby wrócił...

– To my powinniśmy coś zrobić. Musimy coś zrobić, właśnie teraz, kiedy pojawiła się szansa...

Martina przeszedł dreszcz. Canelle wcale nie zaprosiła ich wszystkich tutaj, żeby pomóc mu nawiązać kontakty. Trafił w sam środek jakiegoś... spotkania konspiratorów. O co tu tak naprawdę chodziło? Coraz bardziej zły i rozżalony, rozejrzał się w poszukiwaniu winowajczyny. Zamiast niej dostrzegł jednak Waltera. Chłopak dyskutował o czymś z Greemem i Ingą, energicznie przy tym gestykułując. Co jakiś czas oglądał się przez ramię i zerkał na coś lub kogoś znajdującego się po drugiej stronie pomieszczenia.

Igła w gramofonie przeskoczyła na następną ścieżkę. *One More Cup of Coffee* Boba Dylana. Walter rozluźnił zaciśnięte w pięści dłonie, jego twarz złagodniała, a oczy rozbłysły. Jak zahipnotyzowany ruszył na parkiet. Z przeciwnej strony nadeszła dziewczyna. Ładna, chyba nieco starsza od niego. Jej kasztanowe włosy sięgały ramion, a w głębokich zielonych oczach czaił się smutek. Miała na sobie prostą sukienkę w kolorze mchu. Zaczęli tańczyć, kołysząc się lekko w takt muzyki. Martin nie mógł oderwać od nich wzroku. Było w tym tańcu coś niesamowicie smutnego i wzruszającego. Sposób, w jaki patrzyli sobie w oczy, sposób, w jaki próbowali zapanować nad chęcią przytulenia się lub chociażby drobnymi gestami, takimi jak pogłaskanie po ramieniu. Zbliżali się do siebie, ale tylko do pewnego momentu, jakby nie potrafili zbliżyć się bardziej, bez względu na chęci i wysiłek. Jakby oddzielała ich cieniutka tafla szkła.

– Walter i Eliska byli przez jakiś czas parą – powiedziała mu do ucha Canelle. Aż się wzdrygnął. Nie zauważył nawet, kiedy dziewczyna pojawiła się za jego plecami. Towarzyszyli jej Greem i Inga, również przyglądając się tańczącej parze. Na ich twarzach malowało się współczucie. – Rozstali się niedawno, kilka tygodni temu, kiedy Walter dostał list ze szkoły.

– Ale... przecież on ją ciągle kocha – uświadomił sobie Martin.

– A skąd to wiesz?

– Spotkałem go wcześniej. Grał na fortepianie *Dla Elizy*. Dla niej.

Canelle, Greem i Inga pokiwali w milczeniu głowami i popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Oczywiście też wiedzieli, że Walter nadal kocha Eliskę i obserwacja Martina nie była dla nich żadną nowością.

– Dlaczego się rozstali? – dopytywał chłopak, ukradkiem zerkając na tańczących. – Przecież wyglądają na fajną parę. Szkoda mi ich.

Zazwyczaj nie poruszały go opowieści o nieszczęśliwej miłości, ale kłótnia z Klarką wstrząsnęła nim bardziej, niż chciał przyznać, podobnie jak świadomość, że Canelle okłamała go w kwestii celu tego spotkania. Zazwyczaj nie poruszały go opowieści o nieszczęśliwej miłości.

– Mnie też – zapewniła Inga. – Ale co mieli zrobić? I tak musieliby się rozstać, prędzej czy później. W ten sposób mniej boli.

– No nie wiem – powiedział bez przekonania. – Mnie to wcale nie wygląda na bezbolesne.

– Niestety. Waltowi nawet nie przyszłoby do głowy się z nią rozstać, gdyby nie ta cała sprawa ze studiami... Cholera, że też akurat padło na niego...

Greem i Canelle ponuro pokiwali głowami. Martin przez chwilę spoglądał na nich zdeorientowany i zły. Coraz mniej rozumiał postępowanie Waltera, jego decyzję co do wyboru uczelni oraz powagę i dziwną nerwowość, z jaką ich znajomi do tego podchodzili. Jakby to była kwestia życia i śmierci.

– Ej, no bez przesady z tym dramatyzmem – zaproponował nieśmiało. – I z tym rozstawaniem się dlatego, że dostał list. Idzie na egzaminy wstępne, a nie na wojnę, co nie?

– Ostatnimi czasy trudno to odróżnić – stwierdził z przekąsem Greem.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, jak wygląda proces rekrutacji, prawda, Martin? – zapytał chłopak. Jego głos był bardzo cichy, pełen napięcia, idealny do snucia strasznych opowieści o nawiedzonych domach. – Z tysięcy możliwych kandydatów z całego świata zarząd Praskiej Szkoły Lalkarzy wybiera dwudziestu. Wysła im listy z zaproszeniem na egzaminy wstępne. Z tych dwudziestu do szkoły dostaje się dziesięć osób, które rozpoczynają naukę na pierwszym roku. Na drugi przechodzi w najlepszym razie sześciu czy siedmiu studentów. Na trzeci rok trafiają trzej albo czterej.

– A z tych czterech adeptów na koniec trzeciego roku wybierani są dwaj, którzy mogą podejść do egzaminu na Mistrza Marionetek – wpadł mu w słowo Martin. – Tytuł dostaje tylko jeden z nich.

I to będę właśnie ja, dodał w myślach.

– Dokładnie – potwierdził Greem. – A zastanawiałeś się nad tym, co się dzieje z pozostałymi? Tymi, którzy odpadają w procesie rekrutacji i na egzaminach końcowych?

– No... nie – przyznał szczerze Martin. Nie zastanawiał się. W ogóle nie chciał brać pod uwagę tego, że będzie jedną z tych osób.

– Więc dobrze ci radzę... – Chłopak zmrużył swoje stalowoszare oczy. – Pomyśl nad tym. Naprawdę dobrze to przemyśl i zastanów się, czy warto.

3. Druga strona

Dwa tygodnie na naprawę świata. Czternaście dni do jego końca. Po czternastu dniach od rozmowy w parku dla Kota i Ciastka świat rzeczywiście się skończył, podobnie jak dla Klary. Znalaziono ją w piwnicy pobliskiej szkoły podstawowej. Martwą, z rękami i nogami przywiązanymi do wbitych w ścianę haków. Zupełnie jakby ktoś próbował upodobnić ją do ludzkiej marionetki. Jeśli wierzyć ustaleniom policji, morderstwa dokonano w nocy z piątku na sobotę.

Martin nie miał o tym pojęcia aż do poniedziałkowego poranka.

Cały weekend spędził sam w domu. Próbował ćwiczyć na gitarze, grał w gry komputerowe, myślał. Nie odzywał się ani do Klary, która przecież zerwała z nim kontakt, ani do Canelle, mimo że wydzwaniła do niego i pisała wiadomości. Podobno się martwiła. Zastanawiał się nad tym, co powiedział Greem. Myślał o tym, co się dzieje z ludźmi oblewającymi egzaminy wstępne do Praskiej Szkoły Lalkarzy.

Kolegium zawsze preferowało drastyczne rozwiązania, ale to już gruba przesada.

To nigdy nie była dobra szkoła.

W pewnym momencie był już nawet bliski tego, by zadzwonić do rodziców i powiedzieć im, że rezygnuje ze swoich marzeń i przyjeżdża do nich, do Chicago. Od dwóch lat pracowali w jednym z tamtejszych szpitali jako anestezjolodzy. Martin został w Pradze. Nie chciał zmieniać szkoły i tracić dwóch lat na mozolne nawiązywanie w miarę przyzwoitych relacji z kolegami z klasy. Na szczęście rodzice byli realistami. Wiedzieli, jak mało czasu będą mogli poświęcić jednemu synowi. Zgodzili się z jego stwierdzeniem, że skoro i tak ma być właściwie pozostawiony sam sobie, lepiej, żeby przynajmniej przebywał w środowisku, które zna.

Radził sobie całkiem nieźle, gospodarował przysyłanymi przez nich pieniędzmi i dysponował wolnością większą niż którykolwiek z jego rówieśników.

Ostatecznie, po spędzeniu dwóch niemal bezsennych nocy, ubrał się i wyszedł z domu. Świeciło słońce, niebo było intensywnie niebieskie i bezchmurne. W skrzynce na listy znalazł kopertę z pieczęcią Praskiej Szkoły Lalkarzy i serce zabiło mu szybciej. Nie był jeszcze pewien, czy z radości, czy ze strachu. Schował kopertę do tylnej kieszeni spodni. Po przeciwnej stronie ulicy zobaczył radiowóz. Wzdrygnął się.

Dom Klary.

Ten radiowóz stał przed domem Klary.

Przypomniał sobie jedną z ostatnich rozmów z dziewczyną i jej uwagi na temat zbliżającej się katastrofy. To było właśnie to uczucie. Wrażenie, że każde kolejne słowo wyznacza moment rozpoczęcia apokalipsy, że słyhać echa jej kroków. Sąsiad – starszy, zrzędlawy pan Svoboda – stał przy furtce i mruczał coś pod nosem, również wpatrując się w radiowóz.

– No się doegrali – dosłyszał Martin. – Wiedziałem, że tak będzie. Mówiłem. Było dzieciaka pilnować...

– Przepraszam – zagadnął Martin. – Wie pan może, o co tu chodzi? Coś się stało?

– Ta dziewczyna od Bergów się stała, ot co – odparł ponuro staruszek. – Aż dziwne, że o tym nie słyszałeś. Cała ulica o tym trąbi od samego rana.

– Byłem zajęty – przyznał Martin.

– Siedzeniem w domu i graniem w głupie gry na komputerze? Ale czy ja wiem, może to i dobrze... Lepsze to niż włóczyć się po mieście z jakimiś podejrzanymi typami, przynajmniej cię nie znaleźli w jakiejś piwnicy.

– Piwnicy? – dopytywał Martin. Poczł, że robi mu się słabo. – Jakiej... piwnicy?

I wtedy dowiedział się o piwnicy w szkole podstawowej. O plotkach, które rozniosły się już po całym osiedlu i o tym, że prawdopodobnie jeszcze dzisiaj wszyscy znajomi Klary zostaną przesłuchani przez policję.

– Podobno znaleźli ją dzisiaj rano – opowiadał z przejęciem pan Svoboda, nie przejmując się za bardzo tym, że jego rozmówca z każdym kolejnym słowem staje się coraz bardziej kredowobiały. – Kiedy stróż otworzył szkołę. Ludzie gadają, że jak w piątek wyszła, to już później nikt jej nie widział, ale ci jej rodzice.... Zero kontroli. Pewnie myśleli, że śpi u znajomych, dlatego nie próbowali jej szukać...

Zniknęła w piątek. Tego wieczora, kiedy próbował się z nią skontaktować i pokłócili się przez telefon. To oznaczało, że był jedną z ostatnich osób, które miały z nią kontakt. Zerknął na radiowóz. Dwóch policjantów stało w drzwiach domu Klary, rozmawiając z panem Bergiem.

– A tak w ogóle, chłopcze, z ciebie też niezłe ziółko – pogroził mu palcem pan Svoboda. – Ładnie tak sobie kpić ze starszych ludzi?

Martin popatrzył na niego, kompletnie zdezorientowany. O czym sąsiad mówił? I jak to się w ogóle miało do Klary i stojącego pod jej domem radiowozu?!

– Moja Jitka pojechała niedawno na tę twoją Dejviczkę, do tego sklepu, w którym się chwaliłeś, że pracujesz, i co się okazuje? Sklep zamknięty na głucho! I to od dobrych kilku lat!

– Co? Ale jak to?!

– Zwyczajnie. Moja Jitka powiedziała, że to jakaś ruina, okna zabite deskami i w ogóle. Pół miasta przejechała nadaremno, biedactwo.

Wiadomość o nieczynnym sklepie była tak naprawdę drobnostką – w porównaniu do wieści o śmierci Klary – jednak właśnie ona sprawiła, że wyłączył się i zaczął działać automatycznie.

Nie pamiętał, jak dotarł do sklepu. Prawdopodobnie tak jak zwykle wsiadł w żółtą linię metra i na stacji Můstek przesiadł się w zieloną. Prawdopodobnie wjechał wysokimi, przyprawiającymi o zawrót głowy schodami i czekał na peronie na przyjazd pociągu. Prawdopodobnie wpadł do sklepu, na jednym oddechu wyrzucając z siebie wiadomość o śmierci Klary, policji przed jej domem i o tym, że sklep jest nawiedzony.

Prawdopodobnie.

Tak naprawdę nie miał pojęcia, wszystko zdawało się dziwnie rozmyte. Następną rzeczą, jaką zapamiętał, był fotel w antykwariacie, smak herbaty i koperta z pieczęcią Praskiej Szkoły Lalkarzy, leżąca na stoliku w stylu późnego rokoko.

– Czy ja zwiariowałem? – spytał, podnosząc wzrok na panią Althan. Kobieta siedziała w fotelu naprzeciwko niego, przyglądając mu się czujnie.

– Jak ci się zdaje? – odpowiedziała pytaniem. W tle słychać było tykanie co najmniej pięciu zegarów.

– Podobno ten sklep został zamknięty kilka lat temu – zauważył. – Ale przecież znalazłem ogłoszenie o pracę, przyszedłem... Mamy klientów. Czy to... czy to wszystko są moje majaki? Oszalałem i zabiłem Klarę?

Pani Althan otworzyła jedną z leżących na stoliku książek na ostatniej, czystej stronie.

– To nasz świat – oświadczyła, stukając palcem w kartkę. Martin pochylił się do przodu, by lepiej widzieć. – Ogromny, właściwie nieograniczony. Okrutny i piękny jednocześnie. – Trzymanym w szczupłej dłoni ołówkiem nakreśliła na pożółkłym papierze okrąg. – To jego część, którą wszyscy jesteśmy w stanie zobaczyć i zrozumieć. To, co już zbadano i opisano. To, co jest całkowicie normalne, codzienne i dobrze znane. – Martin pokiwał głową, na znak, że

rozumie. – Natomiast to – postukała ołówkiem w róg kartki – to jest cała reszta. Lubię nazywać to drugą stroną. Wszystko to, o czym kiedyś słyszeliśmy, ale wydaje nam się, że to tylko dziwne plotki albo wyssane z palca historie. Bajki dla dzieci, miejskie legendy, opowieści przy ognisku. Demony, potwory, seryjni mordercy, krokodyle w ściekach i złodzieje nerek. Golemy, alchemicy i ślepy zegarmistrz. To wszystko jest prawdziwe, bardziej niż byśmy tego chcieli. To wszystko się wydarzyło albo właśnie gdzieś się dzieje. Pij herbatę, chłopcze, bo wystygnie – poradziła. Martin natychmiast podniósł filiżankę do ust. – Druga strona to cienie na ścianie – kontynuowała pani Althan. – Nagły ruch za plecami, dostrzegany tylko kątem oka. Dreszcz, który przenika nas w ciepły dzień i nie mamy pojęcia, dlaczego – powiedziała, delikatnie rozcierając palcem kontury narysowanego wcześniej okręgu. – Są miejsca, w których nasz realny świat i druga strona przylegają do siebie blisko, bardzo blisko. Wystarczy skrócić w odpowiednią uliczkę lub otworzyć właściwie drzwi.

– Sklep jest jednym z takich miejsc? – domyślił się Martin.

– Istotnie. Można się do niego dostać zarówno z Pragi, jak i właściwie z każdego innego miejsca po drugiej stronie. Jeśli oczywiście wie się, jak.

– A pani... – przełknął ślinę – i Canelle? Kim... jesteście?

Roześmiała się krótko.

– Sądziłeś, że demonami lub czarownicami? – Najwyraźniej bardzo rozbawiło ją to podejrzenie. – Ależ nie – zapewniła, widząc naprawdę przestraszoną minę Martina. – Nie martw się, nie jesteśmy Istotami z Cienia. Ja pochodzę stąd. Po prostu pewnego dnia, podobnie jak ty, otworzyłam niewłaściwie drzwi i znalazłam się po drugiej stronie. Spodobało mi się, więc postanowiłam zostać – uśmiechnęła się zaczepnie. – A Canelle to moja bratanica. Mieszka z matką w Paryżu, ale odwiedza mnie czasem w wakacje. Właściwie od dziecka żyje na Obrzeżach, zna istoty z obu stron, ale zapewniam cię, że poza tym jest przeciętną nastolatką.

– Więc... nie tylko ja was widzę? Nie zwariowałem?

– Nie, chłopcze. Jesteś zwyczajnym dziesiętnastolatkiem, chociaż przyznaję, masz talent do pakowania się w dziwne historie.

Martin zamrugał. Ta rozmowa była tak bardzo abstrakcyjna, nierealna i przerażająco rzeczowa, że nie chciał jej przerywać. Filozoficzny spokój i niewzruszony pragmatyzm pani Althan dobrze na niego wpływały. Nawet wywody o drugiej stronie, demonach i ożywających miejskich legendach brzmiały w jej ustach zadziwiająco racjonalnie. Pomagały ułożyć chaotyczne, kłębiące się w głowie myśli.

– Co pani ma na myśli? – zapytał cicho, upijając kolejny łyk herbaty.

– Cóż, przede wszystkim to, że wcale nie szukałam stażysty – przyznała, rozkładając bezradnie ręce. Martin popatrzył na nią zbity z tropu. Chciał zadać jakieś pytanie, ale pani Althan kontynuowała: – Pomocnika szukał sklep na drugim końcu ulicy. Ten, który otwarto jakoś na wiosnę. W drukarni zrobili błąd i w ogłoszeniu w gazecie znalazł się inny numer budynku.

– W takim razie – Martin przełknął ślinę – dlaczego mnie zatrudniłyście? Przecież tu prawie nie ma ruchu.

– Nie byłeś pierwszą osobą, która kontaktowała się z nami w tej sprawie. Za to bez wątpienia jako jedyny odważyłeś się wejść do środka. Canelle obserwowała tych poprzednich przez okno. Wszyscy wzruszali ramionami i odchodzili. Kiedy zrozumiałam, że potrzebujesz tej pracy, bo zdajesz do Praskiej Szkoły Lalkarzy, uznałam, że muszę ci pomóc.

– Ale... dlaczego? – spytał. Nie umknęło jego uwadze, że znów nie wspomniała o tym, jak właściwie to odgadła.

– Nie mogłam przecież oddać zupełnie nic niepodejrzewającego chłopca na pastwę Kolegium Iluzji i Manipulacji. Pożarliby cię żywcem.

Zadrżał. Już sama nazwa sprawiała, że robiło mu się zimno, chociaż był pewien, że nie słyszał jej nigdy wcześniej.

– Kolegium Iluzji i Manipulacji?... – powtórzył, czując, że znów zaczyna ogarniać go panika. Nie wiedział, czemu ta nazwa brzmi tak niepokojąco. – Ale przecież ja...

Pani Althan uniosła dłoń, nakazując mu milczenie.

– Praska Szkoła Lalkarzy, do której złożyłeś swoje papiery, wchodzi w skład instytucji znanej na Obrzeżach jako Kolegium Iluzji i Manipulacji – wyjaśniła. – Instytucji, która sprawuje władzę po tej i po tamtej stronie.

Martin głębiej zapadł się w fotel i przełknął ślinę.

– Czym jest Kolegium? – zapytał.

– Jak sama nazwa wskazuje, jest to organizacja zajmująca się snuciem iluzji i manipulowaniem ludźmi. Zapewniam cię, że w rządzie każdego kraju pracuje przynajmniej jeden manipulator. Kontrolują wszystko. Sprawiają, że światowi przywódcy podejmują decyzje zgodne z życzeniami Rady Kolegium. Po drugiej stronie ta kontrola jest bardziej wyraźna, widoczna niemal na każdym kroku. Przedstawiciele Kolegium nie muszą udawać, że są kimś innym niż w rzeczywistości. Tam większość osób potrafi dostrzec ich prawdziwą siłę i umiejętności. Właśnie na Obrzeżach, na ziemi niczyjej, szkoli się nowych manipulatorów i uczą wszystkiego, co niezbędne w tym fachu.

– Czyli właściwie czego?

– Zapewniam cię, że nie tylko tworzenia lalek i poruszania nimi. Bycie manipulatorem to znacznie więcej: trochę psychologii, trochę aktorstwa, całkiem dużo czegoś, co laicy uznają za magię. Jest kilka wielkich szkół wyższych zajmujących się kształceniem manipulatorów – ciągnęła pani Althan. Martin słuchał z uwagą, próbując nadążyć za opowieścią. – W Nowym Yorku, Tokio, Istambule, Kairze i właśnie w Pradze. Oczywiście, te uczelnie są jak najbardziej legalne, nie tak jak nasz sklep, który oficjalnie zbankrutował dwa lata temu – zaśmiała się cicho kobieta. – Wszystkie papiery się zgadzają. Najczęściej szkoły Kolegium działają jako instytuty i katedry przy państwowych i prywatnych uczelniach, na przykład przy Tisch School of Arts w Nowym Yorku. Praska Szkoła Lalkarzy ma status uczelni prywatnej, ale, jak być może zauważyłeś, nie pobiera żadnych opłat. Jest najstarsza i najważniejsza, do pewnego momentu uważana też była za najlepszą.

– Teraz już nie?

– To zależy – odparła jakby od niechcienia i nawinęła na palec pasemko cynamonowych włosów, które wysunęło się z koka. – Podjęto kilka decyzji, które niezbyt przypadły do gustu mieszkańcom Obrzeży. Chociażby przymuszanie potencjalnych kandydatów do udziału w egzaminach wstępnych.

–...przymuszanie?

– Z tego, co widzę, dostałeś od nich kolejny list. – Kobieta postukała paznokciem w leżącą na stoliku kopertę.

– Nie zdążyłem go otworzyć – przyznał, pospiesznie dopijając herbatę. Wciąż czuł nieprzyjemną suchość w ustach.

– Zauważyłam. – Pokiwała w zadumie głową. – Proszę, zrób to teraz.

Pomimo drżenia rąk posłusznie sięgnął po kopertę i rozciął ją ozdobnym nożykiem do otwierania listów.

– „Szanowny panie Lubovic” – zaczął czytać. – „Pragniemy poinformować, że z dniem dzisiejszym rozpoczął się pański test, decydujący o przyjęciu do Praskiej Szkoły Lalkarzy. Przypominamy, że odmowa udziału w teście oznacza poważne konsekwencje, które wyciągnie wobec pana Rada. Życzymy powodzenia i wyrażamy nadzieję, że zobaczymy się we wrześniu. Z uszanowaniem, Erika Ekhart, Dyrektor” – odczytał i wypuścił kartkę z rąk.

– „Odmowa udziału w testach oznacza poważne konsekwencje, które wyciągnie wobec pana Rada” – powtórzyła pani Althan, wpatrując się w niego uważnie. – Uwierz, nie chciałbyś z nimi zadzierać. Potrafią być naprawdę paskudni, kiedy ktoś ich rozdrażni, i są w stanie odnaleźć człowieka wszędzie, zarówno po tej, jak i po drugiej stronie.

Chłopak zacisnął zęby.

– Ale przecież tu nie ma nic więcej – wykrztusił. – Nie wiem, gdzie mam się stawić ani o której godzinie... Co jeśli się spóźnię i... i mnie zabiją za to, że nie przyszedłem?

– Siedź – nakazała stanowczo kobieta, widząc, że Martin próbuje wstać z fotela. – Nie musisz nigdzie iść ani pisać żadnego testu.

– Więc... więc co mam zrobić?! – Poruszył prawą dłońią tak niezręcznie, że porcelanowa filiżanka spadła ze stołu i rozbiła się z głośnym brzękiem. Pani Althan zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem – przyznała. – Ale lepiej zrób to dobrze, bo ten list oznacza, że od tej chwili będą obserwować każdy twój ruch. – Pochyliła się i zaczęła zbierać skorupki z podłogi. – Zadania testowe są przydzielane indywidualnie – wyjaśniła, kiedy już pozbiierała wszystkie kawałki porcelany. – Zazwyczaj kandydat prędzej czy później sam odkrywa, co powinien zrobić, by zdać egzamin. Ty również coś wymyślisz, gdy tylko się zastanowisz.

– Co?! – zapytał, czując, że jest bliski paniki. – Ale... ja nie mam pojęcia, od czego zacząć – powiedział bezradnie. – W ogóle dlaczego właśnie teraz, ja przecież nie mam głowy do tego testu?!... Klara nie żyje! Byłem ostatnią osobą, do której dzwoniła, a wcześniej wydzwaniałem i pisałem do niej cały wieczór. – Czuł, że ogarnia go panika. Skulił się na fotelu, ukrywając twarz w dłoniach. To wszystko było zbyt dziwne. Zbyt straszne. Zbyt niemożliwe. – Będą podejrzewali, że to ja ją zabiłem!

Pani Althan położyła mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, chłopcze – poradziła. Jej głos był twardy i pełen stanowczości. – Mamy jeszcze dwa tygodnie do rozpoczęcia roku akademickiego. Trochę mniej do zakończenia rekrutacji, ale też nie jest tragicznie. Po pierwsze: zadzwoń do rodziców. Powiedz im, że Klara nie żyje, a ty boisz się mieszkać sam i postanowiłeś przeprowadzić się tutaj. Bo oczywiście nie ulega wątpliwości, że zostajesz z nami. Nie pozwolę ci mieszkać teraz samemu ani błąkać się o mieście... Po drugie: musisz się położyć i porządnie odpocząć. Później zastanowimy się, co dalej i co musisz zrobić, by pomyślnie przejść test. Zgoda?

Ledwie miał siłę pokiwać głową.

Czternaście dni, które Klara dostała na naprawę świata, dobiegło końca. Zaczęło się całkiem nowe odliczanie.

4. Dziedzic alchemików

Po czym poznać, że ktoś zdążył już poznać treść wiadomości, która cię podłamała? Taka osoba nie pyta: „co się dzieje?” ani: „czemu płaczesz?”. Pyta: „jak się czujesz?”. I o to właśnie spytała Canelle, gdy stanęła w progu pokoju gościnnego na pięterku.

– W porządku – odparł apatycznie.

Przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Bez pełnych entuzjazmu opowieści o kolejnym morderstwie, opisanym w czytanej aktualnie książce. Bez zwykłego szerokiego uśmiechu i zaczepnych złotych iskier w oczach. Ale za to z prawdziwym współczuciem.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki – powiedziała, wychodząc.

– Dzięki – odpowiedział zamykającym się za nią drzwiom.

Następne dwa dni na przemian spał i siedział, wpatrując się w ścianę. Greem i Inga wpadli w odwiedziny, żeby sprawdzić, co z nim. Nie miał siły się temu dziwić, mimo że widzieli się tak naprawdę raz. Pokłócili się o coś z panią Althan. Właściwie to Inga się awanturowała, Greem nie mówił zbyt wiele. Przyszedł też Walter. Oczywiście słyszał o Klarze i też spytał o samopoczucie. W jakiś sposób Martin wiedział, że Walt również dostał drugi list i zawiadomienie o teście. Nie rozmawiali o tym. Walter grał na fortepianie w magazynie luster. On słuchał. Kiedy tego samego wieczora zadzwonił do rodziców, by ich zawiadomić o tym, co się stało, rozplakał się w słuchawkę. Szlochał, że jest beznadziejnym przyjacielem i że Klara zginęła przez niego, bo wolał pracować na głupią lalkę, potrzebną do głupiej szkoły, zamiast zwrócić uwagę na jej problemy i podejrzanе towarzystwo.

Trzeba przyznać Canelle, że wytrzymała całe dwa dni. Dwa dni chodzenia po sklepie na palcach i czuwania nad tymczasowym lokatorem. Dwa dni milczenia, kiedy on milczał, słuchania, kiedy mówił i pocieszania, gdy wpadał w rozpacz. Dwa dni bez żadnych pytań o to, jak wyglądało miejsce zbrodni ani bez snucia domysłów. Martin wiedział, że przez ten czas nie próżnowała i prawdopodobnie zdążyła przejrzeć drobne prasowe wzmianki na temat morderstwa w dzielnicy Černý Most oraz wypytać o plotki wszystkich znajomych z obu stron świata. Był jej jednak wdzięczny, że powstrzymywała się od zgłębiania tematu w jego obecności.

Trzeciego dnia dziewczyna się złamała.

– Dość tego dobrego – oświadczyła z determinacją, stając przed nim.

– Hm? – Popatrzył na nią podejrzliwie. Ubrana była w kwiecistą sukienkę z krótkim rękawem, a przez ramię przewieszoną miała małą, skórzaną torebkę. Na głowę nałożyła nieco absurdalnie wyglądający kaszkiet, przywodzący na myśl nakrycia głowy noszone przez Sherlocka Holmesa.

– Wybierasz się gdzieś?

– Nie ja. My – sprycyzowała. – Idziemy na miasto, mamy sprawę do rozwiązania.

– Sprawę? – powtórzył nieufnie.

– Tak – potwierdziła energicznym skinieniem głowy. – Kryminalną. Chodzi o morderstwo – dodała. Martin westchnął boleśnie i przesunął dłonią po twarzy. Doskonale wiedział, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

Zacisnęła ręce na podłokietnikach fotela tak mocno, że aż zbieleły mu kostki, po czym spojrział na dziewczynę z autentyczną urazą.

– Canelle, proszę, nawet nie zaczynaj – jęknął. – Nie mam ochoty o tym rozmawiać. I nie będę się z tobą bawił w detektywa, zapomnij.

– A kto tu mówi o zabawie? – zmarszczyła brwi. – Mnie to brzmi jak bardzo poważna sprawa. W gazetach prawie w ogóle o tym nie pisali – ciągnęła, potwierdzając jego przypuszczenia, że

uważnie śledziła temat. – To znaczy pisali o tym, że to wielka tragedia, że wszyscy są wstrząśnięci. Takie tam standardowe rzeczy, ale żadnych konkretów: nie wiadomo, czy to robota jakiegoś seryjnego mordercy ani czy żadne organy nie zostały wyjęte w celu spożycia, ani...

– Canelle, do jasnej cholery – warknął, zakrywając twarz dłońmi. – Naprawdę nie chcę o tym słuchać!

– Wiem, że czujesz się winny jej śmierci – ciągnęła niezrażona. – I właśnie dlatego pomyślałam, że poczujesz się lepiej, kiedy uda nam się dowiedzieć, kto i dlaczego ją zabił. Chętnie ci pomogę. Przeczytałam już tyle kryminałów, że chyba najwyższy czas wykorzystać tę wiedzę w praktyce.

– Nie ma mowy – odparł stanowczo Martin, chociaż ta myśl faktycznie wydała mu się dziwnie kusząca. – Już teraz mam wystarczające kłopoty, nie mam zamiaru pakować się w większe.

Popatrzyła na niego, wyraźnie zawiedziona.

– Pewnie, lepiej siedzieć i uzalać się nad sobą – zakpiła.

Już szykował odpowiednio mocną ripostę, gdy nagle rozległ się dzwonek, oznaczający przybycie klienta. Jak na komendę zwrócili głowy w stronę drzwi.

– Cześć, Canelle – powiedział Greem, ostrożnie rozglądając się po sklepie. – Jest może twoja ciocia?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Pojechała obejrzeć towar. Wróci za pół godziny i wtedy wreszcie będę mogła wyjść. Już nie mogę patrzeć na tego marudę – powiedziała, ruchem głowy wskazując na Martina.

– O, cześć, młody. – Greem chyba dopiero teraz dostrzegł jego obecność. Na wiadomość o tym, że pani Althan nie ma w pobliżu, wyraźnie się zrelaksował. – Widzę, że z tobą nieco lepiej? – zapytał wesoło, jak gdyby nigdy nic opierając się o szafkę z książkami.

Martin zdobył się tylko na lekkie wzruszenie ramionami.

– Albo i nie – wywnioskował Greem, radośnie szczerząc zęby. Martin, chcąc nie chcąc, odwzajemnił uśmiech. – Coś mi się wydaje, że ktoś tutaj bardzo potrzebuje tlenu i słońca, bo nam wędnie. Canelle, mogę go porwać na jakiś czas? – spytał, mrugając porozumiewawczo do dziewczyny.

– Bierz go – powiedziała, wykonując zamaszysty gest ręką. – Ja mam go dosyć, zepsuł się.

– Skoro tak mówisz... – roześmiał się Greem. – Spróbujemy go jakoś naprawić. Chodź, młody, idziemy na spacer – powiedział, stanowczo łapiąc Martina za ramię i zmuszając do wstania z fotela. Wyglądał na rozpaczliwie chudego, ale miał w sobie zadziwiająco dużo siły. Może dlatego Martin się nie opierał i nie protestował. Był zbyt zaskoczony tym, że wywleka go ze sklepu ktoś o aparycji kościotrupa.

– Dokąd idziemy? – spytał, gdy wyszli na ulicę. Greem stawiał długie kroki i Martin musiał iść naprawdę szybko, by za nim nadążyć. Nie miał wątpliwości, że zmierzają w stronę stacji metra.

– Do twojego domu, naturalnie – odparł pogodnie chłopak.

– Co? – Martin zatrzymał się. Dał się wyrwać ze szponów Canelle tylko po to, by wpaść w jeszcze gorsze sidła. Świetnie.

Greem również stanął i przyjrzał mu się krytycznie.

– Śmierdzisz – orzekł, pociągając nosem. – Nie zmieniałeś ubrania od dwóch dni, co oznacza, że nie masz nic na zmianę. Nie sądzę, żebyś chciał chodzić w tych szmatach ze sklepu, poza tym to moja domena. – Zaśmiał się i okręcił wokół własnej osi, prezentując nieco poszarpany, szarzielony płaszcz i porozciągany T-shirt z nadrukiem przedstawiającym symbol radioaktywności. – Więc jedynym rozsądnym wyjściem jest wpaść do ciebie do domu i zabrać

dość ciuchów, żebyś nie musiał ich prać do czasu przeprowadzki do akademika. Tam mamy od tego ludzi – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Martina. – Poza tym jestem pewien, że nie wzięłeś ze sobą instrumentu, na którym powinieneś choć trochę poćwiczyć, mam rację?

– Właściwie... – powiedział z namysłem Martin. Wyjaśnienia pani Althan dotyczące uczelni sprawiły, że miał tylko jeszcze więcej pytań. Kłębiły mu się w głowie, chaotyczne i domagające się natychmiastowej odpowiedzi. – Po co nam w ogóle te instrumenty? To jakaś magia czy co?

– Można tak to określić – przyznał w zadumie Greem, wznawiając marsz w kierunku stacji Dejvická. – Umiejętność panowania nad emocjami za pomocą muzyki – sprecyzował. – To przedmiot z pierwszego roku i będziesz tym rzygał, zapewniam cię. Oczywiście sam fakt, że potrafisz wydobyć dźwięk z większości instrumentów jakoś przekłada się też na twoją techniczną sprawność i zręczność palców.

Opowiedział przez chwilę o innych przedmiotach z obowiązkowego programu pierwszego roku, takich jak wiedza o teatrze czy warsztat lalkarski. Martin słuchał go z zaciekawieniem. Przez moment poczuł się... normalnie. Bardziej normalnie niż przez ostatni tydzień. Ot, spotkanie ze starszym, bardziej doświadczonym kolegą, który chce mu pomóc zaliczyć pierwszy rok i podpowiada, u kogo trzeba uważać na zajęciach, a gdzie wystarczą same notatki. Żadnych dziwnych uwag i sugestii, żadnych ponurych plotek, żadnych wzmianek o morderstwie.

Dzień był słoneczny, chociaż wietrzny, powietrze pachniało sierpniem i dymem z budek z grillowanym jedzeniem. W metrze zamilkli. Greem przejechał całą trasę – łącznie z przesiadką – praktycznie nic nie mówiąc i wpatrując się w ściany pociągu. Starał się wyglądać na spokojnego i zamyślonego, ale coś w jego sylwetce i sposobie siedzenia mówiło, że nie jest do końca przekonany do idei metra jako takiej. Rozluźnił się nieco, dopiero kiedy opuścili stację. Tego dnia okazał się zaskakująco dobrym towarzyszem. Intuicyjnie wyczuwał, kiedy trzeba rozmową zająć uwagę młodszego, zagubionego kolegi, a kiedy pozwolić mu rzucić długie spojrzenie na budynki szkoły podstawowej.

– To mi wygląda na bardzo dużo poczty jak na dwa dni – stwierdził, kiedy znaleźli się przed domem Martina. Chłopak odruchowo zgarnął plik kopert ze skrzynki i włożył pod pachę. Dwie prenumeraty zamawianych przez niego magazynów, jakieś rachunki i chyba list z wezwaniem na komendę. Westchnął i ruszył do głównego wejścia. Przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi wejściowe. Wszystko wyglądało tak samo jak w poniedziałek, kiedy nie podejrzewając niczego wychodził do pracy. Tamtego ranka wciąż miał nadzieję, że Klara będzie chciała się z nim pogodzić przed wyjazdem.

Greem szedł za nim, rozglądając się uważnie i dotykając absolutnie wszystkiego, co wydawało mu się choć trochę nowoczesne. Nawet nie próbował ukryć fascynacji.

– Ty... nie pochodzisz stąd, prawda? – zaryzykował pytanie Martin. Dopiero po rozmowie z panią Althan uświadomił sobie, że żaden z odwiedzających nie był taki jak on. Nikt oprócz niego nie wchodził przez drzwi budynku wyglądającego jak stary, zaniedbany magazyn, idealny na kryjówkę handlarzy narządami – każdy otwierał własne przejście w przestrzeni.

Greem pstryknął palcami.

– Słuszna obserwacja, młody – powiedział, przesuwając dłonią po zamkniętym laptopie. Ostrożnie, nieśmiało otworzył klapę. Jego szare oczy rozblęły. – Na pewno nie pochodzę z tej Europy, którą znasz. Wychowałem się na Złotej Uliczce. Alchemicy – dodał. – Przygarnęli mnie i przekazali część swojej wiedzy. Miałem zostać jednym z nich, ale jak na razie sowi bogowie mi nie sprzyjają. Współczesną Pragę znam tylko z wycieczek terenowych z Kolegium. Po czym poznałeś? – zapytał.

– Właśnie po tym – odparł Martin, z zainteresowaniem obserwując, jak towarzysz próbuje pisać na klawiaturze wyłączzonego komputera. Greem momentalnie cofnął rękę i schował ją do kieszeni płaszcz. – Ale prawie się dałem nabrać w metrze. Wyglądałeś, jakbyś jeździł nim tak długo, że aż ci zbrzydło.

– No wiesz – odparł Greem, mrużąc oczy. – Wykształcenie zobowiązuje. Kiepskim byłbym manipulatorem, gdybym biegał po mieście ekscytując się tym, że po raz pierwszy widzę ruchome schody albo bankomat. Kiedy jesteśmy we dwóch, mogę się nieco bardziej wyluzować – dodał. Martin również lekko się uśmiechnął. – A co do metra, to akurat z tym jestem oblatany. To jeden z pewniejszych środków transportu na drugą stronę. Nawet nie wiesz, co się wyrabia w tych tunelach, kiedy odjedzie ostatni wagonik – powiedział z rozmarzeniem. Martin miał dziwną pewność, że to nie był żart.

– Łap. – Greem rzucił w jego stronę sportową torbę, którą chwilę wcześniej wyciągnął spod biurka. – Pakuj wszystkie potrzebne rzeczy.

– A ty?

– A ja sobie odpocznę – odparł, rzucając się na łóżko i wbijając wzrok w ścianę. Każda wolna powierzchnia oklejona była plakatami z różnych spektakli. Jedną z szafek wypełniały teatralne lalki z różnych stron świata. Martin zamawiał je przez Internet lub dostawał od rodziny i znajomych. Na korkowej tablicy przyczepiał zdjęcia z amatorskich występów i warsztatów.

– Zgaduję, że nie zapraszasz tu zbyt wielu dziewczyn – stwierdził Greem, gdy już zakończył kontemplację. Martin niechętnie mu przytaknął.

– Tylko Klara tu przychodziła – przyznał. Jego wzrok padł na jedną z siedzących na szafce pacynek. Była to przerobiona ze skarpetki bardzo wierna podobizna Upiornego Klauna. – To postać z jej komiksu – wyjaśnił. Greem gestem dał do zrozumienia, że chce się jej bliżej przyjrzeć. – Arcywróg głównych bohaterów. Zrobiła ją dla mnie rok temu na urodziny.

– Całkiem niezła jak na dzieło amatora – ocenił towarzysz Martina, gdy już dostał lalkę w swoje ręce. – Jak się nazywa?

I nagle Martin zaczął opowiadać. O Upiornym Klaunie, o Kocie i Ciastku, o okropnej przygodzie z urządzeniem zwanym Młynkiem do Mięsa. O wspólnym jedzeniu pizzy i oglądaniu animowanych i aktorskich adaptacji komiksów o superbohaterach. O czternastu dniach na ratowanie świata i o nowych znajomych Klarki.

Za osobisty sukces uważał to, że udało mu się nie rozkleić. Po prostu mówił, wrzucając do torby kolejne rzeczy. A Greem milczał.

– Wiesz coś więcej o tych jej znajomych? – spytał, gdy opowieść dobiegła końca. – Gdzie ich spotkała? Czy się zajmują?

– Nie mówiła mi o nich zbyt wiele, była wyjątkowo tajemnicza. Z tego, co udało mi się z niej wyciągnąć, poznała ich w Internecie. – Widząc pytające spojrzenie Greema, Martin znacząco postukał palcem w komputer. Chłopak wydał z siebie ciche mruknięcie i pokiwał głową. – Poznali się poprzez wpisy na stronie, na której ludzie wklejają straszne historie, takie... chyba bardzo powiązane z drugą stroną. Zwiedzają stare budynki... ogółem, różne takie bardzo dziwne sprawy.

– I twierdzisz, że poznała tych ludzi mniej więcej w tym samym momencie, kiedy zaczęłaś pracować u pani Althan, tak?

– Tak, jakoś tak. – Martin zmarszczył brwi. – Właściwie jak tylko dowiedziała się, że dostałem pracę. Jednego dnia pisałem do niej wiadomość, że się udało, a drugiego olała spotkanie ze mną, bo podobno miała sprawę do obgadania ze znajomymi. Nie powiedziała, jakimi, ale później to

się powtarzało. Raz widziałem tych ludzi i wydali mi się dziwni... A to ja pracuję w sklepie, który działa na Obrzeżach!

– Byłeś zazdrosny, że spotyka się z nimi, a od spotkań z tobą wykręca się wzmiankami o nawiedzonym sklepie?

Martin posępnie pokiwał głową.

– Wiesz, czemu nawiązała kontakt z tymi ludźmi? – zapytał ostrożnie Greem, siadając po turecku. Wciąż bawił się pacynką.

Martin zmarszczył brwi.

– Nie zastanawiałem się nad tym – przyznał. – Wydawało mi się, że po prostu chce mnie wkurzyć. Pokazać, że skoro ja sobie znalazłam pracę, którą ona potępia i uważa za podejrzaną, to ona sobie znajdzie lepszych znajomych.

– Których ty uważałeś za podejrzanych, a ona nie chciała się nimi chwalić? – spytał z powątpiewaniem rozmówca. – Nie widzę tego w ten sposób. Z tego, co o niej opowiedziałeś, wynika, że gdyby chciała wzbudzić w tobie jakąś dziecinną i niepoważną zazdrość w stylu „wypchaj się, mam nowych przyjaciół”, chwaliłaby się nimi. Opowiadałaby, gdzie chodziła i co robiła, obnosiłaby się z tym, paradowałaby pod twoimi oknami.

Martin przez chwilę spoglądał na niego z wahaniem. Greem miał rację. Skoro Klara chciała mu zrobić na złość, czemu unikała tematu? Co próbowała ukryć?

– Jeśli chcesz mnie zachęcić do zrealizowania tego głupiego pomysłu Canelle, to zapomnij. – Wrócił do pakowania koszul, ciesząc się, że przynajmniej przez chwilę nie musi znosić badawczego spojrzenia szarych oczu.

– Oho – mruknął Greem. – Widzę, że nieźle nastąpiła ci na odcisk. Co to był za pomysł?

– Próbowała mnie namówić, żebyśmy pobawili się w detektywów i na własną rękę wytropili mordercę. I sugerowała, że nie wspomniano o ewentualnym usunięciu organów z ciała.

Chłopak zaśmiał się cicho i nieco posępnie.

– Tak, to bardzo w jej stylu – przyznał. – Nie miej do niej pretensji – dodał po chwili. – Co prawda mając szesnaście lat powinna znacznie lepiej radzić sobie z empatią, ale... wychowała się na Obrzeżach i od dziecka miała kontakt ze specyficznymi ludźmi. Czasami zdarza jej się zapomnieć, jak reagują ci normalni.

– Ty nie masz z tym większych problemów – wytknął mu Martin.

– Mnie uczą, jak nie mieć z tym problemów – poprawił go Greem. – Jej nikt nie nauczył i nie sądzę, żeby kiedykolwiek pojawiła się szansa na to. Już Petra Althan na to nie pozwoli – dodał, wykonując dłonią gest imitujący wprawianie marionetki w ruch.

Martin odwrócił się do niego, nagle zaintrygowany.

– Dlaczego pani Althan miałyby się nie zgodzić na to, by Canelle poszła na studia? – spytał. – I dlaczego miałyby mieć na to wpływ? Sama powiedziała, że Kolegium jest dość... stanowcze, jeśli chodzi o rekrutację.

– Bo jest – przyznał Greem. – Ale dla bratanicy osoby, która była członkiem Rady, na pewno będą mieli specjalne względy.

– Co? – Naręcze ubrań wypadło z rąk Martina i rozsypało się na dywanie wokół torby. – Pani Althan jest... należała do Kolegium?

– Odeszła pięć lat temu i przejęła sklep ze starociami, bo to chyba jakiś rodzinny interes. Nie powiedziała ci, prawda? – zapytał Greem, uśmiechając się dziwnie. Tak jak wtedy, podczas piątkowego spotkania, kiedy mówił o przebiegu rekrutacji.

– Powinienem być się domyślić – wyszeptał Martin. – Wiedziała, do jakiej szkoły się

wybieram. Nie powiedziała mi ani razu, skąd wie, ale wiedziała.

– Oczywiście, że wiedziała – pokiwał głową Greem. – Uczyła dziesiątki dzieciaków takich jak ty, rekrutowała pewnie jeszcze więcej. Dostrzegła w tobie przyszłego manipulatora, zanim zdążyłeś otworzyć usta. I z jakiegoś powodu obiecała ci ostatnią marionetkę, jaką wykonał Podróżny przed swoim zniknięciem. Nie mam pojęcia, dlaczego. – Wzruszył ramionami.

– Pokłóciliście się z nią – przypomniał sobie Martin, zerkając na niego z ukosa. – Ty i Inga. Byliście w sklepie wczoraj albo przedwczoraj.

– Powiedzmy, że istnieją pewne różnice zdań co do tego, o czym powinniśmy, a o czym nie powinniśmy ci na razie mówić – padła spokojna, ostrożna odpowiedź. – Także w sprawie jej powiązań z Kolegium. To była jedna z tych rzeczy, które ona wolała przemilczeć, a my uznaliśmy, że lepiej ci powiedzieć. Dlatego proszę – Greem zwrócił czujne spojrzenie na Martina – udawajmy, że ta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

– Dużo jest tych rzeczy? – spytał poważnie Martin, ignorując jego prośbę. – Tych, które ona woli przemilczeć?

– Co do większości zgadzamy się, że powinieneś poznać je samodzielnie, szukając odpowiedzi na własną rękę – odparł w zadumie wychowanek alchemików. – Tak będzie... właściwie.

– Skoro tak mówisz...

– A żeby się czegoś dowiedzieć, musisz zacząć działać – kontynuował nieco bardziej stanowczo chłopak. – Canelle jest momentami nieco gruboskórna, ale zapewniam, że ma serce po właściwej stronie. Próbuje cię zachęcić do działania, bo wie, że to ważne. Odpowiedzi same do ciebie nie przyjdą, musisz po nie wyruszyć.

– Ale co z testem? – Martin zmarszczył brwi. – Pani Althan powiedziała, że to jest teraz najważniejsze, że to nad tym mam się dobrze zastanowić i nie robić nic głupiego, i... Co o tym myślisz? – spytał bezradnie.

– Myślę – odparł poważnie Greem – że musisz odpowiednio ustawić swoje priorytety. Obaj dobrze wiemy, że tak naprawdę ten test to ostatnia rzecz, jaka cię w tej chwili obchodzi. Masz tysiąc pytań i domysłów dotyczących tego, co spotkało Klarę. Nie skupisz się na zadaniu testowym, dopóki nie uporzysz się z tą sprawą. Nie ma sensu się oszukiwać.

Martin nie mógł zaprzeczyć. Tak naprawdę nie przestawał o tym myśleć, od kiedy Greem zwrócił jego uwagę na znajomych Klary. Westchnął i spojrzął na biurko. Leżały na nim listy, które rzucił tam po wejściu do pokoju. Prenumerata, pismo z policji, rachunek, prenumerata. Oraz, na samym spodzie, brązowa koperta, zaadresowana drżącym pismem pani Berg. Niemal rzucił się na nią, rozrywając pospiesznie. W środku znajdowała się druga koperta oraz kartka.

Drogi Martinie,

Znaleźliśmy tę kopertę w pokoju naszej Klarki, na biurku. Była zaadresowana do Ciebie, więc najwyraźniej to ważne, żebyś ją otrzymał.

Nie było cię w domu, więc pozwoliłam sobie wrzucić ją do Twojej skrzynki. Nie otwierałam koperty i nie mówiłam o niej policji.

Alina Berg

PS Poinformuję Cię o dokładnej dacie pogrzebu.

5. Pod Trupkiem

Martin stał pośrodku pokoju z głupią miną, trzymając kartkę w ręce. Greem podniósł się z łóżka i pocieszająco położył mu dłoń na ramieniu. Chłopak nie zaprotestował, wciąż skamieniały, niezdolny do reakcji.

– Musiała przeczuwać, że stanie się coś złego – wyszeptał.

– Dwa tygodnie na naprawę świata – powiedział Greem, powtarzając wcześniejsze słowa Martina. – Czternaście dni do jego zniszczenia. Co byś powiedział na kufel staropramena? – zaproponował.

– Co? Chcesz teraz iść na piwo?

–...w Knajpie Morderców? – dokończył niewinnie Greem. Martin zamrugał.

– Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

Knajpa Morderców: to brzmiało jak dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań zabójcy Klary.

– Zawsze na końcu złotej drogi – odparł spokojnie wychowanek alchemików. – Miejsce dla prawdziwych poszukiwaczy przygód.

– To znaczy, że...

– Aha. Złota Uliczka. Tam właśnie się wybieramy.

– O cholera. – Martin podszedł do okna i zbladł. – Policja. Przyjechali po mnie... – zerknął na list wysłany z komendy.

Greem lekko przekrzywił głowę,

– Ja tam bym się specjalnie nie przejmował. Pewnie przyjechali z jakimiś pytaniami do rodziny Klary albo do innych sąsiadów.

– Chcą mnie zabrać... na przesłuchanie. Do mnie ostatniego Klara dzwoniła. Nie mam alibi. Jestem podejrzany.

– Nie zapominaj, że jesteś też jednym z kandydatów do Praskiej Szkoły Lalkarzy. – Dziedzic alchemików również wyjrzał przez okno. Radiowóz zatrzymał się przed domem pana Svobody.

– Jestem pewien, że nawet jeśli ktoś wpadł na to, by cię podejrzewać albo przynajmniej chcieć przesłuchać, manipulator działający w szeregach policji już dawno sprawił, że ten pomysł upadł. Nic ci nie grozi, przynajmniej tak długo, dopóki jesteś brany pod uwagę w procesie rekrutacji.

Martin zamrugał.

– Naprawdę?

– Znajomy z mojego roku był w podobnej sytuacji. Wpakował się w coś, ale nawet go palcem nie tknęli, bo Kolegium o to zadbało. Ale tak czy inaczej lepiej ich nie drażnić i nie wchodzić im w drogę, bo jeszcze sobie przypomną, że możesz być użyteczny.

– Więc... co robimy? – zapytał Martin, zarzucając torbę na ramię.

– Zbieramy się stąd. Spokojnie i bez pośpiechu, przecież nie ma żadnego powodu, by się stresować. To twój dom i możesz sobie wychodzić, kiedy chcesz, niosąc tyle bagażu, ile tylko zapragniesz.

To rzeczywiście wydawało się sensownym rozwiązaniem. Jak gdyby nigdy nic zabrali torbę, wyszli z domu i przeszli obok radiowozu. Greem gwizdał cicho pod nosem, trzymając ręce w kieszeni płaszcza. Uprzejmie skinął głową panu Svobodzie, który mruknął coś nerwowo i wskazał na Martina. Żaden z policjantów nie zwrócił na ten gest najmniejszej uwagi.

– Najkrótsza droga do stacji metra – mruknął Greem, gdy już ich wyminęli. Martin skinął głową. Oczywiście, że pamiętał trasę na skróty. On i Klara znali właściwie każdą drogę na tym osiedlu.

Przemykali między ogródkami, garażami i blokami. O tej porze na szczęście dorośli byli w pracy, pogoda zaś nie zachęcała seniorów do przesiadywania na ławeczkach. Dotarli na stację metra. Martin zdziwił się, gdy nie weszli od razu do budynku, tylko zaczęli krążyć wokół niego.

– Myślałem...

– Knajpa Morderców, pamiętasz? – powiedział chłopak.

– Ale... sądziłem, że... Złota Uliczka...?

– Na końcu złotej drogi – przypomniał mu Greem. – Zakładam, że z braku laku żółta linia metra też się liczy. Gdzie tu jest jakaś najbliższa mordownia? – zapytał wesoło.

Ze wskazaniem takowej Martin też nie miał problemu.. Opowiadano o niej straszne historie i szeptem powtarzano plotki o właścicielu, który się powiesił. O tym, że ten interes przynosi pecha. Dziwne, że sam wcześniej na to nie wpadł.

– Pod Trupkiem? – przeczytał Greem, kiedy już znaleźli się przed drzwiami właściwego lokalu. – Bardzo trafnie, zaiste.

Lokal znajdował się w piwnicy budynku naprzeciwko stacji metra. Był obskurny i naprawdę przyciągał najgorszego rodzaju klientelę.

Ale podobnie działała przecież obdrapana elewacja antykwariatu, przypomniał sobie Martin. Pchnął drzwi i zszedł po schodkach na dół.

Pierwszą osobą, którą dostrzegł w zadymionym wnętrzu, była Canelle. Nawet w ciemnym, sztucznie oświetlonym pomieszczeniu dało się rozpoznać jej cyrkonowe włosy. Siedziała na barowym stołku i rozmawiała ze stojącą za ladą barmanką. Obok Canelle zajmowały miejsca jeszcze dwie osoby: chłopak w kaszkiecie i smukła, piegowata dziewczyna z włosami związanymi rzemieniem w kucyk. Martin rozpoznał ich, dopiero kiedy zwrócili oczy w stronę wejścia. Poznał tę dwójkę podczas piątkowego spotkania w antykwariacie. Tylko raz widział wcześniej tak dziwnie, absurdalnie wielokolorowe oczy.

– Sida i Sin poznałeś w piątek – powiedziała Canelle. Sin zdobyła się na oszczędny uśmiech i skiniecie głową. Sid chyba nawet nie dostrzegł, że ktoś do nich dołączył. – A to jest Stina.

Stojąca za barem dziewczyna uśmiechnęła się i potrząsnęła burzą ciemnoblonde loków. Wyglądała na mniej więcej dwadzieścia lat. Ubrana była w odsłaniającą ramiona czarno-niebieską sukienkę i gorset, podkreślający wąską talię oraz kształtne piersi. We włosy miała wplecione granatowe wstążki.

– Christina – przedstawiła się, wyciągając dłoń do Martina. – Ale chłopaki mówią na mnie Stina, bo to bardziej pasuje do ich artystycznej wizji. No wiesz, trupa teatralna, Sid, Sin i Stina. Ja śpiewam, a ci dwaj robią cyrkowe sztuczki i okradają publiczność. – Uwadze chłopaka nie umknęło to, że policzyła Sin jako osobę płci męskiej. Sin zdawała się nie mieć z tym problemu. – Oczywiście nie zawsze. Tylko wtedy, gdy wracają ze swoich podróży po bezdrożach. To awanturnicy, jadą tam, gdzie cyrkowe wozy. W piątek też zostawili mnie tu samą, biedną, bo chcieli koniecznie iść zobaczyć ten nowy nabytek, o którym Canelle tyle nam opowiadała. – Wyszczyrzyła się do Martina. – Witamy po drugiej stronie. Przepraszam, że nie mogłam wpaść na imprezę, ale ktoś musi pilnować interesu.

– Mówi, jakby była nie wiadomo kim – wtrąciła Sin. – Tak naprawdę tylko zaśpiewa jedną piosenkę, doprowadzi wszystkich do płaczu i to cała jej robota.

– Na szczęście od robienia prawdziwego *show* mam was – zakpiła Stina.

– Nareszcie jesteście – powiedział Sid, do którego najwyraźniej dopiero teraz dotarł fakt ich przybycia. Jego wzrok był dziwnie nieobecny, podobnie jak głos. – Skąd ta zwłoka, Greem?

– Właśnie – poparła go Canelle. – Zdążyliśmy już odwalić kawał roboty przed waszym

przyjściem.

Martin zmarszczył brwi.

– Zaraz! – Spojrzał podejrzliwie najpierw na Greema, a potem na Canelle. – Wiedziałaś, że tu przyjdę, prawda?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, potwierdzając jego domysły.

– Wiedziałałam, że Greem znajdzie sposób, by zachęcić cię do działania – przyznała. – Ostatecznie jest jednym z pretendentów do tytułu Mistrza Marionetek.

Martinowi nie spodobało się to miano. Cała ta wypowiedź nie brzmiała za dobrze.

– Tak jak ci mówiłem, młody – Greem rozłożył bezradnie ręce – wszystko dla twojego dobra. – Skłonił się lekko. – Skoro przyprowadziłem zgubę na miejsce, będzie lepiej, jeśli zostawię was samych.

– Nie zostaniesz? – spytał z żalem Martin. – Myślałem, że...

– Innym razem, młody. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jestem pewien, że doskonale sobie poradzicie. Swoją drogą, Sid, widziałeś może gdzieś Aislinga? Może masz od niego jakieś wieści?

Chłopak w kaszkiecie nie odpowiedział, zajęty wpatrywaniem się w swój kufel z piwem.

– Przykro mi – powiedziała Sin. – Nie mieliśmy z nim kontaktu od piątku.

– Postaram się z nim jakoś skontaktować – odparł Greem, salutując. – Do widzenia, Canelle. Życzę świetnego występu, Stino. Żałuję, że nie mogę zostać. – Żegnając się chyba ze wszystkimi gośćmi, którzy stanęli mu na drodze, wycofał się na schody.

Sid poruszył się niespokojnie.

– Aisling pewnie poluje na smoki czy inne paskudztwo – powiedział, wciąż wpatrując się w kufel z piwem.

– On już poszedł, Sid – powiedziała Sin, z rezygnacją kręcąc głową.

– Aha. Trudno.

Stina poprawiła niebieskie wstążki we włosach.

– No dobra – powiedziała, uśmiechając się lekko. – Sid, idź pilnować interesów. Sin, pilnuj Sida.

– Opowiadałaś o mnie znajomym? – spytał z pretensją w głosie Martin, kiedy zasiedli przy jednym z drewnianych stolików. Martin miał w ręku piwo, Canelle popijała ze szklanki kofolę¹.

– Oczywiście, że opowiadałam o tobie znajomym – przyznała bez większych oporów. – Nie codziennie ktoś sam z siebie składa podanie do Praskiej Szkoły Lalkarzy i dostaje odpowiedź. Kiedy wszyscy dowiedzieli się, że pracujesz u nas, bardzo ich to zainteresowało.

– Aha – odparł po prostu Martin. Nie był pewien, czy powinien się czuć zaszczycony, czy raczej zaniepokojony.

– Rozmawiałam już z Sidem i Sin – powiedziała Canelle, sącząc napój przez słomkę. – Wypytywałam ich o twoją koleżankę.

– I co?

– Oni sami zbyt wiele nie wiedzą – odparła dziewczyna, robiąc smutną minę. – Przynajmniej nic na temat piątku. Prawie całą noc spędzili u nas, nie wychodzili. Ale będą szukać dalej.

– A ona? – spytał Martin, ruchem głowy wskazując na nalewającą właśnie piwo barmankę.

– Stina była wtedy w karczmie, zajęta śpiewaniem. Twierdzi, że nie zauważyła niczego dziwnego. To znaczy, no, dziwniejszego niż zwykle – poprawiła się szybko. – Knajpa Morderców w piątce to dzikie miejsce.

– Czyli nic? – spytał rozczarowany Martin.

– Niestety, Sherlocku. Ale naprawdę się starałam.

W tym momencie pojawiła się przed nimi Stina, niosąc na tacy dwie filiżanki herbaty.

– Prezent od firmy – powiedziała wesoło. Popatrzyła na Martina i wygięła usta w podkówkę. – Przykro mi z powodu twojej koleżanki. Naprawdę nic nie widziałam.

Z westchnieniem pokiwał głową.

– Ale za to coś mi się przypomniało – powiedziała, unosząc do góry wskazujący palec. – Znowu płaczą się tu różne dzieciaki. To znaczy, no, Knajpa Morderców zawsze była otwarta na zwyczajnych przechodniów i turystów, ale teraz wygląda na to, że jakaś banda pseudogotyckich małolatów urządziła tu sobie miejsce spotkań. Nie przyglądałam im się i nie wiem, czy twoja koleżanka była wśród nich, ale uznałam, że warto ci o tym powiedzieć.

– Banda pseudogotyckich małolatów, hm? – mruknął. – Dzięki, Stina. To może się przydać.

Rozejrzał się po sali. Na razie nie widział tu żadnych mrocznych nastolatków, ale ostatecznie było dopiero wczesne popołudnie. To nie był dobry moment dla pseudowampirów. Może po prostu wystarczyło poczekać.

– Stina jest trochę taka jak ty – powiedziała Canelle, spoglądając przez ramię na barmankę.

– To znaczy?

– Z tego, co wiem, też pewnego dnia po prostu niechcący otworzyła niewłaściwie drzwi i wmieszała się w jakieś sprawy Obrzeży. Przez pewien czas była nawet asystentką Podróżnego, ale kiedy pięć lat temu zniknął bez śladu, zaczęła pracować tutaj.

– Podróżny? – Martin zmarszczył brwi. Słyszał już gdzieś to słowo. – Kim on jest?

– Podróżny to największy Mistrz Marionetek – odparła Canelle z iskrą w oku. – No dobra, nie największy, największy był Marionetkarz. Podobno założył Kolegium tylko po to, by później je porzucić. Ale Podróżny to niemal równie ważna postać. Został Mistrzem Marionetek, ale nie przyjął tego tytułu i nie podjął pracy dla Kolegium. Sam wytwarzał lalki, które umiały chodzić i mówić. To był naprawdę wielki umysł. Wmieszał się jednak w walkę z Królem Demonów, istotą zagrażającą całym Obrzeżom.

– Król Demonów? – zapytał Martin. – Brzmi to bardzo.... demonicznie. Wiesz o nim coś więcej?

Wzruszyła ramionami.

– Każdy na Obrzeżach wie, kim jest Król Demonów. Trudno to wyjaśnić komuś z zewnątrz. To jakby... – zmarszczyła brwi, mimo wszystko podejmując próbę wytłumaczenia tego pojęcia – ...esencja wszystkiego, co złe i mroczne na świecie. Czasami, gdy tego zła i mroku nabiera się zbyt dużo, druga strona i Obrzeża nie wystarczają, żeby to pomieścić. Są zbyt małe. Wtedy to przybiera fizyczną formę, podporządkowuje sobie wszystkie Istoty z Cienia i za ich pomocą próbuje przerwać granicę dzielącą obie strony świata, zdobyć władzę nad wszystkim. Nie chce tworzyć ani rządzić, zależy mu tylko na tym, by obrócić wszystko w gruzy. Mało kto ma odwagę mu się sprzeciwić. Wtedy, pięć lat temu, tylko Podróżny miał dość odwagi.

– Wygrał?

– Właściwie... – odparła z ociąganiem Canelle. – Nie wiadomo. W ogóle niewiele wiadomo o tamtym wydarzeniu. Walczyli w Starym Teatrze, budowli należącej do Kolegium, o takich samych właściwościach, jakie ma nasz sklep czy ta knajpa. Nie wiadomo, jaki dokładnie był wynik walki. Chodziły plotki, że coś poszło nie tak. Król Demonów umknął z Obrzeży, ale ludzie mówią, że prędzej czy później powróci. Podróżny zniknął bez śladu, nikt nie widział go od momentu, gdy przekraczał progi Starego Teatru. Właściwie jedyną osobą, która mogłaby

wiedzieć, co się tam wtedy stało, jest Stina. Była przy tym, obserwowała walkę.

– Ale nigdy o niej nie opowiadała?

– Jakoś nie. Po odejściu Podróżnego zaczęła pracować tutaj. Zaprzyjaźniła się z Sidem i Sin. Tak jak mówili, są kimś w rodzaju najemników. Przyjeżdżają do miasta wraz z cyrkami i wraz z nim odjeżdżają. Wpadają tutaj, żeby dowiedzieć się, czy jest coś do zrobienia. Jakaś zguba do odszukania albo demon do zabicia. Próbują znaleźć sposób, żeby wyzwolić duszę Sida z zegarka, który nosi na szyi. Zauważyłeś chyba, że nigdy się z nim nie rozstaje.

Martin pokiwał głową. Zwrócił uwagę na ten zegarek już podczas imprezy w sklepie.

– Zaraz... – popatrzył na nią podejrzliwie. – Jak to: duszę?

– Kiedyś odebrano Sidowi trzy czwarte duszy i zamknięto w tym właśnie zegarku. Gość jest w stanie w ogóle kontaktować ze światem tylko dlatego, że Sin oddała mu część swojej.

– To dlatego oboje są tacy... no... – Martin wbił wzrok w sufit. – Tacy jakby wiecznie na haju? Myślałem, że po prostu mają dobrego dilerka czy coś...

Canelle z rozbawieniem pokręciła głową.

– Nie – odparła, nieco poważniej. – Tak się objawia pozbawienie kawałka duszy. Nieustannie podróżują po Obrzeżach, starając się znaleźć sposób, żeby jakoś to odkręcić, ale jak dotąd bez rezultatu.

Martin w zadumie pokiwał głową.

– Szkoda, że Klara nie miała okazji was poznać – powiedział szczerze, z goryczą. – Usłyszeć tych historii, narysować ich. Może wreszcie stworzyłaby opowieść, którą byłaby w stanie skończyć.

Canelle popatrzyła na niego ze współczuciem znad filiżanki herbaty.

– Przepraszam za tamto – powiedziała cicho. – Mogłam być bardziej delikatna.

– Nie mogłaś – odparł, uśmiechając się lekko. – Siliłaś się na delikatność przez dwa dni, to i tak dość dużo jak na ciebie.

– Fakt.

Martin wyjął z kieszeni brązową kopertę, zaadresowaną ręką Klary, i wysunął z niej kilka kartek. Jeden z niedokończonych komiksów. Jego ulubiona *Straszna Przygoda z Młynkiem do Mięsa*, którą dziewczyna zaczęła rysować na nowo i chciała mu pokazać, zanim zaczął pracować w sklepie. Kilka szkiców, prawdopodobnie będących początkiem nowej opowieści. Tej o dwutygodniowym ratowaniu świata.

– To jej, prawda? – spytała Canelle. – Mogę obejrzeć?

Bez słowa przesunął kartki w jej stronę. Przynajmniej te stare. Nowe szkice wolał obejrzeć później, na spokojnie i w samotności.

– Bardzo ładna kreska – przyznała Canelle. Martin zerknął z pewnym rozczuleniem na znajome rysunki. Kot był niskim i chudym jegomościem o spiczastych uszach, nastroszonych włosach i domalowanych na twarzy wąsach. Ciastko – pucułowata dziewczynka – w naprawdę pilnej potrzebie transformowała się w duże, okrągłe ciastko i przetaczała po swoich wrogach. Klara nazywała tę moc „Mrocznym Ciastkiem Zagłady”. Canelle milczała, czytając z zaangażowaniem. Martin z pewną satysfakcją stwierdził, że ma wypieki na twarzy. Lektura komiksu wyraźnie ją wciągnęła.

– Nie ma mowy. – Dobięły go słowa z sąsiedniego stolika. – Nie pójde tam, nie dam rady, boję się...

– Weź się w garść – padła pełna zniecierpliwienia odpowiedź. Drgnął, słysząc dziwnie znajomy głos.. – Przecież dobrze znamy ten zagajnik, co złego może się stać?

– Co złego może się stać?! A Klara Berg? – Martin nadstawił uszu. Uwagę Canelle wciąż całkowicie pochłaniał komiks. – Przecież ona podobno była na ostatniej imprezie, którą urządził. Tej z grą w chowanego!

– No i co z tego? Przyszła, poobijała się o meble, potłukła kieliszek, poszła...

– A miesiąc później okazało się, że nie żyje! To jest prawdziwe, Terka! To nie coś, z czym można się bawić! Nie chcę kusić losu!

Terka? Terka Havlowa?

Martin zaryzykował ostrożne spojrzenie przez ramię. Dostrzegł swoją koleżankę z poprzedniej szkoły. Siedziała w towarzystwie wysokiej, chudej i bardzo zapłakanej dziewczyny, którą bezskutecznie próbowała pocieszyć.

– Wiem, że się boisz – mówiła, głaszcząc towarzyszkę po ramieniu. – Mnie też się to nie podoba, ale nie chodzi o zabawy i wygłupy. Obie rozmawialiśmy z Alexem, obie wiemy, jakie to dla niego ważne, żebyśmy tam były.

Terka Havlowa w knajpie Pod Trupkiem? Rozmawiająca o Klarze Berg i o kuszeniu losu? Nie wiedział nawet, że one się znają. Szkoła była duża, on sam znał Terkę tylko dlatego, że razem uczęszczali na angielski. Zupełnie nie wyglądała na osobę chodzącą w tego typu miejsca i spędzającą czas w towarzystwie bardzo ekstrawaganckich dziewcząt. Nawet mu się nie śniło podejrzewać ją o udział w niepokojąco się zapowiadających przedsięwzięciach. Bez wątpienia jednak była to Terka.

– I co? – Martin znów odwrócił się w stronę Canelle, nie widział więc miny dziewczyny z mocnym, gotyckim makijażem. – To, że chce odnaleźć siostrę, która rzekomo została porwana przez demona, daje mu prawo nas narażać? Cholerny egoista.

– Alina... – Terce chyba zaczęła się udzielać jej histeria. – No weź... nie wycofuj się teraz. Jeśli ty nie pójdziesz, ja sama też nie będę miała odwagi i cała gra się nie uda z naszego powodu.

– Ale ja się boję, rozumiesz? Nie pójdę tam i nie będę się bawiła w żadne gry z duchami, które mogą mnie rozerwać na strzępy, jeśli poznają moje imię. Nie po tym, co się stało z tą całą Klarą.

– Nawet jej dobrze nie znałaś. Jak długo ona się z nami trzymała? Kilka tygodni? I to kiedy byłaś chora i ominęłaś połowę wypadów.

– Tak czy inaczej się boję. I mam złe przeczucia. Przepraszam, Terka, naprawdę, nie dam rady...

Martin nie zastanawiał się zbyt długo. Wstał i – zanim Canelle zdążyła się zorientować w sytuacji – podszedł, by przywitać koleżankę ze szkoły.

– Cześć, Terka – powiedział pogodnie. Nie wiedział, co w niego wstąpiło. Ale coś na pewno. – Przypadkiem usłyszałem, że jest jakaś impreza, z której chcecie się wykręcić.

¹ Bezalkoholowy napój gazowany produkowany w Czechach i na Słowacji.

6. Najlepsze lody w mieście

– Muszę przyznać, że nie spodziewałam się tego po tobie – powiedziała pół godziny później Canelle.

– Ja też nie – odparł Martin. Odgryzając kawałek frytki, bez entuzjazmu obserwował, jak jego komputer łączy się z siecią. Obok stolika, który zajęli, stał futerał z gitarą Martina oraz plastikowa torba, zawierające rzeczy potrzebne na wieczornej imprezie. Dwie cynowe miseczki, dwie płócienne maski ze sklepu ze śmiesznymi gadżetami. Dwie latarki. Czarne ubrania, które zgodnie z instrukcją Terki kupili w sklepie z używaną odzieżą.

Ostatecznie stanęło na tym, że w zamian za odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania o Klarę Martin i Canelle zgodzili się zastąpić dwie wystraszone dziewczyny podczas wieczornego spotkania grupy. Kiedy już dowiedzieli się wszystkiego, co musieli wiedzieć, pożegnali się i ruszyli do centrum miasta. Dziewczyna prowadziła Martina bocznymi uliczkami, podziemnymi przejściami i piwnicami domów. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by otworzyć jakieś drzwi jednym z trzech zawieszonych na szyi kluczyków. Na swój sposób był tym zafascynowany.

Żył w Pradze od dziecka, a mimo to nigdy wcześniej nie miał okazji poznać miasta od tej strony. Mieszkał i uczył się w dzielnicy Černý Most, do centrum jeździł do kina, teatru lub po zakupy. Na pewno nie znał wszystkich tajnych przejść i krętych uliczek, których plan Canelle miała chyba w głowie.

Żadne z nich tak naprawdę nie było zachwycone restauracyjnym piętrem galerii handlowej, ale głód zrobił swoje. Jedzenie w miejscu noszącym nazwę się Pod Trupkiem z zasady nie wchodziło w grę. Poza tym Martin koniecznie musiał połączyć się z Internetem i sprawdzić stronę, której adres i hasło dostępu podała mu Terka. Co chwila rozglądał się nerwowo w obawie przed policją.

– Ale przyznaj się. – Canelle sięgnęła po kubek z colą i hałaśliwie pociągnęła ze słomki. – Coś ty im powiedział, że zgodziły się pogadać? I że w ogóle nie uciekły na nasz widok?

– Prawdę. – Martin wzruszył ramionami.

– To znaczy?

– Powiedziałem im, że prowadzę prywatne śledztwo w sprawie śmierci Klary Berg – uśmiechnął się lekko.

– Ach, a więc jednak. – Canelle popatrzyła na niego, wyraźnie zadowolona. – Proszę, proszę, witamy na pokładzie, panie inspektorze. No, to mów – zachęciła go, przelękając kolejny kęs hamburgera. Strona internetowa ładowała się nieznośnie powoli. – Co ci jeszcze powiedziały?

– Wymieniły imiona pozostałych członków grupy, w tym tych osób, które powinny być dzisiaj na spotkaniu. Nie znam żadnej z nich, słyszałem trochę o ich liderze, który nazywa się Alex. – Wziął głęboki oddech. – Klara przyłączyła się do nich jakoś ponad miesiąc temu, mniej więcej w tym czasie, gdy ja dostałem pracę u was – wyznał z ciężkim sercem.

Dopiero teraz, po jej śmierci, uświadamiał sobie, jak bardzo zaniedbał tę przyjaźń. Wina w znacznym stopniu leżała przecież po jego stronie. Powinien był bardziej uważać i wcześniej sprawdzić, z kim dokładnie zadaje się Klara i czego szuka w sieci.

– ...znowu się zawiesił – powiedziała usłużnie Canelle, lekko kopiąc go w kostkę. Zamrugał. Dziewczyna zdjęła swoją czapkę detektywa, pozwalając, by nieco potargane, proste włosy opadły na twarz. Zwykła w jej oczach przebiegłość mieszała się z troską.

– Przepraszam – odkaslnął. – Mówiłem, że dołączyła do nich ponad miesiąc temu. Nawiązała z nimi kontakt, bo, jak sama twierdziła, szukała odpowiedzi. Ta grupka spotykała się w jakichś

opuszczonych budynkach, bawili się w eksplorację miejską i takie tam. Tyle akurat i sam wiedziałem – przyznał, przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z Greemem i wyciągnięte z niej wnioski. – Nie wiedziałem jednak, że raz na jakiś czas ten samozwańczy szef zapraszał wszystkich na niewielkie przyjęcia, na których odprawiali jakieś podejrzane rytuały.

– Rytuały? – Canelle zmarszczyła brwi. Tym razem już nie ukrywała niepokoju.

– Sam pierwszy raz o tym słyszę. – Wziął z tacki kolejną frytkę. – Ale najwyraźniej w Internecie roi się od różnych dziwnych instrukcji. – Zerknął na laptopa, na którym strona nareszcie się załadowała. Forum internetowe z dużą liczbą postów. Na ślepo otworzył jeden z nich. Tym razem treść wczytała się zaskakująco szybko.

– O, na przykład to. – Nachylił się nad ekranem. – *Z każdym krokiem korytarz będzie coraz ciemniejszy. Ściany, podłoga i sufit zatoną w mroku i pozostanie ci wrażenie, że kroczysz w nicości. Wędrówka może trwać kilka godzin, nawet kilka dni. Z każdym krokiem będziesz czuć coraz większe zimno i pustkę, tak jakby dusza opuściła twoje ciało. Wreszcie poczujesz na sobie spojrzenie nienawistnych oczu. Nie zobaczysz rozmówcy, ale będziesz wiedzieć, że cię obserwuje. Zatrzymaj się i powiedz „przyszedłem po wiedzę”. Jeśli nie usłyszysz odpowiedzi, natychmiast uciekaj. Nie oglądaj się za siebie, nie zatrzymuj, nie wracaj do domu. Biegnij, dopóki całkowicie nie opadniesz z sił i nie zemdlejesz. Kiedy się obudzisz, będziesz wiedział, czy udało ci się umknąć.*

Sądząc po minie Canelle, właśnie przeczytał coś naprawdę niepokojącego. Wyraźnie pobladła, a jej zazwyczaj złotobrazowe oczy wydawały się prawie czarne.

– I twoja koleżanka zadawała się z ludźmi, którzy to robią? – spytała, rozglądając się na boki.

– Najwyraźniej – przyznał Martin. Po plecach przeszyły mu dreszcze. Canelle była na stałe związana z Obrzeżami. Pracowała w sklepie, którego goście pochodzili z krainy dziwnych baśni i miejskich legend, jej ciotka należała niegdyś do budzącego grozę Kolegium. W co takiego wpłatała się Klara, że Canelle tak bardzo to zaniepokoiło? – To... źle?

– Widzisz... – zaczęła z ociąganiem. – Nie wiem, czy to ja powinnam ci tym mówić, ale... no dobra. Są różne sposoby na to, żeby znaleźć się po drugiej stronie. Niektórzy przechodzą tak jak ty i Stina: nieświadomie korzystając z przejść, które z jakiegoś powodu pozostały otwarte. Zdarza się, tak jak w moim przypadku, że po prostu ktoś z rodziny powiązany jest z Obrzeżami albo... z jakimiś dalszymi miejscami. Ciocia zaznajamiała mnie z drugą stroną, od kiedy po raz pierwszy ją odwiedziłam. Poznałam wszystkich jej klientów i znajomych, dowiedziałam się, z kim lepiej nie zadzierać i jak uniknąć poważniejszych kłopotów. Dopiero kiedy czułam się bezpiecznie i wiedziałam, do kogo mogę zwrócić się po pomoc, zaczęłam eksplorować na własną rękę. To najłatwiejszy i najbezpieczniejszy sposób.

– Jaki jest ten niebezpieczny?

Dziewczyna przygryzła wargi.

– Właśnie coś takiego – powiedziała, ruchem głowy wskazując na laptopa. – Zabawy z duchami. Podążanie za instrukcjami kogoś, kogo nie znamy i kto na pewno nie życzy nam dobrze. Wyważanie drzwi, które nigdy nawet nie powinny zostać uchylone. To już nie są Obrzeża, to sięga znacznie głębiej. To jest prawdziwa druga strona, mroczna i niebezpieczna, pełna Istot z Cienia, potępionych dusz i potworów. Nawet Kolegium nie do końca trzyma to wszystko w ryzach, chociaż oczywiście stara się sprawiać takie wrażenie.

Martin również zbladł.

– W takim razie obawiam się, że mam złą wiadomość – powiedział, otwierając kolejną podstronę. Jej adres również otrzymał od Terki. – Dzisiaj wieczorem weźmiemy udział w

jednym z takich rytuałów, o nazwie „Gra w podchody”. Zgodziliśmy się przecież pomóc dziewczynom.

– Przypomnij mi, czemu one się w to w ogóle wkręciły? – spytała tonem ponurej rezygnacji.

– Przywódca tej grupki chyba im namieszał w głowach – wytłumaczył Martin. – Z tego, co mówiła Teresa, wynika, że wcisnął im historyjkę o siostrze, która zniknęła podczas jakiejś głupiej zabawy i teraz on próbuje ją odzyskać wszelkimi możliwymi sposobami.

– Wzruszające.

– Canelle, mnie też to się nie podoba, zwłaszcza po tym, co powiedziałaś. Ale oni na pewno coś wiedzą. Mogą nam sporo powiedzieć, jeśli dobrze to rozegramy.

Canelle przyglądała mu się z wyraźnym namysłem i jakby zaciekawieniem.

– Racja – przyznała. W jej oczach pojawił się błysk zdecydowania, chociaż wyraźnie nie była zachwycona pomysłem. – Ale najpierw chcę się z kimś skonsultować. Co prawda oboje żyjemy na pograniczu, ale w przypadku konfrontacji z drugą stroną nigdy nie ma się przewagi.

– Absyntowe lody? – spytał, spoglądając krytycznie na szyld, wiszący nad pomalowanymi na zielono drzwiami. – Naprawdę?

Nie miał pojęcia, jak długo szli. Po wyjściu z galerii handlowej zrobili kilka kółek wokół rynku, czekając, aż zegar astronomiczny wybije pełną godzinę. Dopiero kiedy zaczęli siódmą rundę po otaczających rynek uliczkach, na przecięciu dwóch z nich znaleźli niewielki sklepik z zielonymi okiennicami i drzwiami. Martin był całkowicie pewien, że nie widzieli go podczas żadnego z wcześniejszych okrążeń.

– Najlepsze w Pradze – przyznała ochoczo Canelle. Rozejrzała się. Słońce stało już dość nisko nad horyzontem, topiąc wszystko w złocisto-sierpniowym blasku. – O wiele, wiele lepsze niż to słodkie coś, co kupiłeś mi w centrum handlowym. Chodź – zachęciła, wstępując na schodek i naciskając klamkę.

Sklepik był mały. Dwie ściany zajmowały szafki z oszklonymi gablotami, a pod oknem znajdowały się miejsca dla gości – dwa stoliki i stare kanapy, obite poprzecieranym i nadjedzonym przez mole materiałem. Jedna ściana została oklejona tapetą w roślinne motywy. Canelle nie zatrzymała się przed gablotami, chociaż Martin z ciekawością spoglądał na butelki w różnych odcieniach zieleni. Zignorowała też sprzedawcę, który polecał zabłąkanym w Pradze turystom mniej lub bardziej wyszukane napitki i przekonywał ich do spróbowania czegoś, co „zmieni ich życie”. Jak po sznurku podeszła stojącej z tyłu pomieszczenia szafy i otworzyła ją.

Za drzwiami szafy krył się kolejny mały pokój, w którym mieścił się bar i kilka wysokich stołków. Okno zasłonięte było ciężkimi zasłonami, które lata świetności miały już za sobą.

– Nie przejmuj się Ivory – powiedziała mu na ucho Canelle, gdy przekraczał próg. – Potrafi być zgryźliwa, ale posiada informacje, których potrzebujemy. I przygotowuje świetne lody.

Za ladą stała ciemnowłosa kobieta w jadowicie zielonej sukni. Wydawała się dość młoda – jakby dopiero co skończyła studia. O ile rzeczywiście była człowiekiem – z tego, co zdążył zauważyć, po drugiej stronie wcale nie było to takie pewne. Zwłaszcza że wyglądała raczej jak stereotypowy wampir: jej usta były intensywnie czerwone, a skóra bardzo blada. Czarna grzywka niemal całkowicie zasłaniała oczy, równie zielone jak zawartość stojącej na ladzie butelki.

– O, Canelle – powiedziała, unosząc rękę. – Widzę, że przyprowadziłaś koleżankę?

– Nie jestem dziewczyną – powiedział automatycznie Martin.

– Wiem – odparła ze znużeniem. – Ale wyglądasz jak dziewczyna, więc nie mogłam sobie darować. To samo co zwykle? – zwróciła się do Canelle.

– Aha.

Skierowała się do stojącej nieco na boku lodówki. No tak, lody absyntowe. Przecież po to przyszli.

– I jeszcze jedna porcja dla Martina – powiedziała Canelle, trzymając w ręku rożek z kulką bładozielonych lodów. Kobieta przyjrzała się drugiemu klientowi.

– No, nie wiem – powiedziała. – Jesteś pewna? – Ku irytacji Martina zwróciła się do niego w formie żeńskiej. Doszedł do wniosku, że tej znajomej Canelle chyba nie uda mu się polubić. – Masz tyle odwagi?

– Czemu miałbym nie mieć? – spytał z powątpiewaniem, z mocnym akcentem na „miałbym”.

– Osiemdziesiąt procent alkoholu, dziecino – odparła, uśmiechając się kpiąco. – Nie byle co. Trzeba być uodpornionym, tak jak ona – wskazała na Canelle. – Inaczej przepali ci wszystkie połączenia mózgowie i w najlepszym razie sprawi, że zostaniesz kaleką. Chcesz tego?

– Zaryzykuję – odparł, zaciskając zęby. Zerknął ukradkiem na Canelle, która również przyglądała mu się ze śmiertelną powagą.

– No dobra, niech będzie – powiedziała z ociąganiem barmanka i podeszła do maszyny, by przygotować lody. – Ale na własną odpowiedzialność. Nie ma mowy o żadnym odszkodowaniu.

Nieco zaniepokojony i nieufny, spróbował przysmaku. Już pierwsze liźnięcie pozostawiło go w przekonaniu, że lody są całkowicie niegroźne i Canelle oraz jej znajoma po prostu doskonale bawiły się jego kosztem.

– Nie cieszyłabym się jeszcze – powiedziała złowróbnym tonem kobieta, widząc jego wyraźną ulgę. – To, że teraz ci nie jest, nie oznacza, że nie padniesz trupem, jak tylko stąd wyjdiesz.

Postanowił zacisnąć zęby i jakoś to przetrwać. Ivory nie wydawała się kimś, na kim obrażanie się robi jakiegokolwiek wrażenie.

– No dobrze – westchnęła, spoglądając na nich znużona. – Nie mam całego dnia, muszę wracać do swojej prawdziwej pracy. Tamta robota jest taka nudna... Kiedy tylko mogę, urywam się, żeby posiedzieć tutaj, chociaż wszyscy mi mówią, że w kontaktach z klientami jestem beznadziejna.

– Bo jesteś – odparł Martin, zanim zdążył się ugryźć w język.

– Dość o mnie – ucięła Ivory. – Mówcie, czego chcecie.

– Bierzemy udział w grze w podchody – powiedziała od niechcienia Canelle. – I potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy. Sama wspominałaś, że masz doświadczenie w tego typu zabawach... że tak właśnie przeszłaś na drugą stronę.

– No nie! – Ivory przesunęła po twarzy dłonią, odzianą w aksamitną rękawiczkę. – No po prostu, kurwa, nie! Ile można?! Skąd się tacy jak ty w ogóle biorą? – Wbiła w Martina nienawistne spojrzenie. – Kolejny rozpieszczony gnojek, który jest gotów narazić wszystkich, znajomych i nieznajomych, żeby odnaleźć kogoś, kogo przez swoją głupotę zgubił po drugiej stronie?!

Martin nie był pewien, czy bać się jej ataku złości, czy cieszyć z tego, że zadała sobie tyle trudu, by poprawnie określić jego płęć.

– Ivory, to nie tak – powiedziała stanowczo Canelle. – To nie był jego pomysł. To znaczy był, ale nie do końca. Nie on to organizuje.

– A, no tyle dobrego – odparła jadownicie Ivory, obrzucając ich wściekłym spojrzeniem. – Bo takich, co tego typu zabawy organizują, trzeba od razu uświadamiać, że to nie ma sensu i że żadne demony nie oddadzą im ukochanych sióstr, braci, kuzynek czy kogo tam jeszcze

zapodziali. Bo jak się ich nie uświadomi od razu, najlepiej elektrowstrząsami, to będą próbować, aż wreszcie kogoś zabiją.

– Ivory – odkaslnęła Canelle. Też wyglądała na zaniepokojoną. – Wiem, że to dla ciebie drażliwy temat. Martin nie chce robić nic w tym stylu. Osoba, która organizuje tę grę...

– Rytuał, dzieciaku – powiedziała zimno kobieta. – Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Osoba organizująca ten rytuał posiada informacje, potrzebne nam do rozwikłania tajemnicy pewnego morderstwa – ciągnęła Canelle. – Nie ma innej możliwości, by się z tym kimś spotkać, dlatego postanowiliśmy zastąpić dwie osoby, które zrezygnowały z udziału w rytuale. To wszystko.

Ivory zastanawiała się przez chwilę.

– Ktoś naprawdę powinien porozmawiać z twoją ciotką, dzieciaku – powiedziała ostro. – Za bardzo węsyzs i za bardzo wtykasz nos w nie swoje sprawy. Prędzej czy później wszyscy będziecie mieli kłopoty.

– Czy masz dla nas jakieś wskazówki? – spytała Canelle, ignorując uwagę.

Ivory popatrzyła na nią z narastającym zniecierpliwieniem.

– Co wiecie o rytuale? – spytała. – Macie o nim w ogóle jakiegokolwiek pojęcie?

– Tak – odpowiedział szybko Martin. – Poczytałem trochę w Internecie.

Sądząc po minie Ivory, to zdecydowanie nie była poprawna odpowiedź.

Wrzeszczała na nich przez następne dwie godziny, z mniejszym lub większym natężeniem i z godną podziwu pasją. Z potoku oskarżeń i połajanek udało im się jednak wyciągnąć całkiem dużo użytecznych informacji.

Wśród poszukiwaczy mocnych wrażeń powszechnie uważa się, że gdy liczba mężczyzn i kobiet w grze w podchody nie jest identyczna, Istoty z Cienia są urażone brakiem poszanowania dla reguł i atakują ze zdwojoną wściekłością, gotowe ukarać za niedopatrzenie. Prawda jest jednak taka, że widząc amatorów, którzy nie umieją podążać za wskazówkami, upiory i demony po prostu nie biorą gry na poważnie i tylko prewencyjnie straszą graczy.

Bez względu na to, czy liczba uczestników się zgadza, czy nie, Istoty z Cienia, biorące udział w grze, nie mogą nikogo zaatakować, dopóki nie zobaczą twarzy albo nie poznają imienia przyszłej ofiary.

Pod żadnym pozorem nie wolno pokazywać twarzy ani odpowiadać na wezwania.

Przeciwnicy będą próbowali wszystkiego, by uczestników do tego zmusić, dlatego najlepiej prewencyjnie włożyć sobie zatyczki do uszu, bo chęć odpowiedzenia na wezwanie kogoś bliskiego może okazać się nie do opanowania.

Jeśli w ciągu całej nocy Istoty z Cienia nie będą w stanie zabić ani uprowadzić żadnego gracza, uczestnicy wygrywają i inicjator rytuału może zadać im jedno pytanie.

Osoba, która liczy na to, że duchy po przegranej udzielą odpowiedzi na ważne pytanie, jest głupcem. Taka możliwość w ogóle nie wchodzi w grę.

– Nie rozumiem, czemu się z nią trzymasz – powiedział z irytacją Martin, gdy wyszli ze sklepiku. Było późne popołudnie, słońce stało nisko nad widnokretem. Nie mieli więcej czasu, musieli jak najszybciej znaleźć się w zagajniku niedaleko osiedla Martina. Tam właśnie, według słów Terki, miała odbyć się gra. – To jakaś wariatka, myślałem, że nas pozabija.

– Grunt, że nam pomogła – odparła pogodnie Canelle. Nie wydała się ani trochę przejęta pretensjami barmanki. – Co i tak zakrawa na cud, biorąc pod uwagę, że to dla niej delikatny temat. A poza tym jak miałabym się z nią nie trzymać? To jedyna taka okazja, żeby móc porozmawiać z najprawdziwszą ofiarą morderstwa.

– M-morderstwa? – Martin aż się wzdrygnął. Przeczucie go nie myliło, Ivory rzeczywiście nie należała do świata żywych.

Rozmawiał z duchem.

– Ach, no wiesz, to przerażenie w czasie ostatnich chwil przed śmiercią, panika, skoki adrenaliny... – rozmarzyła się Canelle. – Kto potrafi oddać to lepiej niż osoba, która padła ofiarą zabójcy?

– To znaczy, że ona jest – odkasznął – duchem?

– Nie bądź głupi – zganiła go Canelle. – Nie powierzyłabym tak ważnej sprawy Istocie z Cienia. Ivory jest aniołem. Można jej ufać, bo nie wolno jej kłamać ani działać przeciw ludziom.

– Ale... anioł handlujący absyntem?! – Martin wskazał kierunek, z którego przyszli. Absynteria zdążyła zniknąć, gdy tylko doszli do końca ulicy, tak jakby nigdy jej nie było. – Czy one nie powinny być jakieś takie... niewinne?

– Daj spokój. – Canelle popatrzyła na niego z politowaniem. – Właśnie dlatego siedzi tutaj. Sama ci powiedziała: jej prawdziwa praca jest nudna.

– Ach... no dobra... Ale... dlaczego jest... taka? – spytał, robiąc minę, naśladującą wściekłą twarz Ivory.

– Została zamordowana przez swojego przyjaciela, który zajmował się różnego rodzaju niebezpiecznymi rytuałami. Szukał swojej zaginionej po drugiej stronie siostry.

7. Podchody

Po drodze wstąpili jeszcze na dworzec, żeby zostawić rzeczy Martina w schowku na bagaże. Chłopak nie chciał ryzykować zabierania całego swojego dobytku do lasu, poza tym miał dziwne wrażenie, że to mogłoby popsuć plan, powoli kształtujący się w jego głowie. Ze sobą wzięli tylko maski, latarki i cynowe miseczki. Wcześniej w sklepowej przymierzalni przebrali się w kupione specjalnie na tę okazję czarne spodnie i bluzy z kapturami.

Kiedy wysiedli na stacji Černý Most i powoli ruszyli w stronę zagajnika, w którym miała odbyć się gra w podchody, słońce zniknęło już za horyzontem. Martin dawno nie widział tak czerwonego nieba o zmierzchu. Przypominające ogień promienie odbijały się w szybach, barwiły na różowo chmury, oświetlały plac zabaw, zdawały się podpalać korony drzew. Domy rzucały na ziemię długie, upiorne cienie.

Chłopak wzdrygnął się pod wpływem mocniejszego podmuchu wiatru i dreszczu podniecenia. Bał się, owszem, w końcu miał spędzić całą noc w lesie pełnym duchów, próbujących poznać jego tożsamość i rozszarpać go na strzępy. Czuł też jednak coś zbliżonego do ekscytacji. Nie wiedział, skąd się to wzięło. Może przyczyną była energia i entuzjazm Canelle, może cieszyło go to, że bierze sprawy we własne ręce, zamiast siedzieć i patrzeć w ścianę, walcząc z natłokiem myśli. A może po prostu rześkie wieczorne powietrze i ostry wiatr rozbudziły w nim żądę dziwnych przygód?

Nim doszli do zagajnika, słońce zniknęło za horyzontem. Niebo wciąż było jeszcze różowe, dopiero zaczynało zabarwiać się fioletem i granatem.

Na skraju lasu zobaczyli kilka postaci. Martin spojrzął na Canelle. Canelle spojrzała na Martina. W tym samym momencie wzięli głęboki oddech. Założyli białe, płócienne maski. Narzucili kaptury bluz na głowy i dołączyli do zbierającej się powoli grupki. Łącznie dziesięć zakapturzonych, zamaskowanych, milczących osób. Po chwili dołączyła jeszcze dwójka. Zgodnie ruszyli ścieżką prowadzącą w głąb lasu. Dotarli do niewielkiej polany, zatrzymali się i ustawili się w kręgu. Prawdopodobnie – zgodnie z instrukcją – ustalili wszystko już wcześniej. Zapadła całkowita ciemność.

Jedna z postaci – wysoka i dość tęga – przykucnęła i postawiła przed sobą na ziemi niewielką cynową miseczkę. Pozostali członkowie zgromadzenia natychmiast postąpili podobnie. Martin poszedł w ich ślady. Naśladując pozostałych uczestników rytuału, zaczął delikatnie uderzać w swoją miseczkę podniesionym z ziemi patyczkiem. Jednoczesne, ciche i bardzo rytmiczne dzwonięcie.

Zrobiło się zimno.

Zimniej.

Bardzo zimno.

Dłoń, w której Martin trzymał patyczek, niemal całkowicie zeszywniała. Coś pojawiło się w polu widzenia i natychmiast zniknęło. Chłód wzmagął się z każdą chwilą. Martin poczuł delikatne muśnięcie na policzku. Na pewno nie była to dłoń Canelle. Dziewczyna również była przecież zajęta dzwonieniem.

Kilka osób zaczęło wzdrygać się nerwowo i rozglądać ukradkiem, lecz nikt nie przerwał przyzywania. Wreszcie dzwonięcie całkowicie ustało, mimo tego, że wciąż uderzali swoimi patyczkami i łyżeczkami w cynowe miseczki.

Dwanaście osób niemal jednocześnie zaczerpnęło tchu.

Gra się rozpoczęła.

Martin bardzo szybko doszedł do wniosku, że to nie był najlepszy pomysł. Potwornie się bał. Z trudem dostrzegał postacie przemykające między drzewami. Raz po raz odnosił wrażenie, że gałęzie drzew nagle zmieniają się w szponiaste ręce. Nawet mimo zatyczek do uszu, które kupili wcześniej w aptece, słyszał przytłumione śmiechy i odgłosy kroków, dochodzące zewsząd. W głowie rozbrzmiewał mu wrzask Klary, rwący się i tonący w bulgocie, jakby ucięty jednym ruchem noża. Słyszał paniczne krzyki jakiegoś chłopaka. Płacz i prośby o pomoc. Przyczał się za pniem drzewa, usiadł na ziemi i nasunął kaptur na twarz. Planował przeczekać tam do końca zabawy, ale zimno szybko go przegoniło. Musiał być w ruchu. Musiał biec, by nie zamarznąć, ciągle zmieniać miejsce, nie dać się schwytać lodowatym dłoniom, zaciskającym się na gardle.

Wpadł na kogoś i z trudem uchronił się od upadku.

Biegł dalej. Przyczał się za następnym drzewem. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z innym uczestnikiem gry. Zza białej maski spoglądały na niego czarne przerażone oczy. Stłumił okrzyk zaskoczenia i odbiegł w inną stronę.

Potknął się o kogoś leżącego na ziemi i odwrócił go na plecy. Upadając, gracz prawdopodobnie rozciął sobie twarz o kamień lub korzeń. Maską przesiąknięta była szkarłatną, lepką krwią. Martin nie krzyknął tylko dlatego, że nie zdążył. Ktoś złapał go za kaptur i odciągnął. Inny uczestnik gry pomógł wstać rannemu. Chwilę później w miejsce, w którym się znajdowali, spadł ułamany konar drzewa. Ułamany! Tak po prostu! Martin nie chciał nawet zgadywać, jak i dlaczego się zламаł, skoro wiatr nie był przecież aż tak silny.

Wszak otaczały ich duchy.

Istoty z Cienia, poprawił się w myślach. Istoty z Cienia, które mimo niedociągnięć organizacyjnych postanowiły jednak potraktować grę śmiertelnie poważnie.

Między drzewami błysnęło światło latarki. Ktoś próbował odganiać zjawy.

Po chwili latarka błysnęła znów, z innej strony.

Martin postanowił na razie radzić sobie bez niej. Kiedy duchy zorientują się, że zostały oszukane, będą wściekłe i drugi raz nie dadzą się odgonić tak łatwo. Tak mówiła Ivory.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Uciekał. Chował się. Wpadał na kogoś. Błądził między cieniami, które wydawały się znajome i obce jednocześnie. Serce waliło mu jak młotem, krew pulsowała w żyłach.

Nagle dwie silne, kościste dłonie zacisnęły się na jego ramionach i uniosły go do góry. Zaczął rozpaczliwie machać w powietrzu nogami, próbując znaleźć grunt. Przez szpary w masce widział ogromne, blade, oczy.

Podpalacz.

Słowa pojawiły się bezpośrednio w jego głowie.

Podpalacz. Podpalacz drzew. Zniszczyć podpalacza, zanim puści wszystko z dymem. Wbić w ziemię, niech się ukorzeni, niech jego skóra zmieni się w korę. Niech sam stanie się drzewem, zamiast je podpalać.

Szponiasta ręka zacisnęła się na jego szyi.

Nie jestem podpalaczem, myślał gorączkowo, modląc się, by napastnik go usłyszał. *To pomyłka! Nie jestem podpalaczem, puść mnie, nie zamierzam nic podpalać, nie jestem podpalaczem, nie jestem podpalaczem!*

Blade oczy wpatrywały się w niego intensywnie. Próbował odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Wypełniały całe jego pole widzenia, skupiały całą uwagę. Las i wszystkie zakapturzone postacie na moment przestały istnieć.

Nie kłam! Jesteś podpalaczem. Rzucisz zapałkę, od której zacznie się pożar. Podpalisz

wszystko, całe miasto, kraj, ludzi, drzewa.

Nie! Zaczynało mu już brakować powietrza. Myśli były chaotyczne, nieskładne, jak w malignie. Nie zamierzam... nie drzewa, nie będę podpalał drzew, obiecuję...

Wylądował na ziemi, zdezorientowany i roztrzęsiony. Rozejrzał się w poszukiwaniu dziwnych, błądych oczu, zniknęły jednak bez śladu.

Wiedział tylko, że wciąż żyje i wciąż się boi. Zrobiło się jaśniej. Stopniowo był w stanie z coraz większą łatwością rozróżniać kształty. A później weszło słońce, odganiając zimno i uporczywe wrażenie czyjeś obecności.

Zwyciężyli.

Powlókł się na miejsce, w którym zostawili w kręgu swoje cynowe miseczki. Był wyczerpany, obolały i zmarznięty, a właśnie teraz musiał się najbardziej skupić. Wreszcie miał okazję dowiedzieć się czegoś o Klarze. O tym, co ci ludzie mieli wspólnego z jej śmiercią. Czy uzyskane informacje okażą się warte mrozącej krew w żyłach nocy?

Jako pierwszy maskę zdjął wysoki, tęgi blondyn o intensywnie niebieskich oczach. To on zainicjował grę i prawdopodobnie przewodził całej grupie.

Alex.

Lider odchrząknął i podszedł do osoby stojącej po jego prawej stronie. Martin w duchu ucieszył się, że Alex nie zaczął od niego. Jeśli tylko nie zamierzał zdejmować im masek w przypadkowej kolejności, on i Canelle będą ostatni.

Drugą osobą okazała się równie wysoka, dobrze zbudowana dziewczyna o pociemniałych z przerażenia oczach. Martin uświadomił sobie, że to z nią spotkał się twarzą w twarz zaraz na początku gry. Zdecydowana większość uczestników wciąż jeszcze walczyła ze strachem. Po zdjęciu masek ukazywały się bardzo blade twarze i oczy o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach. Jeden z graczy miał na czole szramę, która po zdjęciu maski znów zaczęła krwawić. Drobną, szczupłą dziewczyną opierała się na kiju, by odciążać skręconą nogę. Poza tym nie ponieśli większych strat.

Alex stanął przed Canelle i szybko zerwał jej maskę. Wszyscy aż westchnęli. Początkowo Martin nie miał pojęcia, dlaczego, szybko jednak zrozumiał. Terka nie miała odwagi poinformować nikogo o zamianie. Po nocy pełnej spotkań z duchami okazało się, że za maską ukrywa się zupełnie obce oblicze – nienaturalnie zadowolone i pełne entuzjazmu. Alex przełknął ślinę i podszedł do Martina. Z ociąganiem wyciągnął rękę i niepewnie odsłonił jego twarz. Na widok zdumienia i przerażenia w jego oczach Martin aż się uśmiechnął. Nie dlatego, że cieszył go cudzy strach. Dlatego, że robiło się coraz widniej, a niebo było bezchmurne. Dlatego, że cudem przeżył spotkanie z duchami. I właśnie wpadł mu do głowy świetny pomysł.

– Teresa? – zdołał wydusić z siebie Alex. Spoglądał z niezrozumieniem na dwie zupełnie obce twarze. – A–Alina?

Martin powoli pokręcił głową. Wciąż się uśmiechał, szeroko i nieco maniakalnie.

– Przegrały – odparł powoli. Canelle, nawet jeśli była zaskoczona, nie dała po sobie tego poznać. – Jesteśmy my. Nie cieszysz się, śmiertelniku?

– Ale... wy...?

– Muszę przyznać, że ich ciała są całkiem wygodne – ciągnął Martin, czując się coraz pewniej w swojej nowej roli. – Chociaż pozwoliliśmy sobie na drobne... modyfikacje – zakończył, powoli oblizując usta koniuszkiem języka.

Pozostali uczestnicy rytuału popatrzyli na siebie niepewnie. Nie mieli pojęcia, co się stało. Według instrukcji, którą przeczytali, demony powinny zniknąć z nastaniem świtu. Te jednak,

zamiast zniknąć, po prostu przejęły ciała ich koleżanek i stały tutaj, uśmiechając się szyderczo w blasku dnia.

– Chciałeś o coś zapytać, nędzny śmiertelniku – powiedział Martin, lekko przekrzywiając głowę. – Nawet pomimo strat wygrałeś starcie. Masz prawo do jednego pytania.

– Co się stało z Niną? – spytał bez wahania Alex. Był niecierpliwy. Z niepokojem i nadzieją wyczekiwał odpowiedzi na dręczące go od dawna pytanie. – Co się stało z moją siostrą? Została przeciągnięta na drugą stronę? Żyje? Mogę ją odzyskać?

Martinowi w pierwszym momencie zrobiło się go żal. Chłopak chciał tylko dowiedzieć się, co się stało z bliską mu osobą. Podobnie jak on chciał rozwiązać zagadkę śmierci Klary. Przypomniał sobie jednak Ivory i jej wściekłość. Fakt, że została zamordowana przez kogoś takiego jak Alex. Przez człowieka szukającego odpowiedzi za wszelką cenę, nie liczącego się z nikim.

– To cztery pytania, śmiertelniku – odparł władczo i ze złością. Rozumiał Ivory, a sprawa Klary mocno leżała mu na sercu. – Ale odpowiedź będzie jedna: nie masz żadnych szans na to, by odnaleźć swoją siostrę, zatem najlepiej będzie, jeśli porzucisz swoje poszukiwania. Tu i teraz. – Obserwował, jak nadzieja w oczach chłopaka gaśnie, a stanowczość i autorytet lidera znikają bez śladu. Alex opuścił ramiona i głowę. – Naraziłeś marne, śmiertelne dusze swoich towarzyszy na starcie z nami, tylko po to, by poznać tę prawdę – ciągnął z wyższością Martin. – I straciłeś dwie. Powinieneś zostać za to ukarany, jednak dostaniesz kolejną szansę: pozwolimy ci odejść i oddamy dusze dwóch uczestniczek. Lecz pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytał głośno i wyraźnie Alex, chociaż wciąż nie podnosił wzroku, a jego głos lekko drżał.

– Odpowiedz na pytanie: czy którakolwiek z twoich prób odzyskania siostry doprowadziła do śmierci Klary Berg?

– Klary Berg...? – Alex przełknął ślinę. – Ja... nie wiem, naprawdę. Mam nadzieję, że nie... nie bezpośrednio – plątał się.

– Sprecyzuj – zażądał Martin.

– Ona... była z nami... podczas rytuału odprawianego u mnie w domu. Ale później już nie przychodziła. Mówiła, że nie takich odpowiedzi potrzebuje... że chce wskazówek, jak dotrzeć do jednej osoby...

– Kogo?

– Nie wiem... N-nie pamiętam. Ale w herbaciarni na pewno wiedzą... Tam ją odesłaliśmy. Do mówiącej lalki, która udziela odpowiedzi na wszystkie pytania.

Martina korciło, żeby wypytać Alexa o szczegóły, ale intuicja aktora podpowiadała mu, że to zrujnowałoby jego przedstawienie. Uniósł tylko rękę do góry, odprawiając chłopaka lekceważącym gestem.

– Możecie odejść. Biegnijcie, nie oglądajcie się za siebie, nie rozmawiajcie. Jeśli postąpicie zgodnie z rozkazem, być może jeszcze dziś zobaczycie swoje towarzyszki żywe.

Jeszcze nigdy ludzie nie wykonywali jego rozkazów z taką ochotą.

– To było genialne – mówiła z zapalem Canelle, kiedy szli w stronę stacji metra. – Ale ich załatwiłeś! Nie wiedziałam, że za tą dziewczęcą buźką chowa się taki talent. Cudowne! – pisnęła mu do ucha. – Chyba zostanę twoją fanką!

Roześmiał się, nieco zmieszany i zadowolony z pochwały. Dochodziła piąta rano i wciąż było przeraźliwie zimno. Wdychali zapach rosy, niesamowicie intensywny i przyprawiający o zawrót głowy. Martin z trudem powstrzymywał chęć, by po prostu położyć się na wilgotnej trawie i

zasnąć. Nie mogli, musieli się stąd zmywać. Wciąż mieli na sobie czarne ubrania, a ich własne stroje znajdowały się w szafce bagażowej na dworcu.

– Ty też byłaś wspaniała – przyznał, spoglądając na towarzyszkę z uznaniem. – Myślałem, że zgłupiejesz, jak wyskoczyłem z tymi demonami, ale dałaś radę.

I nawet nie musiałaś za bardzo udawać szalonego demona, dodał w myślach, przypominając sobie jej nienaturalnie szeroki, dziwny uśmiech. Na razie nie miał dość siły i przytomności, by zastanawiać się nad słowami Alexa i tajemniczą herbaciarnią. Był zmęczony i rozkojarzony, w głowie miał dziwną lekkość. Kusiło go, by spytać o tajemnicze stworzenie o wielkich, białych oczach, nie miał jednak dość odwagi. Wołał jak najszybciej wyrzucić ten obraz z pamięci.

– To ty mnie odciągnęłaś od tego drzewa w nocy?

– Tak.

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Po prostu wiedziałam. Intuicja.

– A nie zakładałaś, że mogłem zostać ranny?

– Bez przesady. – Lekko szturchnęła go łokciem w bok. – Nie uważam cię za aż taką ciapę.

Zaśmiał się cicho pod nosem.

– Wygląda na to, że stanowimy zgrany zespół.

– Oczywiście, że tak. – Radośnie okręciła się wokół własnej osi. – Tylko pomyśl... – rozmarzyła się. – Dwójka wielkich detektywów na tropie. Szaleńcze pościgi, dreszczyk emocji, my dwoje przeciwko całemu światu!...

– Powinniśmy się jakoś nazywać – uświadomił sobie.

– Kot i Ciastko – podchwyciła natychmiast. Poczuł do niej falę wdzięczności. Za to, że wpadła na ten sam pomysł, co on i że zapamiętała postacie z komiksów Klary na tyle, że sama zaproponowała, by użyć ich imion jako pseudonimów. – Ja będę Ciastkiem.

– W porządku, detektywie Ciastko – powiedział, wznosząc oczy ku niebu. – Postanowione.

Jeszcze przez jakiś czas szli, szturchając się i spychając ze ścieżki, śmiejąc się z miny Alexa i zastanawiając się, jak bardzo będzie wściekły, kiedy zadzwoni do niego Terka i spyta o to, jak udała się zabawa.

– Ale to go nauczy – mówiła wesoło Canelle. – Zapamięta, żeby nie wyważać drzwi na drugą stronę...

Nagle spoważniała i milczeniem wskazała ruchem głowy na osobę, która zmierzała w ich stronę. Mężczyznę w długim, staroświeckim płaszczu i cylindrze na głowie, który uśmiechał się i machał do nich radośnie. W dłoni niósł drewniany kuferek. Martin zatrzymał się w pół kroku i spojrział pytająco na Canelle. Dziewczyna stanęła jak wryta, z bardzo zaskoczoną miną.

Mężczyzna tymczasem podszedł do nich, postawił kuferek na ziemi i skłonił się, zdejmując przy tym cylinder. Był niewysoki i raczej szczupły. Podobnie jak w przypadku pani Althan, nie dało się precyzyjnie określić jego wieku. Miał pogodne zielone oczy i krótkie, ciemne włosy, w których połyskiwały pojedyncze, krwistoczerwone pasemka.

– Witajcie, moi drodzy przyjaciele – powiedział, uśmiechając się do nich promiennie. – Widzę, że cieszycie się chwilą spokoju po bitwie. Canelle. – Popatrzył na dziewczynę. – Rośniesz jak na drożdżach. Niemniej jednak muszę cię ostrzec, że robisz się za bardzo wścibska. – Od niechcenia poklepał ją po ramieniu i lekko zmrużył oczy. – Będę musiał upomnieć twoją ciocię, żeby miała na ciebie oko i nie pozwalała ci wszędzie wtykać nosa. Nie chcemy przecież żadnych poważnych kłopotów, prawda? – Dziewczyna wciąż była zbyt zszokowana, by zareagować.

– A co do ciebie, przyjacielu... – Nieznajomy zwrócił się do Martina. – Muszę przyznać, że

odwaliłeś dziś rano kawał dobrej roboty. Jestem pewien, że z tak utalentowanymi młodymi ludźmi to naprawdę będzie cudowny rok – roześmiał się szczerze i pogodnie. – Chociaż oczywiście szkoda, że nie będzie z nami pana Alexa. Bardzo się starał, ale chyba jeszcze dzisiaj będziemy musieli się z nim pożegnać.

Martin poczuł, jak przenika go dreszcz. Skąd ten facet o nim wiedział? Skąd ich znał? Czemu Canelle aż tak się go bała? I czemu on sam czuł taki niepokój?

– S-słucham? – zdołał tylko wykrztusić.

– Ach, no tak, oczywiście! Jak zwykle ten wszechobecny brak należytej informacji, pod tym względem Kolegium niewiele się zmieniło. – Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce. – Pan Alex również brał udział w rekrutacji do Praskiej Szkoły Lalkarzy, ale obawiam się, że po twoim dzisiejszym, nie zaprzeczę, mistrzowsko rozegranym przedstawieniu, jego przygoda się już nieodwołalnie... skończyła.

– Ale... jak to? Czemu? Co się stało? O co chodzi? – dopytywał Martin, z każdą chwilą coraz bardziej zdezorientowany.

– Po prostu... dowiedział się od ciebie, że nie będzie w stanie wypełnić zadania testowego, którego wykonanie miało decydować o jego przyjęciu do szkoły. Powiedziałeś, że nie ma żadnych szans, co zresztą było prawdą, bo i tak ich nie miał i zachował się bardzo nierozsądnie, wybierając sobie na egzamin wstępny zadanie niewykonalne. Niemniej jednak odebrałeś mu wszelką nadzieję i nie będzie więcej próbował. A co za tym idzie, pozostaje mu wybór: albo sam się zabije, albo nie zdąży i wpadnie w ręce Kolegium.

– CO?! Jakie znowu zadanie testowe? On chciał znaleźć swoją siostrę! Tylko znaleźć swoją siostrę!

– A ty, o ile się nie mylę, chcesz odkryć przyczynę śmierci przyjaciółki – odparł z niewzruszonym spokojem mężczyzna. – Jak szlachetnie. W momencie, kiedy podjąłeś to postanowienie, stało się ono twoim zadaniem testowym. Jeśli go nie zaliczysz, zostaniesz wyeliminowany z grona kandydatów i przy okazji też z egzystencji jako takiej.

– Ale co... jak?!

– Myślałeś pewnie, że na egzaminie wstępnym wystarczy zaprezentować, jak poruszasz marionetką albo jak grasz na swoim wybranym instrumencie? – zapytał ze zrozumieniem mężczyzna i uśmiechnął się życzliwie. – Nic bardziej mylnego. Tego możesz się w każdej chwili nauczyć, będziesz miał wiele okazji na pierwszym roku... O ile się dostaniesz. Teraz, na egzaminie wstępnym, sprawdzamy raczej... kompetencje miękkie: determinację, stanowczość, umiejętność improwizacji i manipulowania innymi. Na razie zdołałeś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zdobyłeś kolejną wskazówkę i zarazem wyeliminowałeś rywala. – Klasnął w dłonie. – Brawo, przyjacielu, brawo!

Podniósł swój kuferek i na powrót założył cylinder.

– No, miło się gawędziło, ale mam jeszcze coś do załatwienia. Nawiasem mówiąc, idźcie lepiej do sklepu. Petra odchodzi już od zmysłów ze zmartwienia. Do zobaczenia wkrótce, Canelle. Do zobaczenia, Podpalaczu. – Mrugnął do nich porozumiewawczo i odszedł. Obserwowali go w całkowitym milczeniu, wstrząśnięci i nieruchomi, póki nie zniknął za rogiem uliczki. Martin opadł na kolana, przytłoczony nową porcją informacji.

– C-co... – wycedził przez zęby. Podniósł wzrok na Canelle. Nie był w stanie ułożyć zdania. Wskazał tylko bezradnie róg budynku, za którym zniknął nieznajomy. – Kto to w ogóle był?!

– Podróżny – odparła Canelle, wciąż patrząc się przed siebie niewidzącym wzrokiem. – On wrócił.

8. Stara Sprawa

– To było najdłuższe przenoszenie rzeczy z mieszkania do mieszkania, o jakim słyszałam – powiedziała z ledwo skrywaną furią Petra Althan, kiedy wreszcie dotarli do sklepu. Czekala na nich w progu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Martin i Canelle popatrzyli na siebie niepewnie. Po drodze do domu – senni i zdezorientowani – zdołali ustalić tylko, że właściwie nie ma takiej wersji wydarzeń, która nie zdenerwowałaby pani Althan jeszcze bardziej. Nie zdążyli żadnej wymyślić, bo całą uwagę musieli skupić na tym, by dotrzeć na Dejvickę. Ustalili tylko, że lepiej będzie, jeśli to Canelle spokojnie poinformuje ciotkę o powrocie Podróżnego. Po drodze zdążyli jeszcze podjechać na dworzec i odebrać nieszczęsny bagaż. Nie mieli nawet siły z powrotem przebierać się w swoje normalne ubrania, więc wciąż mieli na sobie czarne stroje, kupione do bieganina w nocy po lesie.

– Ja... – zaczął Martin.

– My tylko...

Kobieta stanowczo machnęła ręką, dając do zrozumienia, że mają milczeć.

– Nie chcę słuchać żadnych wymówek – zarządziła. – Doprowadźcie się do porządku. Jest siódma rano, niedługo trzeba będzie otworzyć sklep. I nawet nie chcę słyszeć, że jesteście zmęczeni i chcecie spać. Mieliście siłę włączyć się całą noc, będziecie mieli siłę wypakować nowy towar. Jazda.

Bez słowa weszli po schodkach i wyminęli ją w drzwiach. Nie mieli specjalnej nadziei na ulgowe traktowanie, ale myśl o rozpakowywaniu towaru ich dobiła.

– Śniadanie jest w kuchni – dodała pani Althan. – Macie godzinę, żeby doprowadzić się do porządku. Kto się spóźni, będzie przesuwiał meble.

Groźba poskutkowała. Martin właściwie połknął przygotowane kanapki, popił mocną, gorzką kawą i ruszył do łazienki. Pani Althan lubiła komfort, dlatego mimo rozpaczliwego stanu, jaki budynek przedstawiał sobą od zewnątrz, łazienka wyglądała zadziwiająco funkcjonalnie. Pysznic trochę go orzeźwił i rozbudził, pomogło też przemycie twarzy lodowatą wodą. Przebrał się w zabrane poprzedniego dnia z domu jeansy i czarną koszulkę, po czym wślizgnął się do pokoju, nastawił budzik w telefonie komórkowymi zapadł w krótką drzemkę. Kiedy zszedł na dół, Canelle krzątała się po sklepie. Sądząc po ponurej minie dziewczyny i zmarszczonych brwiach pani Althan, doszło między nimi do dość ostrej wymiany zdań. Z obu emanowała złowroga, negatywna energia, zwłaszcza gdy prychały na siebie jak rozwścieczone kotki. Czyżby to wieść o powrocie Podróżnego tak zagęściła atmosferę?

Martin nie miał możliwości dowiedzieć się więcej na temat przebiegu rozmowy. Canelle potwierdziła tylko, że opowiedziała o spotkaniu z mężczyzną i że ciotki wcale ta wiadomość nie ucieszyła. To zresztą łatwo dało się zaobserwować. Mimo że był piątek, a nowy towar zwykle rozkładali dopiero w poniedziałki, tym razem właścicielka się zawzięła. Martin miał dziwne wrażenie, że uparła się przy zrobieniu wszystkiego teraz i zaraz, żeby jeszcze bardziej ich pognębić i ukarać za zniknięcie bez wieści.

Martin z trudem znalazł chwilę, żeby poćwiczyć z Daimonem. Skorzystał z tego, że dostał polecenie, by przewiesić marionetkę w inne miejsce, na półkę, gdzie teraz znajdowały się zabawki. Ze zdumieniem stwierdził, że o ile wcześniej zupełnie nie mógł zmusić lalki, by poruszała się wedle jego woli, teraz bez trudu potrafił sprawić, by ruszała ręką i nogą. Nie umiał jeszcze pokierować nią tak, by chodziła – co wymagało dłuższych ćwiczeń i większej koordynacji – ale to był już jakiś początek.

Dopiero po południu, na pół godziny przed zamknięciem sklepu, właścicielka ogłosiła rozejm. Poczęstowała ich herbatą i ciastkami i oświadczyła, że poprzedniego wieczora, kiedy oni snuli się bez celu po mieście, byli tutaj Greem i Inga, zapraszając ich na weekend na wieś. Po namyśle stwierdziła, że Martin po ostatnich dramatycznych wydarzeniach powinien nieco odpocząć i odetchnąć świeżym powietrzem, a zapraszanie do siebie bratanicy tylko po to, by spędzała całe wakacje w zatłoczonym, dusznym mieście, jest niehumanitarne. W związku z tym wyraziła zgodę na eskapadę i nakazała obojgu natychmiast się spakować i zniknąć jej z oczu. Martin nie miał złudzeń co do jej dobrego serca i podejrzewał, że po prostu jest jej na rękę, by on i Canelle na razie gdzieś się zaszyli i że propozycja przyszła zapewne w samą porę.

Na dobrą sprawę nie musiał się pakować. Cały jego dobytek wciąż znajdował się w sportowej torbie. Gitarę postanowił pozostawić w pokoju nad sklepem. Canelle poświęciła może z dwadzieścia minut na wrzucenie do plecaka wszystkich niezbędnych rzeczy, z których większość stanowiły książki. Przebrała się w krótkie, granatowe spodenki i koszulkę w paski, zamieniła sandały na trampki, ściągnęła włosy w koński ogon i zarzuciła plecak na ramię.

- Komisarz Ciastko melduje się na rozkaz – oświadczyła ze swoim szelmowskim uśmiechem.
- Detektyw Kot też jest gotowy – powiedział Martin, salutując.

Ramię w ramię wyszli ze sklepu i ruszyli w drogę. Na dworcu spotkali się z Greemem i Ingą. Chłopak, podobnie jak dzień wcześniej, miał na sobie koszulkę z symbolem radioaktywności i obszarpany płaszcz. Przez ramię przewiesił futerał z gitarą. Inga ubrana była w błękitną sukienkę, odsłaniającą opalone ramiona. Długie, czarne włosy jak zwykle zaplotła w warkocz, który przełożyła przez prawe ramię.

– Będą jeszcze Aisling i Iskra – oświadczyła, gdy już wymienili powitania. Podążali za nią wzdłuż peronów, szukając tego właściwego. – Ale oni podróżują na własną rękę i nie zdziwią się, jeśli dotrą przed nami – dodała beztrąsko. – Chodźcie, to ten pociąg. – Wskazała na dość zabytkową lokomotywę i równie staroświeckie wagony. Martin zmarszczył brwi. No tak, oczywiście, kolejka weekendowa. Kiedyś, jeszcze w szkole podstawowej, pojechali nią aż do końca trasy, do muzeum kolei. Pamiętał, że po drodze mijali lasy i małe, zagubione pośród nich wioski. Czyżby Walter mieszkał gdzieś w tamtych okolicach?

- Ale to w cholerę daleko do Pragi – mruknął.
- Walt tak generalnie mieszka u mnie – sprostował Greem, który szedł na tyle blisko, by usłyszeć jego słowa. – Na Złotej Uliczce. Ten domek to coś na kształt jego – odkaszlnął – letniej rezydencji. Wybywa tam, kiedy chce mieć spokój.
- Zaszczyc nas kopnął, że w ogóle nas tam zaprosił – zakpiła Inga. – Nie co dzień się zdarza taka audyencja.
- Hm? – Martin zmarszczył brwi.
- Zobaczysz – odparła Inga. – Chodź – ponagliła – bo nam ten pociąg w końcu ucieknie, a następny jest dopiero jutro.

Posłusznie wskoczył na schodek i pomógł wsiąść Canelle. Ledwie weszli do wagonu, a już rozległ się gwizd lokomotywy. Pociąg ruszył niespiesznie. Poza nimi w przedziale nie było nikogo.

Zajęli miejsca. Martin próbował oprzeć głowę o torbę i zasnąć, ale jego towarzysze byli zajęci omawianiem wydarzeń poprzedniego dnia i co chwilę wyrwali go z przyjemnego odpływania w niebyt prośbami o komentarz. Pochwalono inicjatywę Martina, by zastąpić szkolną znajomą podczas gry w podchody oraz pomysł odwiedzenia absynterii i zadania Ivory kilku szczegółowych pytań.

– Naprawdę jesteście zgranym zespołem – stwierdziła Inga, chociaż wyraźnie nie przyszło jej to z łatwością. Martin zauważył, że miała trudności z przyznawaniem, że ktoś jest w czymś dobry. Cóż, na pewno nie można było jej odmówić ambicji i skłonności do rywalizacji.

Canelle roześmiała się pogodnie.

– Komisarz Ciasto i Detektyw Kot do usług – powiedziała, wstając i kłaniając się lekko. Zdjęła przy tym z głowy czapkę detektywa i Martin zadumał się, bo ten gest tak bardzo przypominał mu poranne spotkanie z Podróżnym.

– Tak się nazywacie? – spytał z uprzejmym zdziwieniem Greem i przeniósł wzrok na Martina.
– Intrygujące.

Wiedział o komiksach Klary i o tym, jakie imiona nosili ich główni bohaterowie. Po jego minie można było poznać, że popierał pomysł wykorzystania tych pseudonimów.

Rozmawiali ospale. W miarę jak oddalali się od miasta, coraz mniej było zabudowań, a coraz więcej lasów, powietrze wpadające przez otwarte okna wagonu też wydawało się bardziej świeże. W połowie drogi pojawiły się chmury i przysłoniły całe niebo. Rozmawiali ospale. Canelle opowiadała o nocnych przygodach i Martin ze zdziwieniem zarejestrował, że zapamiętała z wydarzeń w zagajniku znacznie więcej niż on. Dokładnie wiedziała, kiedy poszkodowana dziewczyna skrzyła kostkę i gdzie stał lider, gdy złamała się gałąź. Kiedy jednak Martin opowiedział o dziwnej istocie o wielkich, białych oczach, popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Nie widziałam tego – przyznała. – Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

– Nie było czasu – odparł, odwracając wzrok.

Podpalacz. Podpalacz drzew.

– Wiecie, co to mogło być?

Canelle, Greem i Inga wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Strażnik lasu – powiedział dziedzic alchemików. – Pomniejsza Istota Cienia, nie ma skłonności do agresji, na ogół nie jest niebezpieczna.

– No nie wiem. – Martin aż się wzdrygnął na samą myśl o byciu zamienionym w drzewo. – Czego mógł ode mnie chcieć?

Inga wzruszyła ramionami.

– Po prostu odpowiedział na zaproszenie. Sądząc po spadających gałęziach i innych atrakcjach, to właśnie on grał z wami tamtej nocy.

– Ivory miała jednak rację – przyznał w zadumie Greem. – One nie biorą gry na poważnie, jeśli liczba uczestników się nie zgadza. Gdyby naprawdę chciał cię skrzywdzić, ściągnąłby ci maskę, żeby zobaczyć twarz.

Martin zapatrzył się w okno. Teoria, że strażnik lasu zareagował na wezwanie Alexa i postanowił pobawić się z nimi w podchody, była całkiem sensowna, nie wyjaśniała jednak, dlaczego zaatakował właśnie jego i dlaczego nazwał go podpalaczem drzew. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę może to oznaczać, więc Canelle podjęła opowieść. Kiedy wspominała o pojawieniu się Podróżnego, twarz Ingi stężała, Greem nie wydawał się jednak specjalnie poruszony. Jego oczy wciąż miały wyraz łagodnego zainteresowania. Martin w innej sytuacji sam z ciekawością przysłuchiwałby się szczegółowej analizie słów dziwnego przybysza, teraz jednak był zbyt zmęczony. Wstał i wyszedł na korytarz. Myślał o tym, co się stanie z Alexem. Czy rzeczywiście zrezygnuje z próby wypełnienia swojego zadania egzaminacyjnego? Czy on był temu winien? Nawet nie znał tego chłopaka, nie wiedział, jaka jest jego historia i jakimi motywami się kieruje, a jednak bez wahania powiedział mu, że nigdy nie znajdzie tego, czego

szukał. Myślał o tym, stojąc w przejściu między przedziałami i wyglądając przez okno. Chmury miały granatowo-żółty odcień. Będzie padać, może nawet przyjdzie burza.

– Nie powinieneś się zadrećcać, młody – powiedział w zadumie Greem, wkładając ręce w kieszenie i wyglądając przez szybę. Martin nawet nie zauważył, w którym momencie chłopak znalazł się obok niego.

– Nie zadrećcam się.

– Wstałeś i wyszedłeś, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o tym, co powiedział Podróżny. O Alexie. Zupełnie niepotrzebnie, bo tak naprawdę zrobiłeś mu przysługę.

– Przysługę?

– Rozmawiałeś z Ivory, więc powinieneś wiedzieć. Gdyby nie ty, próbowałyby dalej. Wciąż narażałby siebie i swoich znajomych. Kto wie, może następnym razem naprawdę udałoby mu się wywołać demona? Może umierałby godzinami w męczarniach, obdzierany żywcem ze skóry, z rękami i nogami połamanymi w wielu miejscach?

– To możliwe?

– Jak najbardziej. I równie prawdopodobne jak to, że jest upartym głupcem i wcale nie wziął sobie twoich słów do serca. Może w porę dowiedział się o mistyfikacji i już planuje kolejną akcję? Tak czy inaczej... raczej nie będziesz miał w nim przyjaciela.

– On tylko chciał znaleźć swoją siostrę – powiedział cicho Martin. Czuł, że coś ściska go w gardle. Argumenty Greema były rozsądne, logiczne i uspokajające sumienie. I, niestety, niemożliwe do zaakceptowania. – Tak samo jak ja chcę się dowiedzieć, co się stało z Klarą. Nie miałem prawa – szepnął, uderzając pięścią w ścianę przedziału. Raz, drugi, trzeci. – Nie miałem prawa mu tego mówić, odbierać mu nadziei...

Greem przytrzymał jego rękę, blokując kolejny cios.

– Gdyby był na twoim miejscu, zrobiliby to samo – odparł sucho. – Nie zawahałby się podać cię Kolegium na srebrnej tacy, z jabłkiem w zębach.

– Skąd możesz wiedzieć?

Chłopak roześmiał się cicho, raczej ponuro.

– Też brałem udział w rekrutacji, pamiętasz? – zapytał. Jego twarz była odległa, nieobecna. Zamyślona. – Reguły są bardzo proste. Jesteś albo łowcą, albo zwierzyną. Jeśli nie masz dość determinacji, by przejść test, nie dostaniesz drugiej szansy.

Martin nie odpowiedział. Nie zaprotestował też, gdy Greem lekko położył mu dłoń na ramieniu i popchnął go w kierunku przedziału.

– Chodź – powiedział cicho. – Przed nami jeszcze godzina drogi, zdążysz się przespać.

Martin nigdy nie był fanem spania w środkach transportu, więc drzemka w pociągu tak naprawdę tylko jeszcze bardziej go zmęczyła i zirytowała. Drażniły go też żarty Ingi na temat domu Waltera. Nie obchodziło go, gdzie przyjdzie im się zatrzymać, o ile znajdzie tam kątek do spania i nikt nie będzie od niego niczego chciał. Kiedy wysiedli na opuszczonej stacji, poczuli, że jest duszno. Cała przyroda oczekiwała na deszcz. Może była to kwestia zmęczenia i braku słońca, ale Martin wyczuwał w powietrzu smutek.

– Musimy teraz przejść jakichś siedem lasów – powiedziała Inga, ku zaniepokojeniu Martina i Canelle. – No bo wiadomo, za siedmioma lasami, za siedzioma górami... Cholera, dlaczego mnie to nie dziwi.

– Ta droga prowadzi do wioski o nazwie Stara Sprawa – wtrącił Greem. – Dom Waltera leży w połowie drogi między wioską a stacją, więc lepiej ruszajmy w drogę, zanim zacznie padać.

Bez specjalnego entuzjazmu powlekli się przed siebie. Las wyczekiwał na deszcz, zazdrosny o

każdą kroplę wody. Nozdrza wypełniał zapach mchu, sosnowych igieł, zachłanności i zniecierpliwienia. Otaczająca ich cisza i brak wiatru były aż nienaturalne. W pewnym momencie Inga zatrzymała się i wyjęła z przewieszanej przez ramię torby niewielką, wyrzeźbioną z drewna fujarkę. Martin pamiętał, że instrumentem, w którym specjalizuje się dziewczyna, jest flet poprzeczny, ale najwyraźniej z czymś takim też potrafiła dać sobie radę. Zaczęła imitować głosy ptaków. Trochę po to, żeby się rozgrzać, a trochę, żeby zmusić je do odpowiedzi. Las szybko wypełnił się odgłosami, a Inga szła przed siebie ścieżką i wciąż grała na fujarce.

– Wiedziałeś, że instrumentem Marionetkarza był flet? – zagadnęła Canelle, zrównując krok z Martinem. Popatrzył na nią zdziwiony. Chyba nie spodziewała się, że odpowie twierdząco? Dowiedział się o istnieniu czegoś takiego jak Obrzeża zaledwie kilka dni temu i wciąż nie do końca uporał się z faktem, że pracuje w sklepie, będącym portalem do rzeczywistości opartej na dziwnych baśniach i miejskich legendach.

– Mówi się, że to on założył Kolegium – podjęła opowieść Canelle. – I że to on upierał się, by każdy manipulator oprócz wpływania na ludzi umiejętnie dobranymi słowami umiał też hipnotyzować muzyką. Stworzył Kolegium, ale po jakimś czasie stwierdził, że nie tak sobie to wyobrażał i że Rada, którą powołał, całkowicie wypaczyła jego ideały. Zmieniła się w bezduszną maszynę, próbującą kontrolować to, co z natury nie podlega kontroli. A Marionetkarz był już stary i nie nadążał za zmianami. Tak mówili ci z Kolegium, dlatego nie brali go na poważnie i nie chcieli słuchać jego rad. Więc pewnego dnia wziął swój flet i zaczął grać tak pięknie, że większość uczniów Kolegium poszła za nim, zupełnie jakby ich zahipnotyzował. – Bez wątplenia słyszała tę opowieść wiele razy i potrafiła ją powtórzyć słowo po słowie. Odpowiednio modulowała głos, robiła pauzy w odpowiednich momentach. – Młodzież, dzieci... wszyscy, którzy mieli być nadzieją Kolegium, nowymi manipulatorami, kontrolującymi wszystko wedle wytycznych Rady.

– Zupełnie jak w opowieści o Szczurołapie – uświadomił sobie Martin. – No wiesz... mieszczanie nie chcieli mu zapłacić za pozbycie się szczurów, więc przyszedł po dzieci.

– Też znam oryginalną historię – przyznała dziewczyna. – Chociaż tak naprawdę trudno powiedzieć, która była pierwsza. Czy to jakieś dalekie echo opowieści o Marionetkarzu, czy też sam Marionetkarz zainspirował się opowieścią o Szczurołapie?

– Co się stało z uczniami Kolegium? – spytał. – Z tymi, którzy poszli za Marionetkarzem?

– Schronili się w lesie, wśród ludzi-sów, uczących niedoszłych manipulatorów cyrkowych sztuczek. W zamian za to manipulatorzy przekazywali im wiedzę, którą zdołali już poznać. Pozostali z nimi, dołączyli do plemienia. Do dziś każdy buntownik... każda osoba otwarcie sprzeciwiająca się Kolegium może znaleźć schronienie wśród ludzi-sów i liczyć na ich przychylność, pod warunkiem, że jest w stanie ich czegoś nauczyć. Podobno tak właśnie postąpiła Iskra. Odmówiła udziału w egzaminie na Mistrza Marionetek i wypowiedziała posłuszeństwo Kolegium. Próbowali ją zabić, ale uciekła i schroniła się w lesie.

Iskra. Martin przypomniał sobie rudowłosą dziewczynę, która pojawiła się na piątkowym spotkaniu w sklepie pani Althan. Niegdyś na pewno była piękna, teraz jednak prawy policzek szpeciła blizna po niedawnym oparzeniu. Zaczął lepiej rozumieć, czemu pozostali uczestnicy spotkania otaczali ją takim szacunkiem. Dziewczyna, która uciekła z Kolegium, poszła do ludzi-sów i została przez nich przyjęta.

Zasłuchany w dźwięk fujarki i w opowieść Canelle, nie zauważył nawet, kiedy dotarli na miejsce. Na skraju lasu, na wzgórzu, stał dom z czerwonej cegły. Z pozoru wydawał się nieduży, mógł mieć najwyżej jedno piętro. Szalona myśl architekta – czy też może wykonawcy projektu –

sprawiła jednak, że z daleka wyglądał jak zameczek. Miał trzy wieżyczki, a na jednej z nich, najwyższej, powiewała chorągiewka. Okna budynku były wysokie, stylizowane na gotyckie, a całą posesję otaczał mur, w którym od frontu osadzona została żelazna brama. Na tle lasu, pól i zapowiadających deszcz chmur wyglądało to bardzo majestatycznie i mrocznie.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem Martin. Jakby mało mu już było sklepów z antykami, które wyglądają jak przestępcza melina i zabytkowych pociągów wiozących donikąd.

– Jak przystało na księcia – prychnęła Inga, odrzucając ciężki warkocz na plecy. Rażno pomaszzerowała przez łąkę, w stronę wejścia. – Widać, że to rodowe dziedzictwo.

– Co wy tak cały czas z tym księciem?

– A, no tak – przypomniał sobie Greem, drapiąc się po głowie. – Bo ty przecież nic nie wiesz. Tak więc krótko i na temat: Walter jest księciem z bajki. Zachowuj się i pamiętaj o etykiecie.

– Księciem z ba... co? – Martin potrząsnął głową. Był niemal pewien, że się przesłyszał lub oszalał na skutek braku snu.

– Księciem z bajki – powtórzyła usłużnie Inga. – Dziedzicem tronu jakiegoś bajkowego królestwa. Nie pamiętam, jakiego, nie pytaj.

– No wiesz, Obrzeża – dodał Greem. – Mnie wychowali alchemicy, Inge...

Dziewczyna zdecydowanym machnięciem ręki dała do zrozumienia, że nie życzy sobie kontynuować tego wątku.

– W każdym razie nasz mały Walter jest najstarszym synem króla i tak dalej, i tak dalej – wróciła do pastwienia się nad przeszłością gospodarza. Najwyraźniej sprawiało jej to swego rodzaju satysfakcję. – Ale z racji tego, że Walter jest no... Walterem – uniosła dłoń do góry i powiodła za nią wzrokiem, próbując oddać artystyczną naturę pianisty – oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie zakładał, że zasiądzie na tronie. W każdym razie jakoś się z tatą posprzeczali, nie wiem, czy ojciec go wygnał, czy sam odszedł, czy to wyszło z obu stron, ale Walt wyruszył w świat, żeby się trochę ogarnąć, zmężnieć i stać się godnym tytułu następcy tronu. Gdzieś po drodze poznał Ely i w pogoni za nią przywędrował aż tutaj. Okazało się, że w okolicy jest jakaś posiadłość, do której Walt ma prawo. Ale on o dziwo uznał, że woli Złotą Uliczkę – zakończyła z wyraźną zawiścią.

Pewnym ruchem pchnęła skrzydło bramy i weszła na teren posesji. Ogród wydawał się nieco zaniedbany, zarosnięty chwastami i suchą trawą. Mury i niewielką szopę na narzędzia porastała winorośl. Z daleka nie mogli tego zobaczyć, bo widok był częściowo zasłonięty przez mur, ale dom miał z boku oszkloną oranżerię. Walter wyszedł im na spotkanie, jak zwykle ubrany w koszulę o nieco staroświeckim kroju i proste spodnie. Wydawał się nieco bardziej pogodny, niż kiedy Martin widział go kilka dni temu. Wiejskie powietrze najwyraźniej dobrze mu robiło. Ciemne oczy były pełne zadowolenia. Czyżby udało mu się wykonać swoje zadanie?

– Już myślałem, że nie zdążycie przed deszczem – powiedział z uśmiechem, zabierając plecak Canelle i od niechcienia zarzucając go sobie na ramię. – Chodźcie do środka – zaprosił ich, wskazując otwarte drzwi. – Iskra i Aisling już są, przyjechali rano.

– Wasza wysokość... – powiedział niepewnie Martin, lekko skłaniając głowę. Inga popatrzyła na niego z politowaniem. Canelle zachichotała. Walter westchnął cicho, boleśnie.

– Naopowiadaliście mu o księciu z bajki, prawda? – zapytał zrezygnowany.

– Nie mogliśmy sobie darować – przyznał Greem. Tym razem to Martin zmierzył pozostałych nieco urażonym spojrzeniem.

– Wkręcaliście mnie? – spytał.

– Nie. – Walter przecząco pokręcił głową i uśmiechnął się nieco skrepowany. – Pochodzę z

drugiej strony, z bardzo daleka. Mój ojciec jest królem nienazwanego królestwa z baśni, którą kiedyś pewnie wymyśliło dla zabawy jakieś dziecko. Odszedłem stamtąd dawno temu. Bywałem żołnierzem, dezertorem, włóczęgą, najemnikiem i tyłoma różnymi osobami, że, prawdę mówiąc, nie pamiętam, jak to jest pełnić rolę następcy tronu. A oni – popatrzył ostrzegawczo na Inge – nabijają się ze mnie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do nich mam własny zamek.

Martin pokiwał głową, przyjmując to do wiadomości, i uśmiechnął się blado. Walter, zaginiony książę z bajki. To wyjaśniało, skąd brała się ta dziwna aura szlachectwa, którą wyczuł od niego już przy pierwszym spotkaniu.

Rozpadało się, gdy tylko Walter zamknął za nimi drzwi. Posłusznie podążyli za gospodarzem. Poprowadził ich do oszklonej oranżerii, którą widzieli podziwiając dom z zewnątrz. W zimowym ogródku oprócz palmy i drzewka cytrynowego stały dwie wygodne kanapy i stolik do kawy. Nie zabrakło też rzecz jasna fortepianu, który zdecydowanie miał już za sobą najlepsze lata. Iskra i Aisling siedzieli na kanapie, rozmawiając o czymś leniwie. Poparzona twarz dziewczyny wyglądała nieco lepiej, a Aisling wydawał się tak samo barczysty i rudy jak podczas ostatniego spotkania, może był tylko trochę bardziej brodaty. Na stoliku stały dwie porcelanowe filiżanki, a po całym pomieszczeniu roznosił się intensywny zapach świeżo parzonej kawy. Na widok gości Aisling pomachał wesoło dłonią, a Iskra natychmiast poderwała się z miejsca. Rzeczywiście była iskrą. Nawet mimo ostatnich – podobno – dramatycznych wydarzeń, w których uczestniczyła, wciąż nie brakowało jej energii i entuzjazmu. Przytuliła Greema i Martina, ucałowała Canelle w oba policzki i z nieco większą rezerwą przywitała się z Ingą. Natychmiast zaoferowała dziewczynom, że pokaże im pokoje na piętrze. Walter zdecydował, że pora przygotować kolację, a Greem i Aisling zniknęli w głębi domu, by omówić jakąś sprawę. Martin został sam. Usiadł ostrożnie i niepewnie na kanapie i troskliwie położył torbę na drewnianym parkiecie obok. Mimo wszystko był w domu księcia, pewne maniere obowiązywały. Zapatrzył się w strugi deszczu, spływające po ścianach oranżerii. Zrobiło mu się trochę słabo, więc, korzystając z tego, że nikt go nie widzi, ściągnął buty i ułożył nogi na kanapie. Zadrżał z zimna, nie był jednak pewien, czy prawdziwego, czy urojonego. W naturalnym odruchu przykrył się jednym z koców i oparł głowę o poduszkę.

Gdzieś z głębi domu dobiegały szmery rozmów i kroki. Martin słyszał deszcz zacinający o szyby i czuł zapach kawy, zmieszany z wonią przygotowywanego właśnie jedzenia. Nie wiedział nawet, w którym momencie zasnął. Co jakiś czas wybudzał się i uchylał powieki. Widział pozostałych gości, siedzących na drugiej kanapie i śmiejących się z czegoś, widział Canelle, opierającą się plecami o sofę, na której leżał i pochłoniętą lekturą. Widział sierpniowy, deszczowy zmierzch, zapadający za oknem. Upewniał się, że wciąż jest bezpieczny, że nikt niczego od niego nie chce. Że otaczają go ludzie i wciąż jest mu ciepło. Zamykał oczy, mocniej otulał się kocem i przysypiał znowu. Zupełnie nic mu się nie śniło.

Sny pojawiły się dopiero później, kiedy ucichły śmiechy i rozmowy, kiedy zgasło światło w oranżerii. Wtedy przyszły do niego cienie. Koszmary ostatniego tygodnia: martwa Klara z poderżniętym gardłem i sznurkami przywiązanymi do rąk i nóg. Długie, szponiaste palce strażnika lasu i jego blade, ogromne oczy. Pełna rezygnacji twarz Alexa, klucze Canelle, rzemyk stopniowo zaciskający się na jej szyi, duszący ją, przecinający struny głosowe niczym garota.

Martin obudził się z cichym okrzykiem i rozejrzał po ciemnym pomieszczeniu. Ktoś grał na fortepianie przyjemną dla ucha, jazzową melodię.

– O, obudziłeś się – powiedział gospodarz, uśmiechając się lekko znad fortepianu. Tym razem nie przerwał gry. – Spałeś tak mocno, że dziewczyny nie chciały ci przeszkadzać. Uznały, że

jesteś zbyt uroczy, żeby cię budzić i wyganiać do sypialni. Postanowiłem poczekać, aż się ockniesz i przy okazji trochę sobie poćwiczyć .

– Ekhm... dzięki? – odparł niepewnie Martin, przecierając oczy i wracając do pozycji siedzącej. Wciąż był jeszcze niewyspany, ale ostatnie koszmary nie zachęcały do ponownego zapadnięcia w sen. Zwłaszcza w środku nocy, w obcej sypialni. – Przepraszam, że tak się rozwalilem z kopytami na twojej kanapie.

– Nie ma sprawy. – Walter uśmiechnął się lekko i pokręcił głową. – Canelle też nam padła w pewnym momencie, ale jest trochę lżejsza od ciebie, więc Aisling zaniósł ją na górę. Słyszałem, że mieliście wczoraj ciężką noc.

Martin wzruszył ramionami.

– Canelle ci powiedziała?

– Greem – odrzekł Walter, po czym zamilkł na chwilę. Palce cały czas skakały po klawiaturze fortepianu. – Podobno wyeliminowałeś jednego kandydata.

– Też myślisz, że nie powinienem się przejmować, bo wyświadczyłem koleśowi przysługę? – spytał nieco opryskliwie Martin. Żałował, że w ogóle dał się wciągnąć w tę rozmowę.

– Nie – odparł brutalnie Walt i dla podkreślenia tego uderzył w klawisz. Instrument wydał z siebie niski i głęboki dźwięk, który jeszcze przez chwilę drgał w powietrzu. – Wyświadczyłeś przysługę sobie i po części mnie.

– Nie wiedziałem, że jestem zdolny... – przyznał Martin, opierając łokcie na kolanach i ukrywając twarz w dłoniach – ...powiedzieć komuś coś takiego... Tak go podkopać, uświadomić, że mu się nie uda, że niczego nie osiągnie...

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ta dziewczyna z absynterii, Ivory... Podobno zabił ją ktoś taki, jak ten chłopak. Ktoś podobnie jak on otwierający drzwi, które nie powinny być otwarte. Wtedy jeszcze myślałem, że właśnie w ten sposób doprowadził do śmierci Klary, że wpakował ją w niebezpieczną sytuację i poszczuł na nią jakiegoś demona. Dopiero kiedy powiedział, że nie... i kiedy później ten... Podróżny mi powiedział, że kto nie wypełni zadania, zostaje zabity... Nie miałem pojęcia.

– Wiem – przyznał towarzysz, spoglądając na niego ze współczuciem. – Nikt się dobrowolnie i w pełni świadomie nie pisze na coś takiego. Na wspinanie się po trupach do celu, na kopanie dołków pod sobą nawzajem i wzajemne wykańczanie się po drodze. – Od niechcenia przesunął dłonią po klawiszach. – Chociaż, obserwując tę rzeczywistość, w której znalazłem się teraz... Twoją Pragę, muszę stwierdzić, że chyba wszyscy się na to decydują, tylko przez większość czasu nie mają o tym pojęcia.

– Co racja, to racja – przyznał ponuro Martin. Nagle coś mu się przypomniało. Sceny, których był świadkiem podczas przyjęcia, w świetle nowych faktów nabrały innego sensu. – To dlatego się rozstaliście? – uświadomił sobie. – Ty i Eliska? Z powodu egzaminów?

– Bałem się, że coś jej się stanie – przyznał ze smutkiem Walt. – Że ktoś ją wykorzysta, żeby mnie wyeliminować. Zwłaszcza że od pierwszej chwili... od kiedy tylko dostałem list ze szkoły, wiedziałem, że moim celem... moim zadaniem będzie zapewnienie jej bezpieczeństwa. Sprawienie, że nic jej się nie stanie, że to nie wpłynie na jej życie. Że to jej w żaden sposób nie zmieni i bez względu na wszystko pozostanie taka, jaką ją poznałem.

– I jak ci idzie? – spytał szczerze zainteresowany Martin. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że to dość niestosowne pytanie, biorąc pod uwagę to, że właśnie przed chwilą rozmawiali o wyeliminowanym kandydacie.

– Dobrze – padła spokojna, zdawkowa odpowiedź. – Ukryłem ją – dodał po chwili. Jego głos

był pełen satysfakcji i cichej, żarliwej nadziei, że to, co zrobił, było wystarczające. – Jest w Dreźnie, u swojej ciotki. Sam wsadziłem ją w pociąg. Wczoraj dostałem potwierdzenie, że tam dotarła i wszystko gra.

– Och – powiedział cicho Martin. Walter wpatrywał się w niego ze swojego miejsca zza fortepianem. Nieco spięty, wystraszony. Bezradny. Jak ktoś, kto czeka na wyrok. Bo to na swój sposób był wyrok. Zdradził innemu kandydatowi do Praskiej Szkoły Lalkarzy miejsce ukrycia osoby, którą kochał i której ukrycie było jego zadaniem testowym. Martin zrozumiał, co to oznacza – Walter mu zaufał. Właśnie powierzył mu własne życie. Powoli pokiwał głową z nadzieją, że w jego oczach widać wszystko, co chciał przekazać.

– Chodź – powiedział z wyraźną ulgą gospodarz i wstał od fortepianu. Lekko otrzepał rękę, jakby próbując rozproszyć napięcie, które przed chwilą pojawiło się między nimi. – Przez to, że tak nam padłeś, nie zjadłeś kolacji. Zostawiliśmy coś dla ciebie.

– Nie jestem głodny. Dziękuję.

– Tak czy inaczej, zdecydowanie powinieneś się czegoś napić. Herbata, mleko, woda?

– Herbata – zdecydował bez namysłu. – Jeśli nie wiesz, co zrobić, zrób herbatę. Pani Althan to często powtarza – wyjaśnił. – Podobnie jak moja mama.

– Twoi rodzice...? – rzucił tonem pytającym Walter.

– Wyjechali za granicę, do pracy – odparł Martin. – Są lekarzami. Wiedzieli, że trudno nawiązuję przyjaźnie, dlatego nie chcieli zmuszać mnie do zmiany szkoły.

– To bardzo... wyrozumiałe z ich strony – przyznał w zadumie Walter, stawiając pełen czajnik na kuchence i podpalając gaz. Dom, podobnie jak prywatne mieszkanie nad sklepem pani Althan, wydawał się zaskakująco komfortowy. – Nie chcieli, żebyś został lekarzem? – zapytał. – Czy coś w tym stylu?

– W sumie nie – przyznał Martin. – Uznali, że powinienem być tym, kim ja chcę, realizować swoje marzenia, a nie ich. Są bardzo... otwarci. Starają się mieć nowoczesne podejście i w ogóle. Momentami wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdyby stawiali jakieś granice, gdyby dawali jakieś sugestie, że coś jest dziwne albo nienormalne.

– Uważasz, że tak byłoby lepiej?

– Nie wiem – przyznał chłopak. Zmarszczył brwi, próbując ubrać w słowa to, co chodziło mu po głowie. – Ale tak, jak jest teraz... Większość rzeczy, które ludziom w mojej klasie wydawały się czymś skrajnie dziwnym, dla mnie była zwyczajna i wcale nie nowa czy szokująca. Kiedy mieliśmy szkolne debaty na jakieś trudne tematy, ja zastanawiałem się, o co ci idioci się kłócą, bo dla mnie to nie była żadna nowość. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie, czułem się mądrzejszy i dojrzałszy. Ale teraz dobrowolnie znalazłem się w tej części świata, w której z założenia wszystko jest dziwne, tajemnicze i niezrozumiałe, i nawet tego nie zauważyłem. Zorientowałem się dopiero po ponad miesiącu, kiedy zginęła moja najlepsza przyjaciółka – powiedział z goryczą, zaciskając dłonie w pięści. Walter przysłuchiwał mu się w milczeniu. – To wszystko, co działo się wokół mnie, było niecodzienne, podejrzane, a ja nie zwracałem na to uwagi, no bo wychodziłem z założenia, że różni ludzie, różne style życia... Tak jakby... podchodzę do świata bez zdziwienia. To nie jest dobre i nie wiem, gdzie mnie zaprowadzi.

Woda się zagotowała. Walter wstał i nalał wrzątku do obu kubków.

– Nie wierzę – powiedział. – Nie wierzę, że żyjesz bez zdziwienia. – Popatrzył mu w oczy. – Ale chyba rzeczywiście masz ogromną tolerancję, jeśli chodzi o niesamowite wydarzenia. Ale gdybyś... gdybyś, tak jak mówisz, „żył bez zdziwienia” nie wiązałybyś się z teatrem, ze sztuką. Sam to powiedziałeś.

– Fakt – przyznał Martin i upił łyk herbaty. Była mniej więcej tak samo gorzka, jak jego przemyślenia co do wyboru ścieżki życiowej.

– Powiedz... dlaczego właśnie teatr? – zaciekał się Walter. – Czemu marionetki aż tak cię fascynują?

Martin ani przez chwilę nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– To mnie odpręży – wyjaśnił. – Pozwala mi oczyścić umysł, pozwala mi sobie wszystko poukładać. Kiedy muszę się wcielić w jakąś rolę albo kiedy mam w rękach sznurki marionetki, kiedy mam ją zmusić ją do poruszania się w odpowiedni sposób, czuję, że to dla mnie coś całkiem naturalnego, trochę jak oddychanie. Nie muszę przy tym myśleć, mogę się całkowicie wyłączyć, nie czuć żadnego oporu powietrza. To znaczy okej, czasem jest trudno i muszę się bardziej postarać, ale tak czy inaczej... naprawdę lubię to robić. Nie mam pojęcia, czy jestem w tym dobry, może beznadziejny, ale sprawia mi to przyjemność.

Walter ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Zgłosiłeś się do Kolegium, bo sądziłeś, że to zwykła uczelnia dla artystów, prawda? Coś jak szkoły baletowe czy te wszystkie *Schools of Performing Arts* w Nowym Jorku, tylko bardziej powiązane z twoim hobby?

– Tak, mniej więcej. Właściwie aplikowałem do Praskiej Szkoły Lalkarzy i do DAMU². DAMU mnie nie chciało, pozostało mi to.

– Więc nie zapominaj o tym. Nie zapominaj, że to twój cel i dlatego się zgłosiłeś. Bo chcesz robić to, co lubisz i zamierzasz zostać artystą w swoim fachu, a nie kolejnym urzędnikiem wypełniającym polecenia Rady. – Ciemne oczy pianisty rozbłyły jakimś dziwnym żarem. Jak węgielki, które ktoś położył na palenisku. – I nawet jeśli szkoła odbiega od twoich wyobrażeń, ty i tak wyciągniesz z niej dla siebie to, co pomoże ci zostać najlepszym lalkarzem. To ty wykorzystasz ich, a nie oni ciebie. – Uśmiechnął się z jakąś dziwną satysfakcją.

Martin nie był pewien, czy powinien być mu wdzięczny, czy trochę się go bać.

– Dziękuję, Walter – powiedział wreszcie.

– Nie ma za co.

² Akademia Sztuk Sceniczných w Pradze, Wydział Teatralny.

9. Kot i Ciastko podejmują trop

Resztę nocy Walt spędził na opowiadaniu o miejscach, które odwiedził podczas podróży po drugiej stronie i o napotkanych tam ludziach. O wielkiej wojnie w jednym z małych baśniowych kraików, podczas której zaciągnął się do wojska, ale szybko zrezygnował. O wiosce, w której pracował jako parobek, a później jako myśliwy. O gęstym, ciemnym lesie pełnym wrózek i driad. Martin nie wiedział, czy to prawda, czy tylko wymyślane na poczekaniu fantazje. Walt umiał opowiadać i doskonale dobierał słowa. Czarował. Pewnie właśnie dlatego Kolegium zażyczyło sobie mieć go w gronie studentów. Na pewno nie z powodu gry na fortepianie, gdyż instrumenty – według słów Canelle i Greema – były jedynie dodatkiem.

Następnego dnia Martin spał do południa, wciąż nadrabiając braki w tej materii. Pozostali goście Waltera także byli w leniwym nastroju. Inga opalała się na trawniku przed domem, a rudowłosa Iskra kręciła po ogrodzie, zrywając kwiaty do wianka. Martin obserwował ją przez chwilę, kiedy jednak Inga zaczęła warczeć na niego, że zasłania słońce, wycofał się do oranżerii. Canelle leżała na kanapie, czytając książkę zatytułowaną *Cyjanki, arszenik i inne niezbędne przyprawy*. Na głos snuła swoje teorie dotyczące tego, kto jest mordercą. Greem i Aisling przysłuchiwali się jej, co jakiś czas podrzucając coraz bardziej szalone pomysły. Koszyk z chlebem oraz deska z serami i wędliną wciąż leżały na stoliku.

– To mógł być cukiernik – upierała się Canelle, spoglądając wrogo na towarzyszy. – Ostatecznie to on upiekł ciastka dostarczone na przyjęcie.

– Ale po co cukiernik miałby mordować gościa, który je wyłącznie mięso? – zaciekał się Aisling.

– No właśnie dlatego, drogi przyjacielu, że nie raczył poszerzyć grona klientów cukiernika – wytłumaczył mu Greem, od niechcienia trącając struny trzymanej na kolanach gitary akustycznej. – Ja tam obstawiam tego klauna robiącego baloniki. Mógł czegoś dosypać, kiedy się plątał po posesji.

– Ale właśnie ci mówię, że on się nie plątał po posesji, tylko był w ogródku, gdzie robił przedstawienie.

– Ale tam było jedzenie!

– Ha ha, nie uwierzycie! – Canelle zaśmiała się nieco złowieszczo, znów odrywając od lektury. – Właśnie znaleziono ciało cukiernika. Ktoś go zamordował, uderzając w głowę aluminiowym wspornikiem siodła roweru o średnicy dwadzieścia pięć i cztery dziesiąte milimetra.

– Aż tak dokładnie? – zdziwił się przelotnie Greem.

– No.

– Chciałbym któregoś dnia poznać któregoś z autorów tych twoich książek – rozmarzył się drugi z jej rozmówców. – Chyba każdy z nich jest fascynującą osobowością.

Martin nie od dziś wiedział, że książki, wynajdowane przez Canelle na półkach sklepu z antykami, zawsze budziły burzliwe dyskusje. Nie przerywając, usiadł na kanapie, na której spędził pół poprzedniej nocy.

– O, Martin – powiedziała wesoło Canelle. – Dobrze, że wróciłeś do świata żywych.

– Powiedziała ta, którą zanosilem na własnych rękach – zakpił Aisling.

Wszyscy jakby umówili się, by nie robić nic ważnego i nie rozmawiać o niczym istotnym. Późnym popołudniem całą grupą poszli na spacer.

Był początek sierpnia, a mimo to w złotym, popołudniowym powietrzu Martin czuł nadchodzącą jesień. Orzeźwiający wiatr, pierwsze chłody. Ziemia, wciąż oszałamiająca

zapachem całonocnego deszczu, wilgotna trawa i łąny zbóż, kiedy szli brzegiem wioski. Ich wydłużone cienie padały na polną drogę. Iskra szła kilka kroków przed nimi, nucąc pod nosem i kopiąc drobne kamyczki na drodze, zadowolona i szczęśliwa, jakby wcale nie musiała uciekać przed śmiercią z rąk Kolegium albo jakby zupełnie o tym zapomniała.

Kiedy wreszcie dotarli do „zamku” Waltera, niebo było już delikatnie zaróżowione. Ktoś – chyba znów Iskra – wpadł na pomysł, by pozrywać winogrona, od których aż uginały się gałęzie. Martin przymknął oczy. Próbował zapamiętać. Ręce pełne dopiero co umytych pod kranem, ociekających wodą owoców. Wilgotna trawa, Iskra i Inga z zaciętymi minami rywalizujące o to, która zbierze więcej winogron, Greem i Canelle, chlapiący się wodą z ogrodowego kranu, śmiechy, rozmowy.

Z dłońmi wciąż pełnymi winogron poszli do oranżerii. Pili wino, znalezione przez Waltera w piwnicy, które oczywiście Inga nazwała szyderczo „królewskim rocznikiem”.

– Dlaczego Kolegium zabija kandydatów, odmawiających udziału w egzaminach? – spytał w pewnym momencie Martin. – Przecież skoro mają tak mało ludzi, to...

– Bo to Kolegium – odparła zapalczywie Inga, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Iskra tylko uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową. – Poza tym tu nie chodzi tylko o kandydatów, Martin – dodała surowo. – Miej trochę wyczucia!

To, co przydarzyło się Iskrze, wciąż było jeszcze świeżą i bolesną sprawą. Wymamrotał pod nosem jakieś przeprosiny.

– Nie, w porządku. – Iskra dołała sobie wina do kieliszka i uklękła na kanapie, kładąc poduszkę na kolanach. – Dobrze, że o to pytasz.

– Ale... jesteś pewna, że właśnie o tym chcesz gadać?

– Powinien usłyszeć, jak to działa, Inga, ma do tego prawo. Posłuchaj, Martin. – Wyciągnęła jedną nogę przed siebie. Naprawdę nie była w stanie wytrzymać w jednej pozycji dłużej niż przez chwilę. – Kolegium prowadzi surową selekcję. Nie zapraszają do siebie byle kogo. Sam fakt, że ty i Walt dostaliście listy, świadczy o tym, że macie ogromny potencjał. A taka świadomość to ogromna siła. Wiesz, że jesteś zdolny, że możesz to wykorzystać jakkolwiek zechcesz, niekoniecznie właśnie w Kolegium. A Kolegium jest zazdrosne i słabe. Kolos na glinianych nogach. – Uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją. – Ogromny pająk, przekonany, że ma wszystko pod kontrolą, podczas gdy sieci są porwane. Rada jest coraz bardziej świadoma tych słabości, dlatego nie chce, by ci zdolni młodzi ludzie opowiedzieli się po przeciwnej stronie. Żeby uciekli i biegali samopas, bez żadnej kontroli. Żeby byli w stanie kiedyś pokrzyżować plany Rady.

– To ma sens – przyznał Martin. – Ale dlaczego... dlaczego zabijają tych, którzy oblewają egzamin wstępny? – dopytywał. – Może taka osoba chce, ale po prostu ma pecha...

– Kolegium uważa, że nie ma czegoś takiego jak pech – sprostowała Inga. – To po prostu twój brak kontroli nad sytuacją, dyskwalifikujący cię jako manipulatora.

– No dobra, może – zgodził się, chociaż nie do końca przekonywał go ten sposób myślenia. Choć trzeba przyznać, że w jakiś sposób pasował on do samej Ingi. – Ale na każdej normalnej uczelni dostaje się drugą szansę. Są egzaminy poprawkowe, warunkowe zaliczenia...

– Odpowiedz sobie szczerze. – Iskra wstała i podeszła do jednej z oszklonych ścian, wychodzących na ogród. – Czy gdybyś miał możliwość teraz oblać i podejść rok później, zdecydowałbyś się na to? Zgodziłbyś się na egzamin, wiedząc, jakie jest Kolegium i jak traktuje swoich uczniów?

– Ja... – Martin zawahał się. Wiedział, że w dobrym tonie byłoby chyba powiedzieć, że za

żadne skarby. Tak naprawdę jednak nie potrafił tego przyznać z całą szczerością.

– No cóż – wtrącił dyplomatycznie Greem – może sam Martin nie jest najlepszym przykładem. Nie widzieliście jego pokoju, to nie wiecie – zaśmiał się, by nieco rozładować napięcie. – Ale pomyśl o Walterze. Pomyśl o innych, dla których ta szkoła jest przymusem, a nie marzeniem, lecz ze względu na to, że są utalentowani, Kolegium nie chce ich zostawić w spokoju.

– Kolegium wie, że nie ma sposobu, by zmusić do ponownego podjęcia wyzwania kogoś, kto za pierwszym razem poniósł porażkę – sprostował Aisling. – Dlatego po prostu oszczędza sobie wysiłku i eliminuje od razu.

– Kiedyś tak nie było – odezwała się znów Iskra, zwracając poparzoną część twarzy w ich stronę. – Ludzie szli do szkoły przygotowawczej, a potem odchodzili z niej i nie mieli zbyt dużo wspólnego z Kolegium. Bywało, że ktoś szedł do Praskiej Szkoły Lalkarzy, a później rezygnował po roku, odkrywając, że to nie to, lub zdawał egzamin wstępny kilka razy, aż do skutku.

– Więc co się zmieniło? – próbował zrozumieć Martin.

– Dyrektor – odparła z powagą Iskra. – To stanowisko objęła Erika Ekhart.

Później nikt już nie wracał do tego tematu. Rozmawiali o jakichś mało istotnych sprawach. Martin przyglądał im się w milczeniu, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Manipulatorzy. Nie, nie manipulatorzy. Nie tylko koledzy i koleżanki z przyszłej uczelni. Z każdą chwilą widział to coraz wyraźniej. Wiedział, co oznaczają spotkania, ciche rozmowy, sama obecność Iskry.

Odszczepieńcy, buntownicy rzucający wyzwanie Kolegium. Ludzie, którzy może będą w stanie coś zmienić. Zdeterminowana, wyniosła Inga. Zadumany Aisling, delikatnie obejmujący ramieniem Iskrę. Greem, uśmiechający się do swoich myśli. Poważny, pełen arystokratycznego uroku Walter, naprawdę przypominający księcia z bajki. Nawet Canelle udzielił się nastrój. Podstępny uśmiezek gdzieś zniknął. Nasłuchiwała czegoś, melodii, której nikt nie mógł usłyszeć. Może próbowała wyłapać dochodzący z lasu dźwięk fletu Marionetkarza.

Kiedy za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, Greem sięgnął po porzuconą w oranżerii gitarę i delikatnie trącił struny. Martin potrafił ocenić, że chłopak jest dobry. Że doskonale czuje swój instrument i jest do niego przywiązany, że wie, jaki wydobyć z niego dźwięk.

A później Aisling zaczął śpiewać. Ostatecznie podobno był bardem. Nie miał żadnego wybranego instrumentu, używał jedynie swojego głosu. Śpiewał piosenkę zainspirowaną niedawnym „wypadkiem” Iskry. Balladę Obrzeży, dziwną i pociągającą. Opowieść o niewidzialnym, ukrytym ogniu, potajemnie zajmującym korony drzew, łąki i domy. Cały świat. O tym, że wszystko skończy się w ogniu, a oni spłoną razem, ale póki co powinni wznieść kielichy z winem.

Co też zrobili.

Przypomniał sobie wiersz, który znalazł w książce do angielskiego. *Wielkanoc 1916* Yeatsa.

– *Zmienili, zmienili się wszyscy*³ – powiedział cicho, kiedy wznosili toast. – Rodzi się piękno straszliwe.

Niedziela zapowiadała się równie leniwie jak sobota. Siedzenie w ogrodzie, Inga i Aisling, sprzecząc się ze sobą dla samej radości sprzeczenia i kibicująca im entuzjastycznie Iskra. Wszystko toczyło się leniwym, spokojnym rytmem tykania starego zegara. Przynajmniej do momentu, w którym Canelle pojawiła się przed Martinem w swojej czapce detektywa. Ubrana była w szorty i koszulę w kratę, narzuconą niedbale na biały podkoszulek. W dłoni trzymała

swój wisiołek – trzy klucze na rzemyku.

– Detektywie Kot – powiedziała, uśmiechając się przebiegle. – Sądzę, że wystarczy już objadania się i czas najwyższy na wznowienie dochodzenia.

Martin nie mógł się z nią nie zgodzić. Kiedy dziewczyna wślizgnęła się do jego pokoju, akurat przeglądał zawartość koperty przysłanej przez matkę Klary. Były tam głównie szkice postaci, pojedyncze kadry i trudne do odcyfrowania fragmenty dialogów. Dostrzegł jednak stronę, na której oprócz szkicu Mrocznego Ciastka Zagłady były też jakieś obliczenia i kilka dat.

– Najlepiej będzie, jeśli zaczniemy od jej domu – zdecydowała dziewczyna, siadając po turecku na jego łóżku. – No wiesz, pokój, komputer... Tam może być dużo wskazówek.

– Państwo Berg nie wpuszczą mnie raczej do jej domu, a ja nie zamierzam się włamywać – powiedział, nie odwracając wzroku od kartek. – A poza tym policja już tam była.

– Najwyraźniej nie szukali zbyt dokładnie. Nie sprawdzali korespondencji. Inaczej nie dostałbyś tej koperty, prawda? Tam może kryć się więcej rzeczy.

– Laptop prawdopodobnie zabrali do sprawdzenia.

– No i? – spytała, marszcząc brwi. – Na pewno nie znaleźli w nim nic godnego zainteresowania i go zwrócili.

– Skąd wiesz, że nic nie znaleźli? – spytał ze zdziwieniem.

– To dość oczywiste – ziewnęła, zakrywając usta dłonią. – Nie mają pojęcia, czego tak naprawdę szukać.

– A ty wiesz?

– Na pewno o wiele lepiej niż oni. To ostatecznie sprawa powiązana z drugą stroną.

– Od kiedy jesteś specjalistką od laptopów?

Popatrzyła na niego z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Nie zapominaj, że w odróżnieniu od Greema, Ingi, Waltera i innych, ja większość roku spędzam jednak z dala od Obrzeży.

Istotnie, o ile skontaktowanie się z Greemem czy Walterem było niemożliwe, jeżeli sami nie przyszli do sklepu, Canelle całkiem nieźle radziła sobie ze smartfonem i innymi technicznymi nowinkami. Kto wie, może jej umiejętność wyszukiwania sekretnych przejść i drzwi rozciągała się także na świat wirtualny?

– Tak czy inaczej – wzruszył ramionami – uważam, że to kiepski pomysł. I nie zamierzam włamywać się do jej domu. Myślę, że powinniśmy się temu przyjrzeć – stwierdził, podając kartkę Canelle. Dziewczyna studiowała ją uważnie, mrużąc oczy i marszcząc brwi. Brakowało jej tylko lupy w rękę.

– Wszystkie daty są z ostatnich dwóch miesięcy – powiedziała. – Wygląda to tak, jakby wyliczała upływ czasu między różnymi wydarzeniami.

Upływ czasu. Dwa tygodnie do końca świata. Nagle zaczął mieć bardzo złe przeczucia. Nie wtrącał się w życie Klary aż do tego stopnia, ale... po co dziewczyna kończąca liceum miałaby wypisywać na kartce daty i liczyć dni? I – co ważniejsze – czemu miałaby pakować tę kartkę do koperty zaadresowanej do niego? Przecież nawet ze sobą nie spali, nie miałaby powodu sugerować mu, że jest w ciąży. A może była na coś chora? Albo zjadła jakąś dziwną truciznę o określonym czasie działania? Ostrożnie dobierając słowa, podzielił się swoimi przypuszczeniami z Canelle, pomijając tylko to o domniemanej ciąży. Wystarczyło, że w ogóle włączył Canelle w sprawę i pokazał jej komiksy. Nie chciał aż tak bardzo narażać prywatności zmarłej przyjaciółki. Właśnie dlatego sprzeciwiał się planom przeszukania jej pokoju.

– Bez sensu – orzekła dziewczyna. – Nawet jeśli rzeczywiście była chora albo zażyła jakąś

dziwną substancję, to wcale nie tłumaczy okoliczności jej śmierci – zauważyła całkiem przytomnie. – Nie wspominając o tym, że nigdy w życiu nie słyszałam o substancji, która działałaby w taki sposób. Na samobójstwo w celu skrócenia cierpień mi to nie wygląda, bardziej na efekt jakiegoś rytuału.

– Rytuału?

– No przecież wiesz... coś w stylu tego, co robił ten cały Alex. Otwieranie kopem drzwi na drugą stronę.

– Ale przecież Alex powiedział, że od nich odeszła – przypomniał sobie Martin, wstając z łóżka. – Że łąziła z nimi przez jakiś czas, ale później ich olała.

– To, że nie bawiła się w dziwne gierki z nimi, nie oznacza, że w ogóle tego nie robiła.

Popatrzyli na siebie w nagłym przypiływie olśnienia.

– Czy myślisz o tym, o czym ja myślę, detektywie Kot? – spytała zaczepnie Canelle.

– Herbaciarnia – pokiwał głową Martin. – Alex mówił coś o herbaciarni i o jakiejś lalce, która odpowiada na pytania.

– Cathy – powiedziała bez wahania Canelle. – Tak ma na imię właścicielka – wyjaśniła. – Rzeczywiście, jest lalką, chociaż na tyle dobrze wykonaną, że na pierwszy rzut oka tego nie widać. Nie potrafi kłamać, więc można powoływać się na uzyskane od niej informacje bez obawy, że ktoś podważy ich prawdziwość. – Martin nawet nie próbował już dopytywać, skąd ona to wszystko wie.

– Co to za miejsce? – spytał zamiast tego.

– To jeden z portali. Wejście znajduje się właściwie w każdym większym mieście, w jakimś miejscu na uboczu. W podwórzu, w oficynie kamienicy... Zawsze dość dużo tam ludzi z... no, z centrum. Z naszej strony, ale zawsze pełno też różnych dziwaków z Obrzeży: podróżników, wypytujących o wieści przybyszy z dalekich krajów, poszukiwaczy przygód, rozglądających się za czymś do roboty.

– Coś takiego jak Knajpa Morderców? – podchwycił Martin.

– Mniej więcej, chociaż przyciąga innego rodzaju klientelę. Poważniejszą, bardziej dystygowaną. W Knajpie Morderców poza przypadkowymi, nieświadomymi gośćmi znajdziesz zabójców, desperatów, ludzi niemających nic do stracenia. Do herbaciarni wpadają spokojni, nieszukający kłopotów wędrowcy, chcący się po prostu dowiedzieć, co ich ominęło.

Martin ze zrozumieniem pokiwał głową.

– W każdym większym mieście – powtórzył z namysłem. – W Pradze też?

– Oczywiście. Jedno wejście znajduje się na pewno za Mostem Karola, zaraz obok któregoś z tych lipnych muzeów, już nie pamiętam, którego.

– Myślisz, że można by ją odwiedzić? – spytał ostrożnie. – Urwać się któregoś dnia ze sklepu na jakąś godzinę, albo...

– Możemy nawet teraz – odparła, uśmiechając się w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Możemy? – powtórzył, rozglądając się niepewnie po sypialni. – Ale... jak?

W odpowiedzi pomachała mu przed nosem trzymanym w dłoni kluczem na rzemyku. W jego koszmarze ten wisiołek dusił ją i przecinał gardło.

– Droga na skróty – powiedziała, jakby to było coś zupełnie naturalnego i oczywistego. – Jestem pewna, że w tym domu są jakieś odpowiednie drzwi. Wystarczy ich tylko dobrze poszukać. Otworzone odpowiednim kluczem, zaprowadzą nas prosto do herbaciarni.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – wyznał, patrząc jej w oczy. Wciąż machała mu przed nosem kluczami, najwyraźniej próbując go zahipnotyzować i wpłynąć na jego opinię.

– Daj spokój. Nie będzie nas najwyżej pół godziny, nikt nie zauważy, zwłaszcza że i tak wszyscy są zajęci sobą. Ze sklepu może być znacznie trudniej się wyrwać, przynajmniej mnie. Ten wyjazd tutaj to moje ostatnie podrygi wolności – przyznała niechętnie. – Ciocia zapowiedziała, że po powrocie będzie mnie miała na oku – skrzywiła się.

– I właśnie dlatego uważam, że to zły pomysł – powiedział, nieco bardziej surowo niż zamierzał. Obrzuciła go oburzonym spojrzeniem. – Posłuchaj, Canelle... Twoja ciotka na pewno ma swoje powody. Nie chce, żebyś się narażała i nie chce, żeby coś ci się stało. Ja też nie chcę – powiedział stanowczo. – Nie chcę, żebyś miała później kłopoty. A to może być niebezpieczne.

– Nie jest niebezpieczne – zapewniła. – Miło, że się o mnie martwisz, ale nie ma potrzeby. Cioci szybko przejdzie, nie potrafi się na mnie długo gniewać. Poza tym nawet jeśli postanowisz zostać tutaj, ja i tak już zdecydowałam, że idę. Dzisiaj, jeszcze zanim stąd odjedziemy. Równie dobrze możesz więc iść ze mną i dowiedzieć się czegoś nowego – powiedziała, spoglądając na niego wyzywająco. – Więc jak będzie, detektywie Kot?

– Jesteś bardzo podstępny Ciastkiem – przyznał, rozglądając się po pokoju za swoją bluzą.

– Wiem – wyszczerzyła się w odpowiedzi i zakręciła młynka trzymanymi w dłoni kluczami. – I na domiar złego nie można mi się oprzeć.

³ Fragment wiersza *Wielkanoc 1916* Williama Butlera Yeatsa w przekładzie Tomasza Wyżyńskiego.

10. Gwóźdź do trumny

Canelle miała rację – nikt nawet nie zauważył ich zniknięcia. Inga, Greem i Aisling grali na podwórzu w jakąś dziwną grę, polegającą na chodzeniu po wyrysowanych na ziemi liniach. Walter i Iskra dzielnie im kibicowali.

Może po kwadransie myszkowania po domu dziewczyna zaprowadziła go na strych. Sięgnęła po jeden z trzymanyh w ręku kluczy – zastanawiająco prosty, taki, który dałoby się dopasować do kilku różnych zamków. Włożyła go do dziurki i przekręciła. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Wbrew obietnicom i zapewnieniom Canelle, wcale nie prowadziły do herbaciarni, lecz na ruchliwą i całkowicie rozkopaną ulicę. Prace porządkowe w szczytowej fazie organizacyjnego bałaganu.

– Chodź – zachęciła Canelle, przeskakując przez próg. – Herbaciarnia musi być gdzieś blisko. Wyczuwam ją.

– Wyczuwasz?... – spytał z powątpiewaniem.

– Zaufaj mi.

Wiedział, że ona nie odpuści, dlatego chcąc nie chcąc ruszył w ślad za nią. W mieście po drugiej stronie drzwi padało. Woda wypełniała doły wygrzebane przez koparki, zmieniała porozrzucaną na szczątkach chodnika ziemię w błoto. Canelle dzielnie brnęła przez siebie, rozglądając się czujnie i co chwila zatrzymując, jakby próbowała złapać trop.

– Tutaj – powiedziała, wskazując bramę, prowadzącą na podwórze kamienicy.

Miała rację. W rogu podwórza znajdowały się niewielkie zielone drzwi. Okiennice pomalowane były na ten sam kolor. Szyld, przedstawiający imbryczek, mówił sam za siebie. Drżąc z zimna i ociekając deszczem, weszli do środka. Martin rozejrzał się z pewnym zaciekawieniem. Wszystkie herbaciarnie, jakie zdarzało mu się odwiedzać do tej pory, utrzymane były raczej w jednej konwencji: stylizowane na Bliski Wschód wnętrza, dywany na podłodze, miejsca do palenia fajek wodnych. Pierwszy raz widział herbaciarnię w stylu wiktoriańskim. Kanapy i stoliki były podobne do tych, które stały w sklepie z antykami, do tego cała masa koronek, kwiatowych motywów i drobnych bibelotów. Wszechobecne karty do gry i małe, porcelanowe laleczki. Kilku gości jednak istotnie paliło fajki wodne, wypełniając niewielkie i przytulne pomieszczenie dymem. Martin nie wiedział, na czym skupić uwagę.

– Witajcie, mili goście, witajcie – rozległ się wysoki, nieco piskliwy głos na wysokości jego pasa. Rozejrzał się, zdezorientowany.

– Cathy, poznaj Martina – powiedziała szybko Canelle, szturchając go w bok. – Martin, to Cathy. Właścicielka herbaciarni.

– Ee... Cześć – powiedział Martin, starając się nie przyglądać nowej znajomej zbyt natrętnie.

Canelle miała rację. Na pierwszy rzut oka nie dało się dostrzec, że to lalka. Wyglądała po prostu na bardzo niską, drobną osobkę w długiej, czerwonej sukni, również stylizowanej na epokę wiktoriańską. Miała idealną, nieskazitelną twarz i starannie ułożone złocistoblond loki. Dopiero po dłuższej obserwacji można było dostrzec pewną sztywność ruchów i spiętą, pozbawioną mimiki twarz. Zupełnie tak, jakby ktoś nieudolnie wstrzyknął botoks, który ograniczał zakres wyrażanych emocji do minimum.

– Witaj – powiedziała Cathy, przekrzywiając głowę. Ten gest również był nieco mechaniczny. – Cieszę się, że wreszcie cię poznałam. Śliczny chłopiec, dokładnie tak, jak o tobie mówią. Chętnie posadziłabym cię na swojej półce – wydała odgłos, który można było chyba uznać za imitację zalotnego chichotu.

Martin próbował rozstrzygnąć, co było bardziej niepokojące: jej słowa czy fakt, że przez całą wypowiedź ani na moment nie otworzyła ust i nie zmieniła wyrazu twarzy. Prawdopodobnie jej głos dochodził z jakiegoś mechanizmu. Tak przynajmniej próbował to sobie wytłumaczyć.

– Siadajcie, dzieci – powiedziała Cathy, gestem zapraszając ich do zajęcia miejsca przy stoliku w rogu pomieszczenia. – Pewnie jesteście przemarznięci. W miejscu, z którego przyszlście, musiała być okropna pogoda. Czego się napijecie? Osobiście już teraz mogę wam polecić „Mgłę nad wrzosowiskami”. Z przyprawami korzennymi, szybko was rozgrzeje. Albo może „Wieczorny smutek” lub „Widmo rozstania”?

Martin powstrzymał się od stwierdzenia, że to brzmi bardziej jak tytuły kolejnych rozdziałów romansu niż jak nazwy herbat.

– Mamy do ciebie parę pytań – powiedział ostrożnie.

– Naturalnie, naturalnie. – Cathy pokiwała nieco sztywno głową. – Wszystko w swoim czasie. Złóżcie zamówienie, usiądźcie. Przyjdę z herbatką i porozmawiamy. Tak to się tutaj odbywa.

Wyraźnie nie zamierzała uwzględnić ich pospiechu i odstąpić od swojego zwyczaju. Jak na lalkę, wydawała się bardzo upartą i stanowczą osobą. Canelle i Martin posłusznie złożyli zamówienia – Martin wybrał neutralnie brzmiące „Melancholijne wspomnienie”, a Canelle odpowiadającą jej upodobaniom herbatę o nazwie „Gwóźdź do trumny” – i zajęli miejsca w kąci. Mieli stąd widok na całą salę, łącznie z drzwiami wejściowymi. O tej porze herbaciarnia świeciła pustkami. Jedynymi gośćmi byli dwaj orientalnie ubrani jegomoście, pałacy fajkę wodną o aromacie bzu. Martin – pochłonięty próbą ogarnięcia wzrokiem wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu kwiatków, obrazków, lalek i staroświeckich bibelotów – nawet nie zauważył, kiedy Cathy pojawiła się przed nim, niosąc tacę. Poruszała się szybko i sprawnie, chociaż na tyle mało płynnie, że dało się rozpoznać jej prawdziwą naturę.

– Oto wasza herbata – oświadczyła, stawiając tacę na stoliku pokrytym sięgającym ziemi obrusem i koronkową serwetą. – Teraz czas na pytania – dodała, zwracając wzrok na Martina. Miała lodowato błękitne oczy, które spoglądały bardzo bystro i niepokojąco ludzko.

– No dobra. – Chłopak sięgnął po portfel i wyciągnął z niego zdjęcie Klary. Dziewczyna niedawno wyrabiała sobie paszport, fotografia była więc w miarę aktualna. – Rozpoznaje pani tę dziewczynę?

– Ależ grzeczny chłopiec – pisnęła Cathy, przykładając dłoń do ust. – Czyżbym wyglądała tak staro, że trzeba do mnie mówić „pani”? Odpowiedz mi szczerze, niczego nie ukrywaj.

– Nie, skąd. – Pokręcił szybko głową. – Nic z tych rzeczy. Czy poznajesz może, Cathy, tę dziewczynę?

– Ach, tak – pokiwała głową. – Pamiętam, że tu przyszła, ale tylko raz.

– Kiedy? – zagadnęła od niechcena Canelle. Zdążyła już nalać sobie herbaty do filiżanki i upić kilka łyków. – Swoją drogą, ten smak jest naprawdę niezły. Lepszy niż „Morderstwo o północy”.

– Ta herbata jest twoja, chłopcze. – Cathy przesunęła w kierunku Martina jeden z imbryczków. – Spróbuj, nie pożałujesz.

Martin posłusznie nalał do swojej filiżanki trochę czerwono-brązowej herbaty. Zebrał się na odwagę i upił łyk. Mimo dość ponurej nazwy była przepyszna. Miała intensywny owocowy aromat i delikatny, nieco wiśniowy smak.

– Cieszę się, że smakuje – powiedziała Cathy, lekko skłaniając głowę w imitacji ukłonu. – A co do tej panienki. Przyszła tutaj mniej więcej... niech no policzę. – Pokiwała groźnie palcem, dając do zrozumienia, że mają jej nie przerywać. Na dłoniach miała aksamitne rękawiczki. – Mniej więcej trzy tygodnie temu.

Trzy tygodnie. Martin również pośpiesznie dokonał pewnych obliczeń. Według nich Klara pojawiła się w herbaciarni dwa tygodnie przed swoją śmiercią. Magiczne i powtarzające się właściwie wszędzie czternaście dni.

– Ktoś jej towarzyszył? – spytał, przyglądając się lalce w skupieniu. – A może spotkała kogoś tutaj, na miejscu?

– Przyszła sama – odparła lalka, ignorując drugą część pytania. Podobno nie umiała kłamać i udzielała odpowiedzi na wszystkie pytania. Może zatem czekała z tą odpowiedzią na odpowiedni moment? Postanowił nie naciskać.

– Czego tu szukała? – spytał zamiast tego. Sądząc po spojrzeniu Canelle i właścicielki herbaciarni, znów spytał o coś oczywistego i wyszedł na kompletnego ignoranta.

– Tego samego, co inni goście – odparła lalka, leciutko wzruszając ramionami. – Zamówiła herbatę, z tego co pamiętam „Godzinę rozpacz”, z aronią i czarnym bzem. – Jakkolwiek było to mało przydatne, z pewnością wiele mówiło o stanie emocjonalnym Klary. – Zadawała pytania.

– Jakie pytania?

– Niewłaściwe – odparła bez wahania lalka, najwyraźniej bardzo niezadowolona z tego faktu. – Nieodpowiednio sformułowane. Takie, przez które można wpaść w kłopoty.

– Jakie pytania? – drążył Martin, coraz bardziej zaniepokojony nowymi faktami. – Konkretnie.

Gdyby Cathy mogła marszczyć brwi albo wykrzywiać usta, z pewnością zrobiłaby to właśnie teraz. Zamiast tego wydała z siebie odgłos, który w jej intencji miał być chyba westchnięciem.

– Pytała o Praską Szkołę Lalkarzy – przyznała. – O proces rekrutacji. O inne sprawy Kolegium.

– Co? – spytał chłopak, prawie strącając filiżankę ze stołu.

– Proszę, nie każ mi tego powtarzać. Pytała o rzeczy, o których osoba taka jak ona nie powinna nawet wiedzieć.

– Co jej odpowiedziałas? – spytała z mocą Canelle. Martin popatrzył na nią z wdzięcznością. Sam nie był w stanie wymyślić pytania, swoją złożonością wykraczającego poza „ale jak to?”.

– Nic – odparła dumnie Cathy, z jakiegoś powodu bardzo oburzona. – Kiedy tylko usłyszałam jej pytania, odeszłam na zaplecze. Nie mam zamiaru znów mieszać się w sprawy Kolegium. Nie bardziej, niż tego wymaga uprzejmość wobec gości. Widmokot z nią rozmawiał – dodała po chwili. – Nie słyszałam, o czym mówili, byłam na zapleczu.

– Widmokot, hm? – powtórzyła w zadumie Canelle. – To jedna z Istot z Cienia – wyjaśniła pośpiesznie Martinowi. – Bardzo tajemnicza. Może przybrać postać dowolnego kota, niezależnie od gatunku i rozmiaru. I potrafi mówić, więc proszę, nie zdziw się, gdy go spotkasz. Skoro rozmawiał z twoją koleżanką, to nie tylko wie, czego dokładnie szukała, ale też na pewno dał jej jakąś wskazówkę, za którą mogła podążyć. Wiesz, gdzie on może teraz być? – zwróciła się do właścicielki herbaciarni.

Cathy tylko rozłożyła bezradnie ręce.

– Tak jak zwykle – odparła. – Wszędzie i nigdzie jednocześnie. Pewnie już wie, że go szukacie albo dowie się tego wkrótce. Odezwie się, jeśli uzna, że jest w nastroju do kontaktowania się ze śmiertelnikami. Nawiasem mówiąc: obawiam się, Canelle, że nie mogę z tobą dłużej rozmawiać. Zadajesz zbyt dużo pytań o rzeczy, które cię nie dotyczą. – Zrobiła krok w tył. – Zwiastujesz kłopoty. Wybaczcie, muszę już iść. Chyba słyszę nadchodzącego gościa.

Canelle niespodziewanie wydała z siebie dziwny, piskliwy odgłos. Upuściła łyżeczkę i szybko zanurkowała za nią pod stół. Dopiero po chwili Martin zorientował się, co było tego przyczyną. W otwartych drzwiach herbaciarni jak gdyby nigdy nic stał sobie Podróżny.

Podróżny, który już raz ostrzegał Canelle przed mieszaniem się w nie swoje sprawy, a teraz prawie przyłapał ją na tym ponownie. Mało brakowało. Od razu spostrzegł jednak Martina i pomachał mu wesoło na przywitanie. Jak gdyby nigdy nic, podszedł do stolika w rogu i przysunął sobie fotel, na którym jeszcze przed chwilą siedziała Canelle.

– Witaj, przyjacielu – zagadnął, stawiając swój nieodłączny kuferek na podłodze. Beztrąsko zdjął płaszcz, pozostając w beżowej koszuli i atłasowej kamizelce. – Cóż za wspaniały zbieg okoliczności. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że cię tutaj zastanę. Petra powiedziała, że ty i panią Canelle wyjechaliście na wakacje na wieś. A tymczasem siedzisz sobie tutaj i popijasz samotnie herbatkę. – Uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic do siedzącego naprzeciwko chłopaka. Nie umknęły jego uwadze dwie filiżanki i dwa imbryczki, stojące na srebrnej tacy. – Nie pogniewasz się, mam nadzieję? – zapytał, nalewając do pustej filiżanki nieco mętnego, brązowego płynu z imbryczka Canelle. Zbliżył porcelanowe naczynie do twarzy. – Mmm, „Gwóźdź do trumny” – powiedział z rozmarzeniem. – Chyba jedna z moich ulubionych. Chociaż muszę przyznać, że „Rozpacz o zmierzchu” też ma swój urok. Cathy zawsze była mistrzynią, jeśli chodzi o herbaty, nie uważasz?

– Istotnie – odparł Martin, z trudem powstrzymując chęć ucieczki. Obecność Podróżnego była przytłaczająca, nie mógł jednak tak po prostu zostawić Canelle pod stołem. – Nigdy nie piłem tak dobrej herbaty – dodał ostrożnie.

Podróżny mierzył go uważnym, pełnym autentycznej ciekawości spojrzeniem.

– Petra nie kłamała, jesteś naprawdę fascynującą osobowością – przyznał. – Pozornie nieśmiały, naiwny i nadmiernie ufny wobec ludzi, których dopiero poznałeś, choć na pierwszy rzut oka wydają się dziwni. A jednocześnie masz zadziwiający dar improwizacji. Nawet teraz całkiem naturalnie próbowałeś dostosować się do mnie i prowadzić niezobowiązującą rozmowę o herbacie. I ta twoja determinacja i bezwzględność, objawiające się w zadziwiających momentach – zrobił krótką przerwę na kolejny łyk naparu. – Słyszałem, że udało ci się już częściowo opanować wprawianie w ruch twojej treningowej marionetki. Daimon to trudny przeciwnik, musiałeś mu czymś bardzo zaimponować, skoro udało ci się nakłonić go do posłuszeństwa. Wręcz nie mogę się doczekać rozpoczęcia roku akademickiego.

– Czemu? – spytał nieufnie Martin. Dobrze, że ostatnie dwa dni spędził głównie odsypiając i przebywając na świeżym powietrzu. Miał wrażenie, że gdyby nie to, jego mózg roztopiłby się od nadmiaru ciężkich przemyśleń jeszcze na etapie rozmowy z Cathy.

Podróżny roześmiał się szczerym, młodzieńczym śmiechem.

– Ach, no tak! – Ku narastającemu zdumieniu Martina wyciągnął ze swojego kufereka części małej, podręcznej fajki wodnej i zaczął ją składać w całość. Miał w kufereku nawet buteleczkę, z której nalał wody do dzbana. – Całe Kolegium. Myślałby kto, że przez pięć lat coś się zmieni, jeśli chodzi o przepływ informacji, ale to dość naiwne, idealistyczne marzenie. – Wyjął z niewielkiej kasetki węgielek, złapał go w szczyptę i zaczął opalać nad świeczką. – Cóż, skoro nie wiesz, to mnie przypada zaszczyt poinformowania cię o tym. Otóż z przyjemnością zawiadamiam, że ja, Mortimer Burton, najprawdopodobniej będę opiekunem twojego roku – powiedział, przykładając wolną dłoń do serca i kłaniając się. – Oczywiście jeśli poskładasz w całość wszystkie elementy układanki i pomyślnie przejdiesz test.

– Ja... – wykrztusił Martin. – Pan... – Wstał i skłonił się, dość szybko i dość niezręcznie, niechcący kopiąc przy tym skuloną pod stołem Canelle. – Nie miałem pojęcia. To naprawdę miło... to zaszczyt pana poznać. – Sądząc z opowieści, jakie krążyły o Podróżnym, na pewno był to swego rodzaju zaszczyt. – Ale podobno... słyszałem, że odszedł pan z Kolegium?

– Powiedzmy, że moja relacja z Kolegium miała swoje wzloty i upadki – odparł Mortimer, w zadumie kładąc żarzący się węgielek na przygotowanym wcześniej cybuchu z tytoniem. – Ale ostatecznie postanowiłem dać jej jeszcze jedną szansę – dodał z błyskiem w oku. – Zwłaszcza że, zaiste, będziemy mieli naprawdę interesujący rocznik. Wspaniały rocznik. Już nie mogę się doczekać pracy z wami – powiedział. Przyłożył ustnik fajki wodnej do ust i zaciągnął się kilkukrotnie. W dzbanie zabulgotało, a sam Podróżny po chwili wypuścił z ust kłąb mlecznobiałego, pachnącego cynamonem dymu. – Wyobrażasz sobie? Pierwszy raz od kilku lat będzie tak mało dzieciaków ze szkoły przygotowawczej. Prawie sami nowicjusze. – Znów się zaciągnął i odchylił w fotelu, wypuszczając z ust kilka kółek dymu. – Chociaż, oczywiście, wszystko ma swoje słabe strony.

Martin nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko odkaslnął, sygnalizując zainteresowanie słowami rozmówcy. Jakoś nie mógł rozstrzygnąć, czy Podróżny w roli opiekuna roku to dobra czy zła wiadomość.

– Wy, nowicjusze, jesteście zawsze albo całkowicie pozbawieni ambicji i fantazji, albo dla odmiany pełni ideałów i sentymentalni. Większość z was woli zginąć, ufając przyjaciom, niż przeżyć, nie ufając nikomu. To szlachetna idea, zawsze wydawała mi się fascynująca i dawała ciekawsze rezultaty niż podejście dzieciaków ze szkół przygotowawczych, jednakże wyobraź sobie, jak się trzeba namęczyć, żeby jakoś zmusić was do działania... Na przykład ta dziewczyna ze Szwecji... Trzeba było utopić jej brata w jeziorze, żeby wreszcie wzięła się do roboty. Niestety, z tego co wiem już odpadła, więc nasze trudy i misterne plany poszły na marne.

– C-co? – wykrztusił Martin, potrząsając z niedowierzaniem głową. – To znaczy, że wy...?

– Tak, tak, właśnie. – Podróżny znów zaciągnął się sziszą i dmuchnął, tworząc między sobą a Martinem ścianę cynamonowego dymu. – Kiedy potencjalny student nie ma żadnej motywacji ani pomysłu na zadanie, staramy się go w tym wyręczyć. Gdyby nie nasza wspaniała Petra, zupełnie nie wiedziałbym, od czego zacząć. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby zmotywować cię do działania i jak na razie okazuje się, że możesz być prawdziwą perełką. – Umilkł i popatrzył na rozwiewające się powoli białe kłęby. – Dym – westchnął, zapadając się głębiej w fotel i mrużąc oczy. – Jak on cudownie zmienia rzeczywistość, prawda?

Nim Martin zdążył zareagować, drzwi herbaciarni znów się otworzyły.

Tym razem stała w nich pani Althan. W długiej czarnej sukni, ze starannie uczesanymi włosami i ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na siedzącego przy stoliku Martina, by domyślić się wszystkiego.

– Gdzie ona jest? – spytała, podchodząc do stolika i całkowicie ignorując stojącą jej na drodze Cathy. Jasnobrązowe oczy patrzyły tak przeszywająco, jak chyba nigdy wcześniej. – Wiem, że skoro ty tu jesteś – zwróciła się do Martina – to ona też. Gdzie?

– Pod stołem – odparł beztrosko Podróżny, wydmuchując z fajki kolejny kłąb dymu. – Pewnie inaczej by to rozegrała, gdyby wiedziała, że mieliśmy tutaj umówione spotkanie.

– Omówimy nasze sprawy później, w bardziej odpowiednim momencie – odparła szorstko Petra Althan. Wciąż wpatrywała się w Martina wzrokiem pełnym zimnej furii. – Teraz muszę cię poprosić, żebyś otworzył nam drzwi prowadzące do sklepu. A także żebyś udał się do letniego domku jednego z twoich potencjalnych podopiecznych, niejakiego księcia Waltera, i poinformował jego oraz pozostałych zebranych tam studentów, że Martin i Canelle są bezpieczni w domu i byłiby bardzo wdzięczni za zaopiekowanie się ich bagażami – mówiła całkowicie opanowanym, lodowatym głosem.

– Ależ oczywiście – odparł mężczyzna, pieścizotliwie klepiąc sziszę. – Cóż, mój drogi

Duszołapku – zwrócił się do urzędnika. – Koniec słodkiego lenistwa, czas brać się do roboty. – Sięgnął po przewieszony przez fotel płaszcz i wyjął z niego pęk kluczy na dużym, mosiężnym kole. Trzy kluczyki na rzemyku, będące w posiadaniu Canelle, wydawały się przy tym dziecinną zabawką. – Do roboty – powtórzył śpiewnie. – Do roboty.

Canelle wyszła spod stołu, dopiero kiedy drzwi łączące herbaciarnię ze sklepem zostały otwarte i dało się przez nie dostrzec regały pełne książek. Nie odezwała się ani do Martina, ani do Podróżnego, ani do swojej ciotki. Wyminęła ich ze spuszczoną głową, z czapką detektywa mocno nasadzoną na czoło. Kiedy pani Althan i Martin również przekroczyli próg, Mortimer pomachał im na pożegnanie i zamknął za sobą przejście. Gdy Martin znów spojrzął w tamtym kierunku, zobaczył tylko wnętrze jednej ze stojących w sklepie zabytkowych szaf.

– Canelle – powiedziała ostro pani Althan, gdy dziewczyna ruszyła w kierunku schodów prowadzących do mieszkania.

– No co?

– Ty już wiesz, co – powiedziała kobieta, wyciągając do niej otwartą dłoń. Canelle wymamrotała coś buntowniczo i zacisnęła dłoń na noszonym na szyi rzemyku. Pani Althan nie zamierzała jednak odpuścić. Wciąż stała zwrócona do niej twarzą, z ręką wyciągniętą w roszczeniowym geście. Wreszcie Canelle z cichym westchnieniem spuściła wzrok, rozwiązała rzemyk i podała ciotce zawieszony na nim klucz.

– Bardzo dziękuję – powiedziała wyniośle pani Althan, wrzucając je do szuflady biurka. – A teraz zejście mi z oczu.

11. Wieczorny smutek

Martinowi wydawało się, że wizyta w herbaciarni nie trwała długo. Najwyraźniej spędzili tam jednak więcej czasu, niż przypuszczał, ponieważ kiedy wyszedł spod prysznic, wycierając włosy ręcznikiem, na korytarzu paliło się światło żarówki. Jakim cudem mógł być już wieczór? Co się stało z resztą dnia?

Chłopak wszedł do swojego pokoju i zapalił światło. Ciężkie zasłony jak zwykle były całkowicie zaciągnięte. Założył ten sam zestaw czarnych ubrań, w którym w piątek biegał po lesie – cała reszta jego dobytku wciąż znajdowała się w domu Waltera. Pomyśleć, że jeszcze jakiś czas temu siedzieli w ogrodzie wraz z Greemem, Ingą, Iskrą, Aislingiem i samym gospodarzem.

Naiwny i nadmiernie ufny wobec ludzi, których dopiero poznał, chociaż na pierwszy rzut oka wydają się dziwni.

Wzdrygnął się, gdy w jego głowie rozbrzmiało echo niedawnych słów Podróżnego. Zanim jednak zdążył głębiej się nad nimi zastanowić, z dołu, ze sklepu, dobiegły go odgłosy sprzeczki.

– To nie w porządku! – Słyszac głos Canelle, zatrzymał się w połowie drogi i przykucnął na schodku, nasłuchując. – Chciałam tylko pomóc!

– Wiem, Canelle – odpowiedziała pani Althan. – I zazwyczaj nie mam nic przeciwko twoim eskapadom. To ważna część twojej edukacji.

– Ale tym razem odebrałaś mi klucze.

– Tak – padła spokojna, wyważona odpowiedź. – Tym razem odebrałam ci klucze. Wiesz, dlaczego?

– Bo nie chcesz, żebym pomagała Martinowi.

– Nie, do tego też nie mam żadnych zastrzeżeń. Pomagaj mu, wspieraj go, ale nie otwieraj dla niego ani jego znajomych żadnych drzwi. Nie wyszukuj nowych przejść.

– Czyli, innymi słowy, mam pomagać we wszystkim, oprócz tego, do czego jestem najbardziej potrzebna, tak? – spytała ze złością Canelle.

– Właśnie tak – odparła karcąco pani Althan. Po chwili dodała nieco łagodniej. – Nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych środków. Nie chcemy, żeby Kolegium odkryło, że zamiast posłać cię do jednej z jego szkół przygotowawczych, sama nielegalnie kształcę klucznika. Jeśli przyłapią cię z kluczem w ręku, możesz nawet zginąć.

Martin zacisnął dłoń w pięść. Teraz ostrzeżenia Ivory, Cathy i tego całego Podróżnego zaczęły mieć więcej sensu: oznaczały kłopoty.

– Jakby kiedykolwiek udało im się mnie przyłapać – prychnęła wyzywająco dziewczyna.

– Teraz będą uważać. Egzaminy wstępne to sprawa Kolegium. Otwierając drzwi Martinowi, wspierasz jednego z kandydatów. Skoro już zwrócili na ciebie uwagę, rozpoczną obserwację. Jeśli mimo podjętych środków ostrożności użyjesz któregoś z kluczy jeszcze raz, nie zostaniesz ukarana przeze mnie. Po prostu cię aresztują.

– On ci to powiedział? – spytała dziwnym, syczącym głosem Canelle. – Podróżny?

– Morty odpowiada za przeprowadzenie tegorocznej rekrutacji. Jest też, przypominam ci, odpowiedzialny za twoją naukę. Naturalnie, że mnie o tym uprzedził i będzie informował o dalszych podjętych krokach. A teraz...

Martin aż podskoczył, słysząc za plecami cichy stuk, jakby uderzenie w szybę, oraz odgłosy świadczące o tym, że ktoś próbował otworzyć okno. Hałasy bez wątpienia dochodziły z jego pokoju. Przez chwilę stał w rozterce, niepewny, co zrobić. Dalej podsłuchiwać kłótnię czy

sprawdzić, kto jest intruzem? Zejście na dół i przeszkodzenie obu kobietom po to, by donieść, że ktoś się włamuje, nie wchodziło w grę. Obie albo zamordowałyby go wzrokiem, albo odesłały na górę, żeby to włamywacz wykonał brudną robotę. Wycofał się jak najciszej.

Bądź jak kot, jak cień, jak powiew wiatru.

Położył dłoń na klamce i wszedł do pokoju. Na wszelki wypadek zostawił uchylone drzwi. Skrobanie i stukanie do okna nie ustawało. Doskoczył do niego jednym susem. Po odsłonięciu zasłon dostrzegł znajomą twarz, przyciśniętą do szyby.

– Greem? – spytał ze zdumieniem, otwierając mu okno. – Co tu robisz?

– Przyniosłem twoje rzeczy – odparł chłopak, podając mu sportową torbę. – I przy okazji chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku. Podróżny powiedział, że zostaliście oboje uziemieni.

– Bo zostaliśmy – odparł Martin. Jego myśli wciąż powracały do podsłuchanej na schodach kłótni. – Zaraz – zmarszczył brwi – jak tu właściwie włąłeś?

O ile dobrze pamiętał budynek sklepu z zewnątrz, nie istniał żaden sposób, żeby dostać się do okna na pierwszym piętrze. Nie było żadnej rynny ani drabinki, a dach wydawał się płaski i mało pomocny. W pobliżu nie rosnęły też żadne drzewo.

– Ach. – Greem podrapał się po głowie. – Z mojej strony.

– Jak to „z twojej strony”?

– Od Złotej Uliczki – odparł chłopak, wykrzywiając twarz. Próbował naśladować zapewne przekomiczną minę Martina. – Jak to, to znaczy... nigdy nie wyglądałeś przez okno?

Martin wzruszył ramionami. Tak naprawdę nie miał kiedy. Do czasu śmierci Klary w ogóle nie był w części mieszkalnej sklepu. Później spędził w pokoju trzy dni, patrząc się w ścianę, zbyt zszokowany i bezsilny, by chociaż odsłonić okno, a w piątek wszedł do przydzielonego mu pokoju tylko po to, by się spakować.

– Chodź – zaproponował Greem, wyciągając do niego rękę. – Sam zobacz.

Martin wyszedł na niewielki daszek pod oknem. Daszek, którego z całą pewnością nie było, gdy patrzyło się na budynek od strony ulicy.

Przed nimi roztaczał się widok na wiele innych dachów. Na całą rozświetloną setkami świateł Pragę, na ciemną wstęgę rzeki. Byli gdzieś na Hradczanach⁴.

– Ale... jak? – wyszeptał, rozglądając się z niedowierzaniem.

– Canelle to odkryła – odparł towarzysz, siadając na krawędzi dachu i opuszczając nogi w dół. Martin usiadł obok niego, wciąż spoglądając na nocną panoramę. Greem patrzył w gwiazdy. – Odkryła, że bez względu na to, gdzie znajduje się wejście, to okno zawsze prowadzi na Hradczany i można przez nie przechodzić. Ona naprawdę ma talent do znajdowania ukrytych przejść, drzwi, korytarzy...

– To właśnie robi klucznik? – zapytał Martin, również spoglądając w niebo. Gwiazd nie było tak dużo jak poprzedniej nocy, kiedy oglądali je w ogrodzie Waltera, wciąż jednak świeciły jasno, jak to w sierpniu. – Odnajduje przejścia?

– I tak, i nie – padła pełna zadumy odpowiedź. – Klucznik to znacznie więcej niż ktoś, kto po prostu odnajduje nowe przejścia. Jego praca polega na otwieraniu drzwi, które mogą zostać otwarte i strzeżeniu tych, które bezwzględnie powinny pozostać zamknięte. Służy ludziom i dba o ich bezpieczeństwo.

– Brzmi jak ciężka praca – przyznał w zadumie chłopak.

– Bo jest ciężka. Wymaga dużej koncentracji, doskonałej pamięci i orientacji w terenie. Każde

miasto ma swojego klucznika, odpowiedzialnego za wszystkie drzwi i klucze. Za wszystkie tajne i nielegalne przejścia do innych miast i za wszystkie demony, przedostające się za pomocą tych przejść na jego terytorium.

Greem wziął głęboki oddech.

– Oczywiście oznacza to też współpracę z władzami i raportowanie o wszystkich dziwnych wydarzeniach. Klucznicy to jakby... straż graniczna w wersji Obrzeży. Kontrola ruchu między twoim światem i drugą stroną. Między rejonami powiązanymi z Pragą i całą resztą świata.

Martin popatrzył na towarzysza. Więc tego właśnie uczyła się Canelle? Właśnie taką funkcję miała objąć?

– Czy Podróżny też jest klucznikiem? – spytał cicho. Nie był pewien, skąd właściwie przyszło mu do głowy to pytanie.

– Jest klucznikiem, owszem – roześmiał się swobodnie Greem. – Ale nie Pragi. Pochodzi z Anglii i trzyma w swojej kieszeni klucze do Londynu. Zarówno do tego współczesnego, jak i do Starego Londynu, który jest cieniem Londynu, jaki znamy.

– Praga też ma swojego klucznika?

– Ma. Oficjalnie dwóch. To honorowi członkowie Kolegium, dobrze wykonują swoją pracę – odparł Greem, puszczając do niego oko. – Jak dotąd nie mieliśmy żadnego ataku wilkołaków czy demonów ani żadnej rebelii – dodał zaczepnie.

Martin czuł, że w jego słowach kryje się coś więcej niż zwykła pochwała pracowników. To było ostrzeżenie przed nadciągającymi zmianami.

Greem wstał i zręcznie wślizgnął się przez okno do pokoju Martina. Chłopak, wciąż zerkając przez ramię na gwiazdy i na miasto, ruszył za nim. Podopieczny alchemików starannie zamknął okno i zasłonił kotary.

– Zaczęło zbierać się dużo cieni – powiedział wyjaśniającym tonem. – A ty zaczęłaś zadawać pytania, na które wolałbym nie odpowiadać, widząc te cienie kątem oka. Zastanawiałaś się nad tym, co ci ostatnio powiedziałem? Kiedy byliśmy u ciebie w domu?

– Czemu Klara zadawała się z tamtymi ludźmi? – powtórzył w zadumie Martin. – Tak... chyba... chyba już znam odpowiedź. Ale wciąż nie jestem pewien. Dowiedzieliśmy się dzisiaj bardzo wielu rzeczy, muszę to przemyśleć. Myślę, że kiedy spotkam się z Widmokotem, ostatecznie dowiem się, czego szukała Klara.

– Nie liczyłem na niego – odparł Greem. – Kot to kot, nawet widmo. Chodzi własnymi drogami i jest lojalny tylko wobec siebie samego. Cathy możesz ufać. Nie potrafi kłamać i co najwyżej może odmówić odpowiedzi, ale z Widmokotem na dwoje babka wróżyła. Poza tym sadzę, że jesteś w stanie dojść do prawdy samodzielnie.

– Niby jak?

– Kiedy pakowałem twoją torbę, zauważyłem, że na łóżku zostały porozrzucane papiery. Przeglądaliście je z Canelle, zanim postanowiliście się oddalić bez pożegnania. Wiem, że planowaliście wrócić, no ale już mniejsza o to. Zgarnąłem je do koperty i też spakowałem, ale nie mogłem się oprzeć i zerknąłem na kilka kartek.

– Na przykład na co? – spytał nieufnie Martin. Był pewien, że nie zostawił kartek porozrzucanych. Nie potraktowałby tak jedynej pamiątki po przyjaciółce i zarazem cennej poszlaki w sprawie jej śmierci.

– Zwróć uwagę na to, że twoja koleżanka traktuje koniec świata jak coś nieuniknionego. Mamy do czynienia z superbohaterami. W tym komiksie o Młynku do Mięsa byli przekonani, że uratują świat, a tutaj... Tutaj po prostu mają nadzieję, że przed upływem wyznaczonego czasu zdołają go

choć trochę naprawić. Co nie zmieni faktu, że ten świat i tak zniknie. Tak jakby to było już przesądzone.

– Dzięki – powiedział po prostu Martin. Wcześniej miał po prostu dziwne przeczucie, że z tym stwierdzeniem jest coś nie tak. Teraz Greem idealnie ubrał to w słowa. Kolejny fakt potwierdzający teorię, że Klara doskonale wiedziała, kiedy umrze.

– Zazaczyłem te kartki, na które powinieneś zwrócić uwagę – powiedział dziedzic alchemików, otwierając okno. – Jeśli będziesz chciał pogadać... wiesz, gdzie mnie szukać.

Martin bez słowa wyciągnął z torby kopertę, notatnik i długopis. Westchnął i usiadł na łóżku.

– Znowu cię zaniedbuję – powiedział przepraszająco, patrząc na kopertę. Otworzył ją i wyjął kartki. Starannie przerysowany na czysto i pozszywany egzemplarz *Strasznej przygody z Młynkiem do Mięsa*, którą zachwycała się Canelle. Kilka luźnych arkuszy ze szkicami i próbkami dialogu. Rogi dwóch stron zagięto, ktoś też narysował na nich wykrzyknik. Notatki, na które Greem sugerował zwrócić uwagę. Jedną, jak stwierdził bez większego zdumienia, były wyliczenia. Więc Greem też – w przeciwieństwie do Canelle – uważał, że to ma znaczenie.

Martin zerknął na daty. Większość z nich dotyczyła tych wakacji i kompletnie nic mu nie mówiła. Poza jedną: dniem, kiedy zaczął pracować w sklepie. No tak. Tego samego wieczora Klara po raz pierwszy spotkała się ze znajomymi z Internetu. Wtedy to jeszcze była chyba Terka, Alina, Alex i inni z tej grupy. Tę datę i następną dzieliły mniej więcej dwa tygodnie, za to dwie następujące po niej dzielił tylko jeden dzień. Przy dwóch znajdował się znak zapytania, a środkowa podkreślona była podwójną linią. Dwa tygodnie między początkiem jego pracy w sklepie a następnym z jakiegoś powodu istotnym wydarzeniem. Wyciągnął telefon i sprawdził tę datę. Był to dzień, kiedy wreszcie po dłuższej przerwie udało im się spotkać i kiedy opowiedziała mu o nowej przygodzie Kota i Ciastka.

Poczuł nagle nieprzyjemny ucisk w żołądku. Następną notatką dotyczyła dnia, w którym otrzymał list z Praskiej Szkoły Lalkarzy. Dwa dni po śmierci Klary.

Wrócił do daty rozpoczęcia pracy w sklepie i zerknął na wcześniejszą. Dzień, kiedy dostał pierwszy list. Zadzwonił do niej wtedy, dumny i szczęśliwy. Pili piwo u niego w domu i oglądali *Avengersów*. Nakreślony dużymi, drukowanymi literami napis głosił „30 dni?!”.

Nagle zrozumiał. Klara próbowała wyliczyć, kiedy Martin dostanie drugi list ze szkoły. Ten informujący o rozpoczęciu egzaminu. Żołądek zacisnął mu się jeszcze bardziej.

Klara wiedziała o Kolegium.

Tak powiedziała Cathy. Lalki nie umieją kłamać. Jego przyjaciółka odkryła, czym naprawdę była Praska Szkoła Lalkarzy i najwyraźniej próbowała zdobyć więcej informacji. Dlaczego? Po co?

Kiedy on zaczął pracować w sklepie, Klara nawiązała kontakt z ludźmi, którzy interesowali się miejskimi legendami.

Później powiedziała Alexowi, że znajomość z nimi nie pomaga jej znaleźć odpowiedzi, których poszukuje, i odeszła.

Poszła do herbaciarni, by spytać Cathy o Kolegium, i tam dowiedziała się czegoś od tego tajemniczego Widmokota.

Spostrzeżenia Greema były słuszne: Klara wiedziała, że ma dwa tygodnie. Kartka z wyliczeniami była na to dowodem. Wiedziała, kiedy zaczyna się proces rekrutacji i podejrzewała, że wtedy zginie.

I jeszcze słowa Podróżnego, które Martin starał się za wszelką cenę wyprzeć z pamięci, próbując udawać, że nigdy nie padły.

Kiedy potencjalny student nie ma żadnej motywacji, staramy się go w tym wyreczyć. Na przykład ta dziewczyna ze Szwecji... Trzeba było utopić jej brata w jeziorze, żeby wreszcie wzięła się do roboty. Gdyby nie nasza wspianała Petra, zupełnie nie wiedziałbym, od czego zacząć. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby zmotywować cię do działania.

Poczuł, jak ze strachu włosy jeżą mu się na głowie. Czyżby pani Althan zabiła Klarę, by dać mu cel, do którego osiągnięcia powinien dążyć podczas egzaminu? Czy Klara zdawała sobie sprawę z tego, że coś takiego może się zdarzyć? Czy właśnie taki scenariusz przewidziała?

Czy Canelle o tym wiedziała?

Czy brała w tym udział?

Przez głowę przelatowały mu setki myśli. *Nie, to absurdalne, to niemożliwe.* Petra Althan była dla niego dobra. Szorstka, ale dobra. I zaoferowała mu lalkę. Dlaczego miałyby zabijać Klarę? Nie potrafił sobie znaleźć miejsca, nie potrafił się uspokoić, miał do przejrzenia jeszcze pozostałe papiery Klary.

Jeśli nie wiesz co zrobić, zrób herbatę.

Tak, pomyślał. To dobry pomysł. Przekradł się do pustej kuchni – Pani Althan i Canelle prawdopodobnie wciąż były na dole – i po jakichś pięciu minutach wrócił do pokoju z kubkiem mocnej, czarnej herbaty. W międzyczasie zdążył sobie z pięćdziesiąt razy powiedzieć, że to bzdura i na pewno coś opacznie zrozumiał. Z ciężkim sercem powrócił do dochodzenia.

Druga strona była szkicem rozrysowanej na poszczególne klatki rozmowy między Kotem i Ciastkiem. Pełen jak najgorszych przeczuć, zabrał się do czytania.

– *Może powinniśmy ich uprzedzić* – sugerowała Ciastko. – *Powiedzieć im, że to wszystko podstęp, że powinni uciekać, póki mają jeszcze czas. Wtedy nie będzie żadnego końca świata.*

– *Nie możemy* – mówił Kot. – *Dla ich własnego dobra. Poza tym... i tak nam nie uwierzą, dopóki nie będzie za późno. Oni wierzą, że to spełnienie ich marzeń. Że to najlepsze, co ich spotkało w życiu. Nie możemy im tego odebrać, przecież ich kochamy.*

– *Więc co mamy zrobić? Dopuszczać do końca świata? Patrzeć, jak sami kroczą ku swojej zagładzie?*

– *Możemy spróbować osłabić skutki tego spisku. Możemy sprawić, że przetrwają, że świat skończy się tylko dla nas. Że zanim zginiemy, ratując obywateli naszego miasta, postaramy się, by rzeczywistość, w której przyjdzie im żyć, była bardziej znośna. Możemy zostawić im tyle wskazówek, że nawet po naszej śmierci bez trudu odkryją zdradę.*

– *Ja nie chcę umierać, Kocie.*

– *Musimy się pogodzić z tym, że umrzemy tak czy inaczej. Umrzemy, kiedy oni umrą. Ale umrzemy też, kiedy ujawnimy, jak bardzo zostali oszukani i wykorzystani. Wtedy nas zniechęcą i odwrócą się do nas, a dobrze wiesz, że to oznacza naszą śmierć.*

– *Czyli sytuacja patowa.* – Kot był na tym kadrze tylko smutną buźką z kocimi uszami. Dłoń rysowniczkę drżała. Tekst miał dla niej większe znaczenie niż obrazki. – *Więc skoro i tak mamy umrzeć, lepiej nie odbierać im nadziei. Lepiej pozwolić im wierzyć, że czeka ich wspianałego i niesamowitego, i jednocześnie próbować zrobić wszystko, by powstrzymać Pajęczycę i zdemaskować jej nieczne plany. Nie pozwolić, by zrobiła im krzywdę. Wtedy będzie im się żyło trochę lepiej i nawet jeśli odejdziemy, nie będą odczuwali braku nas. To znaczy, że mamy dwa tygodnie do końca świata, Kocie. I czternaście dni na jego naprawę.*

– *Idiotka!* – Martin zgiął papier w kulkę i cisnął nią w ścianę. – *Idiotka, idiotka, IDIOTKA!!! CO TY SOBIE, KURWA, MYŚLAŁAŚ?! ŻE TO JEST RATOWANIE ŚWIATA? UKRYWANIE PRZED MĄ PRAWDY, ŻEBY MNIE NIE ZRANIĆ?!*

Czuł drzenie rąk i piekące łzy w kącikach oczu. Klara próbowała go uratować, chciała powstrzymać Kolegium przed zabraniem go do Praskiej Szkoły Lalkarzy, zamiast po prostu powiedzieć mu, że ta uczelnia to bardzo głupi pomysł i są dziesiątki innych, nawet lepszych szkół artystycznych. To nie mieściło mu się w głowie. Było zbyt absurdalne, zbyt groteskowe i głupie. Nawet nie zwrócił uwagi na kroki na schodach i odgłos otwieranych drzwi.

– Co się stało? – spytała Canelle, przyglądając mu się badawczo.

W jakiś sposób sprawiło mu to ulgę. Według jego teorii oznaczało, że ona nic nie wie. Nie ma o tym wszystkim pojęcia. Nawet jeśli pani Althan rzeczywiście dokonała czegoś tak nieludzkiego i niezrozumiałego, Canelle nie była w to zamieszana. Dziewczyna pochyliła się i podniosła z podłogi jedną z kartek, które porzuciła w ataku wściekłości.

– Prowadzisz dochodzenie beze mnie? – zacięła się. – Co odkryłeś?

– Klara jakimś sposobem dowiedziała się o istnieniu Kolegium – odparł beznamyślnie. Nagle opadła z niego cała złość i agresja. Był całkowicie zubożony. – O tym, jak wygląda nauka i egzaminy wstępne. Wiedziała, że zginie, żeby zostać moim zadaniem testowym. I prawdopodobnie... – uważnie popatrzył Canelle w oczy – ...zabiła ją twoja ciotka.

– Bzdura! – obruszyła się dziewczyna. – Ona nie jest taka.

– Jest cholernym Mistrzem Marionetek, skończyła szkołę razem z Podróżnym! – odparł ze złością. Nawet nie próbowała udawać zdziwienia.

– Powiedziała ci?

– Greem mi powiedział – odparł szorstko. – Jej chyba bardziej na rękę było to ukrywać, ostatecznie przecież z ramienia Kolegium zabiła moją przyjaciółkę! A później przyjęła mnie pod swój dach jakby nic się nie stało, udawała, że się o mnie troszczy.

– Martin, uspokój się, gadasz od rzeczy. Ona tego nie zrobiła!

– Masz dowód? – spytał zimno. – Ma jakieś alibi? Nie było jej w tamten piątek. Nie było jej cały weekend. Skąd wiesz, że naprawdę pojechała do Wiednia?

– Udowodnię, że jest niewinna, a ty się mylisz – odparła, spoglądając na niego wyzywająco. – Nic prostszego, wystarczy znaleźć Widmokota. On na pewno wie więcej, przecież rozmawiał z Klarą. Możemy też pójść do...

– Nie, Canelle. – Odwrócił się do niej plecami, i zaczął zgarniać porzucane kartki do koperty.

– Co „nie”? – spytała wojowniczo. – Oskarżasz o morderstwo moją ciotkę, nawet nie pytasz mnie o zdanie i nie zgadzasz się na to, żeby zebrać dowody? Co z ciebie za detektyw?

– Nie jestem detektywem – odparł szorstko. – Ty też nie. Koniec z Kotem i Ciastkiem, nie będziemy już razem pracować.

– Ale ja chcę ci tylko pomóc, nie rozumiesz tego? Potrzebujesz mnie. Nawet jeśli nie jako partnera w śledztwie, to jako przewodnika, kogoś, kto ci pokaże skrót, otworzy drzwi...

– Canelle. – Jego głos był pełen napięcia. Silił się jednak na cierpliwość i powstrzymywał dziką chęć, by na nią nawrzeszczeć. – Właśnie dowiedziałem się, że moja najlepsza przyjaciółka zginęła, bo próbowała mnie chronić i na własną rękę chciała odkryć tajemnicę uczelni, na którą próbuję się dostać. Ostatnie, czego potrzebuję, to druga bliska mi osoba, która chce mi pomagać, mimo że prawdopodobnie zostanie aresztowana, jeśli jeszcze raz użyje klucza. – Broda Canelle zdrząła, jakby zbierało się jej na płacz. Jej oczy wciąż pozostawały jednak uparte i nieustraszone. – Do widzenia. – Zrzucił torbę na ramię i otworzył sobie okno. Czuł, że musi znaleźć Greema, a sądząc po tym, co on mówił o swoim miejscu zamieszkania, najlepiej było zacząć od okolic zamku. – I... dziękuję za wszystko.

Nawet nie próbowała go zatrzymać. Nie protestowała. I coś mu mówiło, że to wcale nie jest dobry znak.

[4](#) Hradczany – „królewska” dzielnica Pragi, powstała w XIV w. na zachodnim, wysokim brzegu Wełtawy.

12. Widmokot

Właściwie nie był pewien, w którym kierunku idzie. Z początku zamierzał udać się na Złotą Uliczkę i porozmawiać z Greemem, ale zapomniał o tym, że o tej porze przejście na zamek było już zamknięte. Wiedział, że musi istnieć jakaś inna droga, ale nie potrafił jej teraz znaleźć. Wciąż skręcał w niewłaściwą uliczkę albo schodził w dół zaułka schodami, których wcale nie powinno tam być. Po zmroku, w blasku wystaw i ulicznych latarni, w zaułkach wypełnionych tłumami turystów wszystko wyglądało identycznie i nie znalazł się nikt, kto mógłby go poprowadzić.

Nie mógł znaleźć tego, czego szukał, błędził więc bez celu. Po prostu szedł przed siebie, obejmując ramiona rękami. Pogoda się zmieniała. Noc nie była tak ciepła jak przez ostatnie kilka tygodni. Powietrze przesyciła wilgoć, od rzeki wiał wiatr. Martin, opuszczając sklep w pośpiechu, nie zabrał ze sobą swojej wojskowej kurtki. Marzył, zwłaszcza, że włosy wciąż miał jeszcze nieco wilgotne po niedawnym prysznicu. Kiedy jednak się idzie, w pewnym momencie po prostu nie czuje się zmęczenia, zagłusza je ogień w mięśniach i lekkość w głowie. Po prostu brnie się przed siebie na oślep, bez wytchnienia. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy jednym z ulicznych straganów dla turystów, by kupić piwo lub trochę pitnego miodu, sprzedawanego w małych plastikowych kubeczkach. Alkohol rozgrzewał, otumaniał, uspokajał, nie pozwalał zbyt dużo myśleć, a tego właśnie Martin potrzebował. Był dziwnie rozkojarzony. Co jakiś czas czuł wibrowanie telefonu w kieszeni spodni, ale ignorował to. To prawdopodobnie Canelle próbowała się z nim skontaktować. Nie chciał i nie potrafił z nią rozmawiać. Jakby wszystkie myśli dotyczące sklepu, Klary i pani Althan były małymi, zranionymi zwierzątkami, które kulą się i bronią, gdy tylko próbuje się je dokładniej zbadać. Jakby zmieniły się w przerażone, drżące kłębki bólu. Jakby on sam był kłębkim bólu.

Nie miał pojęcia, jakim sposobem znalazł się w żółtej linii metra w kierunku na Černý Most.

W wagoniku dostrzegł pozostawioną przez jednego z pasażerów gazetę i bez przekonania zaczął ją kartkować. Informacje o nowej polityce finansowej rządu. Gdzieś dalej reportaż o chłopaku, który w piątek popełnił samobójstwo. Podobno miał kontakty z niebezpieczną sektą, co doprowadziło go do napadów lęku i depresji. Alex S.

– Więc jednak mi uwierzyłeś – powiedział cicho Martin.

Przeglądał gazetę dalej. W nekrologach na ostatniej stronie widniała wiadomość, że pogrzeb Klary odbył się w sobotę.

Prawdopodobnie jej rodzice próbowali przekazać mu informację, ale jej nie odebrał, bo był zbyt zajęty... Właściwie czym?

Wydawało mu się, że badaniem przyczyn śmierci Klary. Po co się jednak dłużej oszukiwać? Tak naprawdę był zajęty doprowadzaniem do śmierci kolejnej osoby. Przez chwilę rozważał myśl o pójściu na cmentarz, nie zdecydował się jednak. Dobrze wiedział, że zastanie tam grób Klary, pokryty niesamowitą ilością kwiatów, pluszowymi zabawkami, kartkami podpisanymi przez ludzi ze szkoły, którzy nawet z nią nie rozmawiali.

I nic od niego.

Wiedział, że gdyby tam poszedł, gdyby to zobaczył, znowu zaczęłby na nią krzyczeć. Tak jak wcześniej, w mieszkaniu nad sklepem. Nie martwiło go to, że wyjdzie na histeryka, ale zrobiło się dość późno i odwiedziny na cmentarzu oraz głośne kłótnie ze zmarłymi mogłyby zwrócić czyjąś uwagę. Nie był pewien, czy zdoła zapanować nad sobą na tyle, by zachować powagę w takim miejscu.

Nie mógł nawet powiedzieć, że z całą pewnością znalazł jej mordercę. Nie chciał przyjąć tego

do wiadomości, cały czas nie dowierzał. Poza tym nie mógł oskarżać kobiety, która dała mu pracę, zaopiekowała się nim. Przynajmniej nie wyłącznie na podstawie kilku uwag Greema i Podróżnego. Musiał się z nią skonfrontować, poprosić o wyjaśnienia. Nie sądził, żeby chciała mu ich udzielić, pewnie nawet nie dbałaby o to, by odeprzeć zarzuty, ale... czuł, że to jednak nie było właściwe rozwiązanie jego zadania. A może po prostu miał nadzieję, że istnieje inne.

Jednego był pewien: nie był w stanie myśleć o tym racjonalnie. W ogóle nie był w stanie myśleć. Zmęczenie po marszu przez prawie pół miasta dało się we znaki, kiedy na chwilę usiadł w metrze. Kiedy wyszedł ze stacji, jego wzrok padł na budynek, w którym znajdowała się knajpa Pod Trupkiem. Knajpa Morderców, zawsze na końcu złotej drogi. Tak jak poprzednio, kiedy przyszedł tu wraz z Greemem, otworzył drzwi i zszedł na dół. Teraz w środku panował tłok i Martin przepychał się w stronę baru, starając się nie gapić zbyt nachalnie na stłoczonych przy ławach gości. Zwrócił tylko uwagę na mężczyznę o dwukolorowych oczach, na którego ramieniu siedziała dość okazała świnka morska. O ile to była świnka morska.

– Martin! – Aż podskoczył, słysząc swoje imię. Stina zmierzała do niego przez salę. Była ubrana w krótką, czarno-czerwoną sukienkę z gorsetem. W jasne, pofalowane włosy wpięła mały, ozdobny cylinder z piórkami. Najprawdopodobniej chwilę temu zeszła ze sceny. – Tu jesteś! Wszyscy cię szukają!

– Wszyscy? – spytał nieufnie.

– Greem, Inga, Aisling... – Złapała go za nadgarstek i pociągnęła za sobą. – Chodź na zaplecze. Jesteś błąd jak trup i przemarznięty! – Poprowadziła go za bar i otworzyła drzwiczki, znajdujące się obok szafki pełnej kufli. Stojący za barem potężny mężczyzna z pionową blizną przecinającą lewą stronę twarzy popatrzył na nią ostrzegawczo, ale nic nie powiedział.

– Marek zawsze jest taki ponury – powiedziała spokojnie, sadzając Martina na obitej pluszem kanapie. – Nie przejmuj się nim, złości się, że zamiast zabawiać gości martwię się twoim zaginięciem... Gdzieś ty się podziewał, co?

– Spacerowałem – odparł beznamyślnie

Znajdowali się w czymś co – sądząc po ogromnym lustrze i porzrzuconych wszędzie ubraniach – było garderobą dziewczyny. Momentalnie poczuł, że robi mu się ciepło. Zwłaszcza na twarzy, na której z całą pewnością zdążył już pojawić się rumieniec. Śpiewająca barmanka z Knajpy Morderców nieco go onieśmiałała, zwłaszcza teraz, kiedy wyglądała na tak zatroskaną.

– Posłuchaj. – Oparła dłoń na jego ramieniu. – Zostań na chwilę tutaj, przyniosę ci coś na rozgrzanie. Przy okazji spróbuję jakoś powiadomić innych, że się znalazłeś, bo pewnie odchodzą od zmysłów.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, wstała i wyszła z garderoby. Patrzył za nią, wciąż nieco oszołomiony i zdezorientowany. Złość i żal, napędzające go, gdy wędrował po Starym Mieście, zaczęły znikać. Zawsze w końcu znikają, zastępowane przez znużenie. Robi się chłodno i smutno, trzeba zacząć myśleć o rzeczach, które powinno się jeszcze zrobić i powiedzieć. Każda taka myśl sprawia, że tylko bardziej chce się płakać.

– No, załatwione – powiedziała dziewczyna, wchodząc do garderoby. W rękę trzymała kubek z jakimś parującym płynem. Herbata. Nie taka jak u Cathy w herbaciarni. Zwykła, czarna, z torebki. – Przepraszam, nie miałam nic innego, a sądząc po twoich oczach już trochę wypiełeś, więc nie chciałam robić grzańca. Wypij spokojnie, odpocznij. Greem i pozostali niedługo powinni tutaj być. Widmokot już im przekazał, że się znalazłeś.

– Dzięki – mruknął. Stina jakby nigdy nic usiadła obok niego na kanapie i założyła nogę na nogę. Bardzo się starał nie patrzeć na krótką spódniczkę i czarne kabaretki. – Na razie i tak mam

chwilę przerwy, więc dotrzymam ci towarzystwa. Cieszysz się?

Pokiwał głową i – by ukryć zmieszanie – upił łyk herbaty.

– Jesteś naprawdę uroczy – powiedziała Stina, przyglądając mu się uważnie. Cóż, a sądził, że ta sytuacja nie może być bardziej krępująca. – Taki... normalny? To pewnie dziwne uczucie, kiedy wszyscy tak zabijają się o to, by mieć cię po swojej stronie?

– Wszyscy? – podchwycił, zaalarmowany. – Zabijają się?

– No wiesz... Greem i pozostali buntownicy, Pani Althan, teraz jeszcze Podróżny... Naprawdę pokładają w tobie duże nadzieje – uśmiechnęła się lekko, bardziej do siebie samej niż do niego. – Musisz być potwornie zagubiony.

Nagle przypomniało mu się to, co Canelle wspominała o Stinie. O tym, że jest taka jak on. Że też otworzyła niewłaściwie drzwi i wmieszała się w sprawy Obrzeży.

– Co... czego oni ode mnie chcą? – spytał, odstawiając kubek na podłogę. – Ja przecież nic nie zrobiłem, po prostu... Po prostu chcę zostać naprawdę dobrym lalkarzem. Nic więcej.

– I chyba właśnie dlatego tak się na ciebie napalili – powiedziała nieco ponuro dziewczyna, opierając brodę na splecionych dłoniach. – Imponuje im to, że chcesz być dobrym artystą, że nie chcesz używać tego, czego się nauczysz, do walki o władzę. Wydaje im się, że to może coś zmienić. Że możesz zostać kimś wielkim. Drugim Podróżnym.

– I dlatego wszyscy są dla mnie tacy mili? – spytał, nieco urażony. No tak, mógł się domyślić. Ba! Mógł to wywnioskować z samych słów Canelle.

Stina pokiwała w zadumie głową.

– Ściszej mówiąc, Greem i Inga sądzą, że możesz być kolejną Iskrą. Kolejną osobą, która pokazowo i z wielkim hukiem odejście z Kolegium i zachęci innych do tego, żeby się zbuntowali i obalili system – tłumaczyła. – Pani Althan, jako była wykładowczyni Kolegium, marzy o tym, żebyś trafił na uczelnię, pozostał na niej i w pewnym sensie rozwalił system od wewnątrz. Przejął kontrolę, wymógł zmiany. Dlatego posunęła się do tego, żeby obiecać ci lalkę zrobioną przez Podróżnego. Ostatnią lalkę, jaką wykonał przed swoim zniknięciem. A sam Morty... – Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, w co on gra. Nie wiem, czemu postanowił wrócić do Kolegium i czemu Kolegium zgodziło się go przyjąć i powierzyć mu posadę nauczyciela, ale Erika musi być naprawdę zdesperowana i najwyraźniej potrzebuje jego pomocy. A Morty chyba po prostu jest ciekaw, co z tego wyniknie – zdecydowała. – Jak zawsze.

– Pracowałeś dla niego, prawda? – podchwycił Martin.

– Przez jakiś czas – przyznała niechętnie. – Byłam wtedy młodsza od ciebie, młodsza nawet od Canelle. Posprzeczałam się ze znajomym, poleciałam gdzieś w miasto, niechcący wpadłam do herbaciarni, a później już samo poszło. Poznałam Mortimera, zaciągnęłam u niego dług, który musiałam spłacić. On jest w porządku – powiedziała w zadumie. – Nie można wierzyć jego słowom, bo większość rzeczy mówi, żeby sprawdzić, jak zareagujesz, ale można na nim polegać. Wierzę, że w ostatecznym rachunku podejmie właściwą decyzję i robi to, co trzeba.

Martin wzruszył ramionami. A co on miał zrobić? Nawet bez świadomości ciężących na nim nadziei i oczekiwań czuł się dostatecznie zdezorientowany i zagubiony.

– Znam to uczucie – powiedziała Stina, chociaż przecież nie wyraził żadnej ze swoich myśli na głos. – Wydaje ci się, że w tym nowym świecie, w który wkraczasz, otaczają cię przyjaciele. Że jest inaczej niż na co dzień, że naprawdę bezinteresownie o ciebie dbają, a tymczasem to tylko interesy. To zawsze interesy – powiedziała z naciskiem. – Co nie znaczy, że uczucia nie są szczerze, przynajmniej częściowo. Greem, Inga i Aisling naprawdę cię lubią – zapewniła. – Co

nie zmienia faktu, że mają wobec ciebie poważne plany i zrealizują je, nawet jeśli to będzie wymagało oszukania cię i zrobienia ci krzywdy. To samo tyczy się pani Althan...

Wzdrygnął się.

– To nawet nie podpada pod definicję przyjaźni – mruknął.

Stina westchnęła cicho i pokręciła głową.

– Tutaj wszystko jest niby mniej rzeczywiste, ale jakimś sposobem jednocześnie bardziej realne, bardziej... wyraziste. Dosadne. – Lekko poklepała go po ramieniu. – Wiem, że nie jest fajnie nagle dojść do wniosku, że nie możesz ufać tym wszystkim ludziom wokół. Ale jeśli cię to pocieszy... mnie Cathy i Widmokot wmawiali, że zaopiekowali się mną, ponieważ jestem ważna, że należę do ich świata, że nie pasuję nigdzie indziej. Naprawdę chodziło im tylko o to, żeby za moim pośrednictwem ściągnąć na Obrzeża mojego znajomego. To o niego chodziło im od początku, ja byłam tylko łatwowiernym, ślepo posłusznym narzędziem. Zabawką w ich ręku – zadumała się.

Martin podniósł na nią wzrok, coraz bardziej zaniepokojony, ale jednocześnie poruszony jej opowieścią. Naprawdę był w stanie z nią sympatyzować, rozumiał, co czuje.

– A... jak jest w moim przypadku? – spytał cicho.

– Nie wiem – odparła szczerze. – Pewnie wolałbyś usłyszeć, że na pewno chodzi im o ciebie... że jesteś jakimś tajemniczym wybrańcem, dzieckiem przeznaczenia czy coś w tym stylu, ale... – Rozłożyła bezradnie ręce. – Przepraszam, nie mam zamiaru grać w ich grę.

Na swój sposób był jej za to wdzięczny. Wszyscy czegoś od niego oczekiwali: że zostanie symbolem rewolucji, reformatorem albo w ogóle nie wiadomo kim.

– Co mam zrobić? – spytał cicho, obejmując głowę rękoma.

Stina wzruszyła ramionami.

– Tego też nie wiem – przyznała. – Nigdy nie byłam manipulatorem, wręcz przeciwnie. To mnie popychano w różne strony jak grzeczną lalkę. Ktoś, kto stara się sprostać wymaganiom innych, też nie będzie w tym dobry. Musisz wiedzieć, czego chcesz. I nie możesz myśleć, że coś jest oczywiste. Nie ma żadnych oczywistości.

O tym już zdążył się przekonać. Bez względu na to, jak bardzo chciał ufać Greemowi, nie potrafił – ze względu na te wszystkie drobnostki, które budziły jego wątpliwości. Canelle też go okłamała w kwestii kluczy i powagi swojej sytuacji. Stina miała rację: pewne było tylko to, czego on chciał. Ale czego chciał tak właściwie?

Zostać mistrzem lalkarstwa?, spytał głosik w jego głowie. Nie, a w każdym razie nie tylko. W tym momencie najbardziej chciał dowiedzieć się, kto zabił jego przyjaciółkę.

– STINA! – dobiegł ich ochrypły głos z zewnątrz i energiczne pukanie do drzwi. – Jak długo jeszcze będziesz siedzieć i pić herbatkę z tym gówniarzem? Wracaj do roboty!

– Muszę lecieć – powiedziała, wstając z miejsca. – Jeśli chcesz, możesz wziąć herbatę i iść obejrzeć mój występ.

– Chętnie – odparł Martin, również wstając z miejsca. Nie był pewien, czy woli siedzieć sam tutaj, czy na sali w tłumie obcych ludzi o szemranej reputacji. Był jednak ciekaw, jak Stina radzi sobie ze śpiewaniem. Ostatecznie przeszedł do głównej sali lokalu. Usiadł na jednej z ław, zwrócony twarzą do sceny, z kubkiem herbaty przed sobą.

Dziewczyna przeszła przez salę, uśmiechając się do stałych bywalców lokalu i zagadując do nich. Po drodze zaniósła jednemu z siedzących w rogu podstarzałych, brodatych mężczyzn kufel ciemnego piwa. Następnie weszła na niewysoki, czworokątny podest w głębi pomieszczenia. Za tło służyły ciemnoczerwone zasłony, mające zapewne imitować teatralną kurtynę. W występie

towarzyszyło jej dwóch muzyków: jeden przy niewielkim, stojącym w rogu pomieszczenia pianinie, drugi z gitarą akustyczną.

Pierwsza piosenka brzmiała jak *cover* jakiegoś musicalowego numeru. Martin nie miał pojęcia, z jakiego to spektaklu, kojarzył jednak stylistykę i sposób śpiewania. Stina miała jedwabisty, hipnotyzujący głos. Między kolejnymi numerami schodziła z podestu, podchodziła do stolików, zagadywała ludzi. Rzeczywiście była w swoim żywiole. Martin wciąż siedział w milczeniu, pijąc swoją herbatę. Czekał na Greema i pozostałych. Na Waltera, który chyba najlepiej z nich wszystkich rozumiał jego obecną sytuację. Nie myślał o niczym. Pozwolił, by odgłosy rozmów i śpiew Stiny przepływały obojętnie obok niego.

Nie zauważył nawet, kiedy światła nieco się przyciemniły, a muzyka stała się spokojniejsza, pełna melancholii i dziwnie znajoma. Otrząsnął się z zadumy i podniósł wzrok na Stinę, która z zamkniętymi oczami śpiewała *cover Love is Blindness* U2. Melodia była znacznie wolniejsza niż w oryginale. Niepokoiła, łąpała za gardło mocnym, pewnym uściskiem i sprawiała, że wszystkie wstrząsające wydarzenia ostatnich dwóch tygodni powróciły ze zdwojoną siłą. Wiadomość o śmierci Klary. Nocne spotkanie w lesie i gra w podchody. Alex. Notatki Klary. Świadomość, że dziewczyna zginęła, bo z jego powodu wtrąciła się w sprawy Kolegium. Stina ciągle śpiewała. Prosto. Ładnie. Boleśnie.

Love is clockworks

And cold steel

Fingers too numb to feel

Squeeze the handle

Blow out the candle

Love is blindness

Drżenie ramion. Pieczenie pod powiekami, dziwnie rozmazane pole widzenia.

Wrażenie zbliżającej się katastrofy. Odliczanie przed końcem świata. Nie wiedział, skąd to przyszło i co miało wspólnego akurat z tą piosenką. Z każdą chwilą było jednak coraz silniejsze i trudniejsze do opanowania. Coś się zaraz stanie, coś złego dzieje się właśnie teraz.

Żołądek miał ściśnięty. Czuł dławienie w gardle. Coś się stało? Coś z Canelle? Jednak poszła za nim i zrobiła coś głupiego?

– Pewnie, popłacz się. – Usłyszał cichy, złośliwy głos gdzieś za plecami. – Złap się na te jej smętne piosenki, jak wszyscy tutaj. I pomyśleć, że to ty jesteś tym dzieciakiem, którym wszyscy się zachwycają.

Zorientował się, że policzki ma mokre od łez. Naprawdę płakał? Przez to wrażenie niepokoju, przytłoczenie, głos Stiny? Otrząsnął się szybko i rozejrzał, próbując zidentyfikować właściciela głosu.

Kot siedział na ławie po jego prawej stronie, liżąc łapę. Duży, rudy kocur o nieco spłaszczonym pyszczku i długim, naprawdę imponującym ogonie. Dostrzegłszy, że Martin skojarzył jego obecność z głosem, zręcznie wskoczył na stół i rozsiadł się wygodnie, prawie strącając przy tym kubek z herbatą. Wpatrywał się w chłopaka jasnozielonymi, pełnymi kpiny oczami.

– Cathy mówiła, że mnie szukałeś – powiedział z pewnym znudzeniem. – Więc się streszczaj. To nie jest nawet w jednej czwartej tak interesujące, jak miałem nadzieję.

– Ty... – Martin przez chwilę wpatrywał się w niego, zupełnie zбитy z tropu. – To ty jesteś Widmokotem?

– Jak widać.

– To prawda, że potrafisz stać się każdym kotem? – spytał Martin. Wiedział, że to nie jest ani najlepiej sformułowane, ani najbardziej pasujące do sytuacji pytanie, ale ta kwestia nie dawała mu spokoju, od kiedy tylko usłyszał o istnieniu tej Istoty z Cienia. Zwierzak powoli, z godnością skinął głową. – Nawet kotem z Cheshire?

Zielone oczy łypnęły na niego z odcieniem rezygnacji.

– Nie mam pojęcia, czemu wszyscy nowi goście o to pytają – westchnął. – Ale tak, zdarza mi się nim bywać. Ale nawet nie łudź się, że będę teraz robił taką szopkę. Wystarczy, że ona mi się kazała zmieniać w różne koty raz za razem, zanim uwierzyła.

– Ona? – powtórzył niepewnie Martin.

Kot polizał prawą łapę, zerkając z politowaniem na rozmówcę..

– Biorąc pod uwagę, w jaki sposób o tobie mówiła, naprawdę spodziewałem się czegoś więcej – stwierdził z wyraźnym rozczarowaniem. – Ta twoja znajoma. Dziewczyna, o którą pytałeś w herbaciarni.

Martin nie potrafił rozstrzygnąć, czy bardziej zabolalo go rozczarowanie zwierzaka, czy wspomnienie o Klarze.

– Rozmawiałeś z nią?

– Nie, otworzyłem jej czaszkę i zajrzałem do środka – sarknął z politowaniem kot.

– Co jej powiedziałeś? – spytał Martin, puszczając uwagę mimo uszu i spoglądając na niego nieco bardziej surowo. Zaczynała go denerwować ta nonszalancka postawa Widmokota i jego ostentacyjne znużenie rozmówcą. – Cathy powiedziała, że skontaktowałeś się z nią i dałeś jej jakieś wskazówki... Proszę, powiedz mi, co to dokładnie było.

– Ani myślę – obruszył się kot.

– Słucham? – Martin podniósł się nieco, groźnie opierając ciężar ciała na dłoniach.

– Nie mam zamiaru bezsensownie strzępić sobie języka.

– Nie rozumiesz, że to ważne? Prawdopodobnie miałeś z nią kontakt jako ostatni, więc tylko ty możesz mi jakoś pomóc!

Widmokot milczał przez chwilę, całkowicie pochłonięty czyszczeniem długiego, rudego futra. Zupełnie ignorował irytację rozmówcy.

– Jestem kotem – stwierdził wreszcie, leniwie mrużąc oczy. – Co więcej: jestem każdym kotem z osobna i wszystkimi jednocześnie. Jestem esencją bycia kotem. Prawdopodobność ani lojalność nie leżą w mojej naturze i wszyscy po drugiej stronie doskonale o tym wiedzą. Co oznacza, że jeśli przedstawiając rozwiązanie swojej zagadki powołasz się na mnie, nikt nie weźmie tego na poważnie. Nikt nie uwierzy, że rzeczywiście ją rozwiązałeś. A poza tym to całkowicie zbędne. Wszystkie potrzebne informacje masz tutaj, przed tobą. Musisz tylko znaleźć sposób, by je zdobyć.

– Próbowałem, ale...

– Wcale nie próbowałeś – odparował kot, mrużąc oczy jeszcze bardziej, tym razem już ze złością. – Nie tak naprawdę. Posłuchaj... – Przeciągnął się lekko, wyginając grzbiet w łuk. – Nie mogę dać ci odpowiedzi, ale ze względu na twoją koleżankę, która była bardziej rozcignięta od ciebie i szkoda, by jej poświęcenie poszło na marne, dam ci pewną radę.

– Radę?

– Słuchaj uważnie. – Kot ułożył się wygodniej na stole, opierając pyszczek na przednich łapach. – Potraktuj to jak ranę, o którą trzeba odpowiednio zadbać.

– Ranę?

– Z tego, co słyszałem, miałeś już trochę doświadczenia z marionetkami. Bawiłeś się w jakiś

amatorski teatrzyk, czy... czy coś, tak?

– Ognisko teatralne przy domu kultury – sprecyzował Martin.

– Mniejsza o to. Zapamiętałem ten szczegół tylko dlatego, że twojej koleżance najwyraźniej to imponowało – przyznał od niechcienia kot. – W każdym razie zdajesz sobie sprawę z tego, że w tej pracy nie tak trudno się zranić, nawet kiedy tylko bawisz się marionetkami. Możesz wbić sobie drzazgę w palec lub przeciąć dłoń żyłką. Jeszcze gorzej jest, kiedy sam tworzysz marionetki. Jeden nieostrożny ruch nożykiem albo innym narzędziem i nagle stoisz, wpatrując się bezradnie w zranioną, krwawiącą rękę. – Martin wzdrygnął się, kiedy ten obraz pojawił się przed jego oczami. Niepokojąco prawdopodobny scenariusz. – Kusi cię, żeby po prostu owinąć dłoń szmatką, zignorować ból oraz krew i powrócić do wykonywanej pracy, udając, że nic się nie stało. Nie zawsze też jest pod ręką ktoś, kto może udzielić ci profesjonalnej pomocy. Jeśli będziesz zwlekać zbyt długo, nawet płytka, pozornie niegroźna rana może ulec zakażeniu.

– Więc... co powinienem zrobić?

– To, przed czym się najbardziej wzdrgasz, jest najlepszym rozwiązaniem. Powinieneś usiąść przy stoliku. Położyć dłoń i, jeśli trzeba, nawet czymś unieruchomić. Dokładnie przemyć ranę. Zbadać ją, jej brzegi, głębokość. Upewnić się, że nie ma w niej żadnych obcych ciał. Powoli, bez pośpiechu, precyzyjnie. Poleje się krew, może nawet zobaczysz własne ścięgna i kości. Będzie cię kusiło, żeby odwrócić wzrok, zabrać rękę i w obronnym geście przycisnąć ją do tułowia, żeby nie robić tego już dłużej samemu i po prostu czekać na pomoc. Nie rób tego. Patrz, obserwuj, ucz się. Zapamiętaj, jak do tego doszło, postaraj się wyciągnąć wnioski. Owiń rękę czystym opatrunkiem i dopiero wtedy udaj się po pomoc.

Martin spoglądał na niego w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Niewątpliwie potrafił to odnieść do swojej sytuacji. Myśli o Klarze, o tym, kto ją zabił i jak do tego doszło, były właśnie taką raną. Raną, którą on próbował osłonić i pospiesznie zabandażować, zamiast dokładnie zbadać.

Kot nie czekał na jakąkolwiek odpowiedź ani na podziękowania. Po prostu zeskoczył ze stołu i przemknął między stolikami. Zajął miejsce na piecu, odwracając się ogonem nie tylko do Martina, ale też do wszystkich gości.

Martin zaś, chcąc nie chcąc, zabrał się do badania i opatrywania swojej rany.

Na początek fakty: Klara Berg nie żyła.

Zginęła, a miejsce zbrodni zaaranżowano tak, że jej ciało przypominało ludzką marionetkę. Za zbrodnię odpowiedzialny był ktoś powiązany z Kolegium.

Wiedziała, że zginie, zdołała nawet ustalić dość dokładną datę swojej śmierci.

Warunkiem dostania się do Praskiej Szkoły Lalkarzy było wykonanie zadania, które kandydat wyznaczał sobie samodzielnie. Podróżny zasugerował, że w przypadku szczególnie opornych kandydatów on i Petra Althan zabijali bliską kandydatowi osobę, by zapewnić niezbędną motywację. Wyraźnie stwierdził też, że pani Althan „zrobiła wszystko co możliwe” w jego sprawie. To automatycznie czyniło ją główną podejrzaną.

Ale czy na pewno była morderczynią?

Stina wspomniała, że zarówno sama pani Althan, jak i uczniowie Praskiej Szkoły Lalkarzy, których zdążył poznać, mieli wobec niego plany. Ciotka Canelle chciała, żeby zreformował Kolegium, dlatego zależało jej na tym, żeby przeszedł egzaminy wstępne i trafił na uczelnię. Sama nie raz obiecywała mu zresztą pomoc. Zaproponowała nawet marionetkę, której potrzebował i którą zdążył sobie upatrzeć.

Oczywiście, mogła uznać, że to wciąż za mało i postarać się znaleźć dla niego jakieś

wyzwanie. Mogła zabić Klarę. Nie wiadomo, gdzie naprawdę przebywała w momencie śmierci dziewczyny. Tylko czy rzeczywiście podsuwałaby Martinowi zadanie, którego rozwiązanie prowadziłyby go prosto do niej?

Przecież celem całej intrygi powinno być to, aby odczytał wszystkie wskazówki i poprawnie wskazał mordercę. Nie mogła założyć, że Martin nigdy się nie dowie o jej udziale w sprawie, bo to oznaczałoby jego porażkę i – zgodnie ze słowami Podróżnego – śmierć, a co za tym idzie, klęskę jej planu. Raczej brała też pod uwagę to, że chłopak po pomyślnym przejściu przez egzamin wstępny i odkryciu prawdy całkowicie zerwie z nią kontakt i wyrwie się spod kontroli.

Nie, Petra Althan nie miała żadnego racjonalnego ani ukrytego powodu, by zabijać Klarę. Oczywiście, nadal nie mógł wykluczyć tego, że zamordowała ją w afekcie, albo...

To mogło być to...

Klara w swoim komiksie – traktowanym jako pamiętnik – pisała coś o ogromnej nadziei, która okaże się zdradą i o tym, że trzeba zneutralizować plan podstępnej Pajęczycy, przy okazji zabijając jego autorkę. Czyżby naprawdę miała coś takiego na myśli?

Czyżby szukała sposobu, jak zabić sprawczynię całego zamieszania i ostatecznie sama została przez nią zamordowana?

Rozejrzał się niespokojnie. Widmokot w międzyczasie opuścił miejsce na piecu. Chyba w ogóle zniknął z Knajpy Morderców. Nie chciał mu powiedzieć, o czym rozmawiał z Klarą, ale stwierdził, że to nieistotne, bo wszystkie elementy są tutaj, na miejscu.

W tym lokalu. Oczywiście. Gdyby Klara naprawdę rozważała ideę zabicia – albo przynajmniej szpiegowania – kogoś, jakież miejsce byłoby lepsze niż Knajpa Morderców? Widmokot jej polecił, by tu przyszła? A może była tu już wcześniej z grupą Alexa?

Tylko, że... w takim razie Stina by ją widziała. Owszem, mogła kłamać i kręcić, sama przyznała, że nie można nikomu ufać, ale... Dlaczego miałyby to ukrywać?

Kiedy poprzednio przyszedł tutaj z Greemem, za ladą stała tylko Stina. Nie było drugiego barmana, Marka, którego Martin poznał dopiero dzisiaj. Stina wcale nie musiała kłamać w kwestii widzenia lub niewidzenia Klary. Mogła się z nią rozminąć albo zwyczajnie jej nie zauważyć, nawet jeśli obie przebywały wtedy w pubie. Nie zaszkodzi się upewnić.

Wstał z miejsca i podszedł do lady.

Kiedy pokazał barmanowi zdjęcie Klary, ten początkowo go zignorował. Zareagował, dopiero kiedy Martin z rezygnacją położył na ladzie drobne na piwo. Napełnił kufel i przysunął go klientowi. Na widok zdjęcia roześmiał się tylko.

– Tak, była tutaj – przyznał z wyraźnym rozbawieniem. – Dość długo siedziała i słuchała, jak młoda śpiewa, najwyraźniej ciężko nad czymś rozmyślając. Jak każdy. Później podeszła prosto do mnie i powiedziała, że szuka kogoś, kto pomoże jej w morderstwie.

Klara, podchodząca do kogoś i mówiąca wprost, że chce wynająć zabójcę, to nie była może aż tak dziwna wizja, ale mimo wszystko Martin poczuł nieprzyjemny dreszcz. Jego teoria została potwierdzona.

– Co jej powiedziałaś? – spytał.

– Odesłałem do tamtego gościa w kącie. – Marek wzruszył ramionami i wskazał ruchem głowy ciemny kąt lokalu, odgradzony od sceny czymś w rodzaju drewnianego parawanu. – Jest początkujący, więc nie bierze dużo, mogła sobie na niego pozwolić. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, gadaj z nim, ja się nie wtrącam w sprawy klientów. Etyka zawodowa i takie tam.

Najwyraźniej nawet bycie barmanem w miejscu znanym jako Knajpa Morderców wymagało czegoś w rodzaju kodeksu honorowego. Martin wziął piwo i zaczął przepychać się przez tłum w

stronę tajemniczego stolika. W połowie drogi uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma pojęcia, jak powinien rozmawiać z zawodowym zabójcą. Nie mógł przecież podejść i zagadnąć: „hej, słyszałem, że wcześniej chciała cię wynająć moja przyjaciółka, mógłbym prosić o szczegóły?”. Trzeba było wymyślić coś, co przynajmniej miałyby szansę zadziałać. Jak do tej pory najbardziej użyteczne informacje zdobył, podsłuchując innych. Buntowników rozmawiających o Praskiej Szkole Lalkarzy podczas imprezy w sklepie. Terkę i Alinę, kłócące się o grę w podchody. Canelle i panią Althan zaledwie kilka godzin temu. Rozejrzał się, poszukując wzrokiem jasnowłosej kelnerki.

– Stina, proszę cię, musisz mi pomóc! – Wybiegł jej naprzeciw, kiedy zeszła ze sceny. Popatrzyła na niego pytająco. – To ważne.

– Co tam?

– Potrzebuję jakiegoś pretekstu, żeby móc bez przeszkód poruszać się po sali – powiedział, dyskretnie zerkając w stronę najbardziej interesującej go części pomieszczenia. Jeden z klientów tajemniczego mordercy właśnie wstał od stołu. Natychmiast przysiadł się inny. – Marek powiedział, że ten typ może coś wiedzieć, a sama widzisz, że ma dzisiaj dość napięty grafik...

– I dlatego wolisz się wokół niego pokręcić i posłuchać, o czym rozmawia ze swoimi klientami.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

Dziewczyna przyglądała mu się z namysłem, lekko przekrzywiając głowę.

– Masz jakieś doświadczenie w pracy kelnera?

Pół godziny później po raz kolejny przechodził obok stolika za parawanem, niosąc na tacy trzy Krwawe Mary, i modlił się, żeby nic nie rozlać. Jak na razie jego strategia działała. Stina wysyłała go do stolików w sąsiedztwie tego zajmowanego przez najemnego mordercę, mógł więc raz po raz przechodzić obok niego, wyłapując strzępy rozmów. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo taca kelnera w jakiś sposób czyniła go całkowicie niewidzialnym. Jak dotąd nie działo się nic ciekawego, morderca głównie omawiał ze zleceniodawcami warunki zamordowania ich bogatych krewnych lub kłopotliwych partnerów w interesach. Martin nawet nie podejrzewał, że praca zabójcy może być aż tak monotonna. Może to kwestia doświadczenia zawodowego – głos raczej nie należał do starego wyjadacza. Wręcz przeciwnie, to był głos młodzieńca.

– Dziecko z Trollowego Mostu już zaliczyło swoje zadanie – usłyszał, kiedy po raz kolejny przeciskał się obok stolika tajemniczego zabójcy – więc nic na to nie poradzimy. Na szczęście jednak jest dużo innych pionków, których można się pozbyć, żeby zwiększyć twoje szanse.

– A co z tym dzieciakiem ze sklepu ze starociami? – zagadnęła siedząca naprzeciwko dziewczyna. Martin domyślił się jej płci tylko po głosie, ponieważ twarz miała skrytą pod kapturem.

Zamarł w pół kroku i zaczął nasłuchiwać.

– Z nim nie powinno już być problemów.

– Jesteś pewny? – dociekała klientka. – Wiesz, krążą o nim różne plotki. Drugi Podróżny i tak dalej.

– Daj spokój. Biedaczek jest przekonany, że to jego opiekunka zabiła mu koleżankę. – Martin zacisnął zęby. – Nie sądzę, żeby wpadł na właściwy trop przed upływem czasu, który pozostał mu na wykonanie zadania. A jeśli nie udzieli poprawnej odpowiedzi, mamy go z głowy.

– Ty ją zabiłeś? – zachichotała dziewczyna. Martinowi ten śmiech wydał się niepokojąco znajomy. – I spreparowałeś dowody?

– Nawet nie musiałem – odparł cicho morderca. – Wystarczyło, że nasłałem ją na naszą drogą

panią dyrektor. Wiesz, Erika jest raczej paranoiczką i gdy ktoś wejdzie jej do ogródka, najpierw atakuje, a później zadaje pytania.

Martin miał ogromną ochotę podejść do stolika i z szerokim, nieco maniakalnym uśmiechem podziękować za udzielenie odpowiedzi i rozwianie wszystkich jego wątpliwości, a później, wciąż się uśmiechając, złamać typowi nos. Od tego pomysłu odwiódł go jednak słowa mordercy:

– Dość już o mnie. Jak z tobą, moja śliczna? Jak ci idzie z naszym księciem z bajki?

– Nie ma go w mieście – przyznała dziewczyna. – Próbowałam go wczoraj upolować, ale bezskutecznie.

– Powinnaś się bardziej postarać – padła nieco karcąca odpowiedź. – To twój egzamin wstępny, nie mój. To, że jako starszy kolega zaoferowałam ci pomoc, nie oznacza, że będę cię prowadził za rękę. Tobie też nie zostało dużo czasu, więc weź się w garść.

Księżę z bajki? Egzamin wstępny? Walter też startował w rekrutacji i najwyraźniej również plasował się w kategorii „pionków”. Czyżby ta dwójka – sądząc, że Martin został wyeliminowany – chciała zaszkodzić też Waltowi?

– Niemniej jednak – ciągnął nieznamy – na pewno będziesz zainteresowana tym, co mam ci do przekazania. Od jednego z jego przyjaciół wiem, że pozostał w tym swoim zamczysku niedaleko Starej Sprawy. – Martin znieruchomiał. Czyli naprawdę mówili o Walterze. I o jego domu. – Wiesz, takie zadupie w lesie, całkiem niedaleko. Byli u niego na weekend, ale wrócili, a on został.

– Pewnie snuje się po pustym domu albo jeździ gdzieś konno po bezdrożach i wzdycha nad swoją nieszczęśliwą miłością do mnie – zaśmiała się dziewczyna. – To urocze.

– Niewątpliwie – odparł kpiąco chłopak. W głowie Martina zaczęło kiełkować bardzo złe przeczucie. Okropne, przerażające przeczucie, które przecież w żaden sposób nie mogło być prawdą. – Ale mimo to sama wyznaczyłaś sobie za cel zabicie go. Muszę przyznać, że od początku mnie to fascynowało. Głównie dlatego postanowiłem ci pomóc.

– Z ciekawości? – spytała rezolutnie dziewczyna.. Przekręciła się nieco na krześle i w półmroku dało się dostrzec jej twarz. Kasztanowe włosy zaśniły w świetle lampki. Błysnęły intensywnie zielone oczy. Martin przysunął dłoń do ust, by powstrzymać okrzyk niedowierzania. To jednak nie było złudzenie – rozmówczynią nieznanego zabójcy była Eliska. Ely. Ukochana Waltera.

– No wiesz, słyszałem plotki. Wielka miłość i w ogóle.

– Miłość to ślepotą – padła beztroska, nieco drwiąca odpowiedź. – Tak jak w tej piosence. Tylko ślepcy wierzą, że dzika księżniczka jest w stanie kiedykolwiek odwzajemnić ich uczucie.

– Ale mimo to do tej pory go nie zabiłaś, chociaż już raz miałaś okazję. Czyżbyś zaczynała się wahać?

– Coś ty! Jestem zdecydowana!

– Lepiej dla ciebie, żeby tak było. Czas na deklarację już upłynął, zadania nie można zmienić.

– Nie mam żadnego problemu z zabicie go – prychnęła dziewczyna. – I zobaczysz, zrobię to, jeszcze tej nocy.

– Jak się dostaniesz na to zadupie? – zaciekawił się chłopak. – To przecież kawał drogi stąd, a kolejką już tam raczej nie dojedziesz.

– Zaufaj mi – odparła dziewczyna. – Dzikie księżniczki mają swoje sposoby.

13. Nocny gość

Musiał jak najszybciej stamtąd zniknąć, zanim Ely zdoła go rozpoznać. Spotkali się przecież, potrafiłaby przypomnieć sobie jego twarz. Musiał znaleźć Greema, Ingę i Waltera. Powiedzieć im. Uprzedzić o zdradzie. Upewnić się, że Walt nie zrobi niczego głupiego.

Ely...

Nie, nie było czasu, żeby teraz o tym myśleć. Należało działać. Ta rana krwawiła zbyt obficie, by tak po prostu w niej grzebać. Zatomować krew. Zabezpieczyć. Zrobić wszystko, by nie doprowadzić do dalszych uszkodzeń.

Niepostrzeżenie wycofał się, odstawił tacę kelnera na blat i, najszybciej jak się dało, opuścił lokal. Nie miał czasu czekać, aż Stina skończy swój kolejny występ, a przerywanie jej wzbudziłoby zbyt dużo zamieszania. A szkoda, biorąc pod uwagę, że przecież wiedziała, jak skontaktować się z Greemem. Teraz nawet nie miał pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Kiedy opuścił Knajpę Morderców, zdążyła już wybić północ. To oznaczało, że powrót do centrum metrem nie wchodził w grę. Były oczywiście nocne autobusy i taksówki, ale przed podjęciem decyzji o takiej eskapadzie wolał mieć gwarancję, że rzeczywiście znajdzie Greema na starym mieście. Pozostawała tylko Canelle. Mogła – chociaż nie musiała – znać miejsce pobytu uczniów Kolegium. Poza tym na pewno знаła jakieś alternatywne sposoby komunikowania się z Greemem. Wyciągnął telefon, odkrywając przy okazji, że miał od niej przynajmniej dziesięć nieodebranych połączeń. Kiedy jednak oddzwonił, nikt nie odebrał. Poddała się czy też wyciszyła telefon? A jeśli wyciszyła, to po co? Chyba nie wpakowała się znowu w jakieś kłopoty?! Nie teraz, nie w takim momencie! Jak ma uratować jednocześnie ją i Waltera?!

Przez chwilę dreptał w miejscu, zastanawiając się, co robić.

I nagle do niego dotarło. Zrozumiał, gdzie mogą się podziewać jego znajomi. Z tego, co mówiła Stina, usiłowali go odnaleźć. Nie musieli jednak dłużej szukać, wiedząc, że Martin czeka na nich w pubie, bezpieczny i pod okiem zaufanej osoby. Mogli się spóźnić, i to tak bardzo, jak tylko im się chciało. Mogli się zająć czymś innym, czego on zdecydowanie nie popierał, a co oni uznawali za niezbędne, zwłaszcza jeśli Canelle powiedziała im o jego podejrzeniach wobec jej ciotki. Albo to, albo wpadła w gorsze kłopoty niż Eliska, zawierająca dziwne sojusze i planująca zabić Waltera.

Ruszył w stronę swojego domu. Z początku tylko szedł szybkim krokiem, ale czuł, że to za mało. Zaczął biec i nie zatrzymywał się, dopóki nie poczuł klucia w boku. Wtedy też biegł, tylko trochę wolniej, łapczywie chwytając powietrze i mając wrażenie, że ogień wypełnia mu płuca. Zatrzymał się, dopiero gdy dostrzegł róg swojej ulicy. Chyba jeszcze nigdy wcześniej nie pokonał drogi od metra do domu w takim tempie, wliczając w to dzień, w którym będąc na mieście dowiedział się, że rodzice przysłali mu paczkę z marionetką z unikatowej serii.

W głębi uliczki spostrzegł przechadzającą się po chodniku przed furtką Klary postać. Długi płaszcz, jasne włosy, lśniące w świetle latarni.

Greem.

Czyli jego podejrzenia były słuszne – rzeczywiście postanowili włamać się do domu Klary bez jego zgody i udziału. Nie wiedział, czy powinien się wściekać, czy cieszyć, że dzięki temu tak łatwo ich znalazł. Zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku wychowanka alchemików, który spacerował po krawężniku, rozkładając ręce dla zachowania równowagi.

– Ach, młody – powiedział Greem, dostrzegłszy przybysza. Zagwizdał cicho jakąś melodyjkę.
– Dobrze, że się znalazłeś. – Obdarzył Martina nieco zmartwionym spojrzeniem. – Chociaż

miałeś czekać na nas w Knajpie Morderców. To nierozsądne tak wychodzić i łązić po nocy, mogliśmy znów się minąć. Albo mogło ci się coś stać.

– Gdzie są pozostali? – spytał Martin, ignorując jego zastrzeżenia.

– Inga patroluje równoległą uliczkę, żeby się upewnić, że nie będzie problemu z policją ani sąsiadami. A Canelle jest... cóż. – Wskazał brodą dom Klary. Okno na piętrze otworzyło się i jakaś postać wyszła przez nie na znajdujący się poniżej daszek. – Na pewno też się ucieszy, że się znalazłeś. Dostała szlaban na klucze, dlatego zaciągnęła nas tutaj do pomocy. Inaczej pewnie by po prostu skorzystała z jakiegoś zrobionego przez siebie przejścia.

Canelle. No tak, oczywiście. Detektyw Ciastko musiała przecież zbadać wszystko osobiście.

– A Walter?

– Walter? – spytał z lekkim zdumieniem Greem. – Skąd ci się nagle wziął Walter? Przecież został u siebie, w Starej Sprawie.

Martin poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Do końca miał nadzieję, że Ely ma błędne informacje i że to jakaś wielka pomyłka.

– Dlaczego? – spytał, z narastającym zniecierpliwieniem. – Nie wołał wrócić z wami do Pragi?

Chłopak pokręcił głową w odpowiedzi.

– Powiedział, że musi zostać i ogarnąć ten syf, który zostawiliśmy – powiedział z pozorną bez troską. Sądząc po wyrazie twarzy, nieco zdziwiła go reakcja rozmówcy. Szare oczy były zmrużone i nieufne. – Ale wydaje mi się, że chyba chciał po prostu przez jakiś czas побыć sam. No wiesz, zanim zaczniesz się rok akademicki.

– Musimy tam wrócić – powiedział stanowczo Martin. – Musimy się dostać do Starej Sprawy.

– Co? Ale dlaczego?

Spostrzegł, że ulicą zbliża się do nich Inga. Najwyraźniej wcześniejsze gwizdanie Greema było umówionym sygnałem. Canelle zdążyła już ześlizgnąć się po rynnie na ziemię. Przeskoczyła przez ogrodzenie i wylądowała na chodniku. Martin spostrzegł, że miała na sobie te same czarne spodnie, koszulkę i bluzę co podczas piątkowej zabawy w lesie. Cóż, dobra inwestycja dla kogoś, kto planuje włamywać się do domów zmarłych.

– Cześć, Martin – powiedziała. Uśmiechała się szeroko, z satysfakcją. Wydała się wręcz zadowolona, że go widzi. Jakby wcale na nią wcześniej nie nakrzyczał i nie oskarżył jej ciotki o morderstwo. – Wiem, że jesteś na mnie zły i w ogóle, ale musisz mnie posłuchać – mówiła szybko, nie dając mu szansy się wtrącić. – Wiem kto zamordował Klarę Berg. Znalazłam dowody. Moja ciocia nie ma z tym nic wspólnego, mordercą jest...

– Tak, wiem. – Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. Dziewczyna zrobiła zaskoczoną minę.

– Co? Niby jak? Skąd?

Inga, która właśnie podeszła, wodziła wzrokiem od jednej osoby do drugiej, bezgłośnie pytając, o co chodzi.

– Mniejsza o to – uciął Martin. – Musimy natychmiast dotrzeć do domu Waltera. Jest w niebezpieczeństwie i nie mamy czasu do stracenia!

– W niebezpieczeństwie? – powtórzył Greem.

– Tak! Ely... Eliska też jest kandydatką do Praskiej Szkoły Lalkarzy! I jej zadaniem jest zabicie Walta.

Canelle przyłożyła dłoń do ust. Inga zacisnęła zęby. Obie jak na komendę zwróciły pytające spojrzenie na Greema. Wychowanek alchemików przez chwilę przyglądał się Martinowi z namysłem, najwyraźniej próbując ocenić, na ile wiarygodne są jego słowa. Wreszcie skinął głową. Zwrócił wzrok na Canelle. Dziewczyna odruchowo sięgnęła dłonią do szyi.

– Nie! – powiedział Martin, kiedy wyciągnęła spod koszulki rzemyk z kluczami. – Nawet się nie waż! W ogóle skąd je masz? Przecież pani Althan ci je zabrała, sam widziałem! Ukradłaś je? Canelle rzuciła mu pełne politowania spojrzenie. Nie zniżyła się do tego, by potwierdzić.

– Masz lepszy pomysł? – spytała szorstko Inga. – Bo weekendową kolejką dotrzemy tam najprędzej w następny piątek.

– Ale na pewno są inne pociągi! Samochody, autobusy, nie wiem...

Sam wiedział, że to bzdura. Żaden pociąg ani autobus nie dojedzie tam o tej porze. Nawet samochodem mogliby nie zdążyć, zanim... zanim właściwie co? Co dokładnie planowała Ely? I ile tak naprawdę mieli czasu?!

Szare, czujne oczy Greema spoczęły na Canelle.

– Jesteś pewna, że potrafisz znaleźć odpowiednie drzwi? – spytał po prostu. Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi i rozglądając się wokół, po czym wskazała drzwi wejściowe domu Martina.

– Co? – zdziwił się chłopak. – Dlaczego u mnie?

– Nie miałam pojęcia, że to twój dom – wzruszyła ramionami. Po tym, jak sprzeciwił się jej inicjatywie skorzystania z klucza, wyraźnie była trochę nadąsana. – Ale wiem, że gdzieś tam znajdują się właściwie drzwi.

– Chodźmy – zdecydował Greem. – Jeśli Martin ma rację, nie ma czasu do stracenia.

Zanim skończył mówić, Canelle była już w połowie drogi do furtki, prowadzącej na posesję Luboviców. Inga deptała jej po piętach, wyraźnie zdenerwowana. Martin i Greem ruszyli za nimi. Martin uznał, że lepiej nie zapalać światła. Nie chciał wzbudzać zbędnego zainteresowania, zwłaszcza teraz, gdy dopiero co ktoś włamał się przez okno do domu tragicznie zmarłej sąsiadki. Szli więc po ciemku, obijając się nieco o meble i przytrzymując ścian podczas wchodzenia na piętro. Canelle rozglądała się po pogrążonym w ciemności korytarzu, czujna i uważna. Dokładnie oglądała wszystkie drzwi, ze szczególnym uwzględnieniem dziurek od klucza i – z jakiegoś powodu – klamek.

– Te – powiedziała, wskazując pomalowane na biało drzwi do pokoju Martina.

– Jesteś pewna? – spytał szorstko Greem.

Skinęła głową. Martin w milczeniu patrzył, jak zdejmuje z szyi rzemyk z kluczami. Zacisnął zęby. Chciał jej powiedzieć, że wcale nie musi robić czegoś tak ryzykownego i lekkomyślnego, że przecież podobno ją obserwują. Że się o nią boi i nie zniesie, jeśli Kolegium rzeczywiście jakoś ją ukarze. Bał się jednak ją rozpraszać i przerywać pracy.

– Nie robię tego dla ciebie – powiedziała poważnie dziewczyna, zaciskając dłoń na kluczu. Jakby czytała w jego myślach. – Robię to, ponieważ nasz wspólny przyjaciel jest w niebezpieczeństwie.

Mimo to jednak wciąż kręcił przecząco głową w bezgłośnym proteście. Zignorowała to. Włożyła klucz do zamka i powoli nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Po ich drugiej stronie nie zobaczyli jednak obklejonego teatralnymi plakatami i pełnego marionetek pokoju Martina. Stali na progu przestronnego salonu, skąpanego w padającym od okna blasku księżyca. Stary zegar wskazywał wpół do pierwszej w nocy. Drzwi w głębi prowadziły do oszklonej oranżerii. Dzięki zdolnościom Canelle trafili do letniej rezydencji Waltera.

Dziewczyna z powrotem zawiesiła rzemyk na szyi, chowając go pod ubraniem. Inga lekko poklepała ją po ramieniu. Greem pokiwał głową na znak cichej aprobaty. Martin wciąż ją ignorował, zajęty rozglądaniem się i nasłuchiowaniem.

Świetnie, zwalili się do domu księcia z bajki w środku nocy i bez zaproszenia. Co teraz?

Odpowiedź przyszła szybciej, niż mogliby sobie tego życzyć.

Brzdęk tłuczonego szkła gdzieś nad nimi. Zduszony okrzyk Waltera. Odgłos czegoś ciężkiego, upadającego na podłogę. Szamotanina.

Nawet nie mieli czasu wymienić porozumiewawczych spojrzeń. W tym samym momencie rzucili się w kierunku korytarza. Biegli po schodach, przeskakując co dwa stopnie. Kroki zwiastujące katastrofę. Kroki zapowiadające koniec świata.

Pierwsza na miejsce dotarła Inga. Energicznie otworzyła drzwi, prowadzące do pokoju Waltera. Wpadła do środka z okrzykiem „Ely, nie!” na ustach.

Martin nie wiedział, co dokładnie stało się później. Był zbyt daleko, by dobiec na czas i zobaczyć to na własne oczy. Usłyszał jednak cichy okrzyk Waltera, wrzask zaskoczenia Eliski i serię przekleństw Ingi.

– Co? – spytała drżącym głosem Canelle, rozglądając się z przerażeniem po korytarzu. Jej włosy były w nieładzie. W szeroko otwartych oczach czaiło się przerażenie. – Inga, co...? – zapytała z naciskiem. Za odpowiedź musiała wystarczyć jej kolejna seria cichych, gorzkich przekleństw.

Pokonała dzielący ją od pokoju dystans jednym krokiem. Zajrzała do środka. A później pochyliła głowę i przysunęła dłoń do ust. Sądząc po odgłosach, próbowała powstrzymać szloch albo wymioty. Kilka kosmyków cynamonowych włosów opadło jej na twarz.

Martin zatrzymał się w pół kroku. Nie był w stanie się poruszyć ani wykrztusić słowa. Stał, wpatrując się w ciemny zarys drzwi i stojącą w nich Canelle.

Greem dobiegł na piętro ostatni. Zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi i zapalił światło.

– Walt – powiedział cicho. Łagodnie, jak do kogoś znajdującego się w stanie głębokiego szoku. Bezradnie. – Walt, o jasna cholera...

Canelle rzuciła się do przodu, nurkując pod jego ramieniem. Greem brutalnie złapał ją i odciągnął do tyłu.

Martin poczuł, że coś skręca mu się w żołądku. Zmusił się, żeby zrobić następne kilka kroków w stronę drzwi. Żeby otworzyć oczy i spojrzeć. Spodziewał się wszystkiego, co najgorsze. Oczami wyobraźni widział Waltera, rozciągniętego na sznurach na podłodze pokoju. Zmienionego w marionetkę, tak jak Klara. Widok, który odmalował się przed jego oczami, był jednak całkiem odmienny. Walter klęczał na posadzce, tuląc do siebie Eliskę i przyciskając czoło do jej czoła. Głaszcząc ją po prostych, kasztanowych włosach. Szeptał coś, czego nikt nie mógł dosłyszeć. Wyglądałoby to na ponowne zejście się kochanków, gdyby nie krew na podłodze, na ścianie, na ubraniu Ely i na nożu w zaciśniętej dłoni Walta. Ciemne oczy chłopaka, które nie widziały chyba nic poza martwą Ely i krwią. Martin poczuł, że robi mu się słabo. Zaciśnął dłonie na futrynie i powoli osunął się na kolana.

14. Rada Kolegium

Walter zabił Eliskę. Wrażliwy, łagodny i zawsze nieco nieobecny duchem Walter zamordował dziewczynę, w której był ślepo zakochany. Dziewczynę, którą chciał za wszelką cenę chronić. Przy okazji skrzywdził też siebie, bo przecież właśnie zapewnienie bezpieczeństwa Elisce stanowiło jego zadanie testowe. Kolegium nie daje drugich szans. Martin nie miał co do tego wątpliwości, zwłaszcza teraz.

Zwłaszcza, kiedy byli tutaj Przedstawiciele Rady.

Trzeba to przyznać funkcjonariuszom Kolegium: naprawdę mieli czas reakcji, którego mogłoby pozazdrościć wiele innych znanych Martinowi służb porządkowych. Pojawili się na miejscu zbrodni zaraz po tym, jak Greemowi wreszcie udało się odciągnąć Waltera od ciała Ely i zmusić całe towarzystwo do zejścia na dół. Nawet nie zadali sobie trudu, by zapukać – po prostu weszli, zdjęli płaszcze i – nie pytając nikogo o zgodę – rozgościli się w salonie.

W pierwszym momencie Martin zastanawiał się, skąd trzech ponurych mężczyzn w długich strojach, przypominających sędziowskie togi, znalazło się na takim odludziu w środku nocy. Jego wątpliwości rozwiały się jednak, gdy dostrzegł czwartego członka delegacji.

Mortimer Burton. Podróżny. Klucznik Londynu. W fioletowym płaszczu, w cylindrze, z parasolką i nieodłącznym kuferkiem z sziszą. To pewnie on ich tutaj przyprowadził.

– Reprezentujemy Radę Kolegium Iluzji i Manipulacji – odezwał się jeden z mężczyzn, szpakowaty i gładko ogolony. Martin zauważył, że jego szata pod szyją była spięta broszką w kształcie srebrnej dłoni kościotrupa. Zrobiło mu się trochę niedobrze. – Przybywamy w związku z wykroczeniami i nadużyciami, mającymi miejsce na tej posesji.

Mortimer nie wydawał się przejęty ani samym morderstwem, ani przyprowadzoną przez siebie delegacją, ani zarzutami. Jak gdyby nigdy nic rozsiadł się w fotelu, otworzył kufer i zaczął przygotowywać sobie fajkę wodną.

– Naszym zadaniem jest aresztować i niezwłocznie doprowadzić do siedziby Rady klucznika, który...

Podróżny wyjął kwiatki z wazonika, powąchał pozostałą w nim wodę i przelał ją do dzbana sziszy.

– Nie sądzę, Tymoteuszu, żeby taki pośpiech był zasadny i niezbędny.

– Niby dlaczego, Morty?

– Musimy wziąć pod uwagę okoliczności.

– Jakie znowu okoliczności? – zirytował się mężczyzna nazwany Tymoteuszem. Podróżny podszedł do kominka, wyjął z paleniska jeden z rozżarzonych węgielków i położył go na cybuchu. – Mamy tutaj nielegalnego klucznika, który próbuje ingerować w proces rekrutacji...

– Proces rekrutacji, dokładnie! – Uśmiechnął się Podróżny, na moment przerywając sprawdzanie, czy ustnik sziszy nie jest zatkany. – Proces rekrutacji, który dobiega końca, a którym ja, jako przyszły wykładowca i opiekun tych chłopców i dziewcząt, muszę się zająć. Zwłaszcza że pojawiły się nowe okoliczności.

– Ale klucznik...

– Klucznik zostanie należycie ukarany. Ale dopiero po tym, jak rozstrzygniemy sprawę tych tutaj dwóch kandydatów. – Wskazał ustnikiem sziszy najpierw na bladego i zdeorientowanego Martina, a następnie na Waltera, który przyciskał do piersi krwawiącą dłoń. – Chłopcy... czy jesteście gotowi zdać sprawozdanie ze swojego zadania w obecności członków Rady?

– Przyszliśmy tutaj w sprawie klucznika – sprzeciwił się Tymoteusz. – Nie po to, żeby grać w

twoje głupie gierki.

– Tymoteuszu, Tymoteuszu... Po pierwsze, to nie gierki, tylko bardzo istotna część procesu rekrutacji nowych adeptów Kolegium. Po drugie, nie moje, bo pomysł wyszedł od Eriki Ekhart, a szanowne Kolegium całą tę procedurę zatwierdziło. Zgodnie z nowymi wytycznymi, wykładowca odpowiedzialny za rekrutację nie ma prawa samodzielnie oceniać kandydatów. Jest tylko obserwatorem, czuwającym nad prawidłowym przebiegiem procesu. Oceny dokonuje komisja, w skład której wchodzi trzech przedstawicieli Rady. Jeden z nich musi być równocześnie wykładowcą w Praskiej Szkole Lalkarzy. To unikalny i bardzo trudny do zebrania skład, który, jak się szczęśliwie złożyło, jest tutaj obecny. Nieprawdaż, profesorze Septim?

Profesor Septim był korpulentnym, łysym staruszkim. Martin zastanawiał się, jakiego przedmiotu naucza i jak wyglądają jego zajęcia. Wydawał się bardzo przejęty tym, że w ogóle zapytano go o zdanie. Aż poczerwieniał na twarzy.

– Co za tym idzie – ciągnął swobodnie Morty – jeśli teraz rozstrzygniemy sprawę klucznika i rozejdziemy się do domów, jutro z samego rana i tak będziemy się musieli zebrać w tym samym gronie, bo co się odwlecze, to nie uciecze. – Ze znużeniem wypuścił z ust fiołkowy dym. – Więc czemu nie połączyć przyjemnego z pożytecznym i nie załatwić tego od razu?

– Morty ma trochę racji – podchwycił profesor Septim, rzucając swoim kolegom z Rady udręczone spojrzenie. – Mamy jeszcze mniej więcej dwa dni do końca rekrutacji. Sześć albo siedem takich poważnych rozmów z kandydatami. Wiecie, jak trudno jest zebrać całą komisję w jednym miejscu? Wykorzystajmy sytuację, skoro już się nadarzyła, i załatwmy też od razu te dwie rozmowy...

Ta argumentacja chyba trafiła do dwóch pozostałych członków delegacji.

Po krótkich obradach zarządzono, że Walter i Martin dostaną godzinę na przygotowanie się. Zostali zaprowadzeni do oddzielnych pokoi na piętrze. Canelle spotkał podobny los, z tą różnicą, że drzwi jej pokoju zamknięto i starannie zabezpieczono. Była przecież podejrzana o próbę wpłynięcia na rekrutację i pracownicy Kolegium nie mogli dopuścić do jej ucieczki, zwłaszcza że tak naprawdę to z jej powodu tu przybyli. Po upływie godziny cała trójka miała zejść na dół, by odpowiedzieć na wszystkie pytania Mortimera oraz członków Rady.

Martin, od chwili zamknięcia go w pokoju, ani przez chwilę nie był w stanie się uspokoić. Chodził w kółko, kładł się na łóżku, tylko po to, by po chwili znów wstać. Uderzał pięścią w ścianę. Zrzucał rzeczy z półek i kopał meble.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć Mortimerowi i Komisji. Nawet jeśli tajemniczy osobnik, podsłuchany w Knajpie Morderców, mówił prawdę, i to rzeczywiście sama Erika Ekhart jest morderczynią to... to właściwie co? Powinien powiedzieć, że jego przyjaciółkę zabiła dyrektorka uczelni, o przyjęcie na którą się ubiega? Albo go wyśmieją, albo zabiją, albo uznają za niebezpiecznego i gdzieś zamkną.

A to był najmniejszy z jego problemów.

Strach o Canelle i Waltera sprawiał, że nie potrafił ustać w miejscu. Czuł, że zaraz oszaleje. Że tego wszystkiego jest za dużo. To nie była prawda. To wszystko nie mogło się wydarzyć, to część koszmarnego, chaotycznego snu.

Krew w pokoju. Martwa Ely w zakrwawionej sukience. Walter, trzymający jej ciało w ramionach. Canelle, przytrzymywana za ramiona przez dwóch członków Rady. Scena ze snu, w której noszony na szyi rzemyk z kluczami przecina jej gardło.

Ktoś krzyknął gdzieś w pobliżu. Nie za ścianą, ale na pewno na tym samym piętrze. Walt.

Co się dzieje? Co próbuje zrobić? Martin rzucił się na drzwi, szarpiąc klamkę i próbując je

otworzyć. Bezskutecznie.

Znów kopnął w ciężką, metalową ramę łóżka. Zaklął i nagle uświadomił sobie, że cały się trzęsie. Nie potrafił stwierdzić, czy to z zimna, ze złości czy ze strachu. Może była to oznaka zbliżającego się szaleństwa? Szczękały mu zęby. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o łóżko. Próbował się uspokoić, rozluźnić, złapać głębszy oddech. Nadaremnie. Wciąż czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, myśli pędziły jak szalone. Przed oczami miał Waltera, tulącego do siebie zakrwawioną Eliskę.

Sięgnął po jeden ze skłębionych na łóżku koców i szczelnie się nim otulił, jak kokonem. Zamknął oczy. Potrzebował się odciąć od wszystkiego. Wyciszyć. Skulił się na podłodze, opierając policzek o miękki dywan.

Był poczwarką, nie żadnym tam Martinem. Mógł myśleć o rzeczach, które przydarzyły się chłopcu imieniem Martin jak o dziwnej historii, opowiedanej małym poczwarkom, żeby nie nudziły się podczas przeobrażania. Całkowita jasność. Płynność. Umysł jak gładka tafla lodu.

Wreszcie mógł dokładniej przeanalizować wersję wydarzeń, przedstawioną przez Inge jeszcze przed pojawieniem się ludzi z Kolegium. Kiedy adeptka wpadła do pokoju, Eliska klęczała, opierając kolana na piersi Waltera. Próbowała go zadźgać, a on, broniąc się, odruchowo złapał za ostrze noża. Dlatego jego dłoń krwawiła. Niespodziewane pojawienie się kogoś innego zaskoczyło napastniczkę do tego stopnia, że niedoszła ofiara była w stanie zareagować. Walter błyskawicznie zrzucił z siebie Ely, przejął nóż i szybko wbił jej w serce. A później wziął ją w objęcia i mówił coś do niej, dopóki nie umarła. I właśnie wtedy wpadła do pokoju Canelle, a zaraz za nią Greem i Martin.

Co wydarzyło się wcześniej?

Pokłócili się? Ely niespodziewanie pojawiła się w jego pokoju i zaatakowała go? A może Walt wiedział, że Eliska również jest kandydatką i właśnie tak zamierzał to rozstrzygnąć? Może.

Jedyną osobą, która mogłaby odpowiedzieć, był sam Walter. Jego krzyk znów dobiegł z pokoju na tym samym piętrze. Zduszony. Pełen bólu. Zawtórował mu pełen wściekłości głos Ingi.

Rozległ się cichy szcęk klucza w drzwiach. Kroki. Ktoś wszedł do pokoju.

– Młody? – Sądząc po głosie i sposobie mówienia, to Greem przyszedł, by porozmawiać z Martinem. Niestety, Martina tu nie było, była tylko poczwarka. – Młody, nie wygłupiaj się, nie uwierzę, że stąd uciekłeś.

Wychowanek alchemików rozejrzał się po pokoju. Pochylił się i odsunął koc z twarzy Martina. Ich spojrzenia się spotkały.

– ...muszę przyznać, że masz najbardziej urocze reakcje na szok pourazowy, jakie u kogokolwiek widziałem – przyznał. – Zostało ci piętnaście minut, musimy porozmawiać.

Gdzieś na tym samym piętrze Walter wrzasnął po raz kolejny i natychmiast otrzymał surową reprimendę od Ingi.

– Co tam się dzieje? – spytał Martin, siadając na podłodze i opierając się plecami o łóżko.

– Inga opatruje Walterowi rękę – padła spokojna, pełna zadumy odpowiedź.

Przypomniał sobie to, co o opatrywaniu ran mówił Widmokot. Dokładnie zbadaj. Nie odwracaj wzroku. Oczami wyobraźni niemal widział Waltera, który skręca się i wrywa, a Inga przytrzymuje jego zranioną dłoń i zmusza go do dalszego grzebania w ranie. Poczłł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Tak trzeba. – Greem rozłożył bezradnie ręce, odpowiadając na niezadane pytanie. Położył na szafce kilka złożonych na pół kartek papieru. – Byłem przed chwilą u Canelle. Dała mi to, co

znalazła w pokoju Klary: kolejne szkice i wydruki z komputera. Podobno potwierdzają, że odwiedzała strony, które mogły doprowadzić ją do odkrycia, że Erika Ekhart jest odpowiedzialna za taki a nie inny proces rekrutacji. Co z kolei zapewne sprawiło, że zginęła z rąk dyrektorki.

– To... – zawahał się Martin. – To coś takiego jest w Internecie? Ja znalazłem tylko jakąś koszmarne zaniedbaną witrynę uczelni.

– Hej, mnie się nie pytaj. – Chłopak rozłożył bezradnie ręce. No tak, to był przecież Greem. Dziedzic alchemików, dziecko ze Złotej Uliczki. – Wiem tylko to, co ona kazała mi przekazać. Ale z jej opowieści mogę wywnioskować, że jeśli potrafi się otworzyć odpowiednie drzwi, w Internecie też jest wszystko.

– Prawdopodobnie tak – przyznał Martin. – Ale jesteś pewien, że mogę tego użyć? W końcu nie ja to znalazłem.

– Znając ich tok rozumowania, dostaniesz jakieś dodatkowe punkty za to, że nakłoniłeś kogoś, kto sam ma na pieńku z Radą, do odwalenia całej roboty za ciebie.

– Jak ona się czuje?

– Canelle? Analizuje krok po kroku to, co się stało z Eliską i złości się, że nie może dokładniej obejrzeć sobie miejsca zbrodni ani porozmawiać z Walterem. Pewnie chce go wypytać o szczegółowy przebieg wypadków, sam nie wiem.

– Czyli wszystko z nią w porządku – ocenił. Nie wiedział, czy podniosło go to na duchu, czy przeraziło, że dziewczyna tak obojętnie podchodzi do czekającej ją kary. – A Walt?

Za odpowiedź musiał wystarczyć mu kolejny krzyk zza ściany.

– Zdażyliśmy w ostatnim momencie. Gdyby nie ty, byłoby po nim – powiedział Greem.

Nie wypowiedział na głos tego, z czego obaj zdawali sobie sprawę. Z dużym prawdopodobieństwem i tak było po nim. W ramach swojego zadania zdecydował się zapewnić Ely bezpieczeństwo. Zrobił coś dokładnie odwrotnego. Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił. Martin sięgnął po papiery i przekartkował je. Wszystko się zgadzało. Wydruk wpisów, dotyczących pewnej szkoły dla lalkarzy. Przerazające opowieści, na które nikt nie zwracał uwagi, mimo że przewijały się raz po raz na stronach dla internautów lubujących się w strasznych historiach. Mogły sprowokować Klarę do dalszych poszukiwań i doprowadzić ją do Eriki Ekhart.

– Skąd wiedziałeś? – spytał wreszcie Greem. Najwyraźniej nie mógł już dłużej powstrzymać się przed zadaniem tego pytania. – Jakim sposobem dowiedziałeś się, że Eliska też jest kandydatką i że planuje coś takiego? Nawet ja nie miałem pojęcia – przyznał.

Martin mocniej otulił ramiona kocem. Opowiedział Greemowi o rozmowie, podsłuchanej w Knajpie Morderców. O Elisce i tajemniczym najemniku, podającym się za „starszego kolegę ze szkoły”. O tym, jak przyznał, co zrobił z Klarą i o tym, jak zachęcał Ely do zaatakowania Walta.

– To by wyjaśniało, skąd wiesz o tym, że szanowna pani dyrektor zabiła Klarę – przyznał w zadumie Greem. Zmarszczył brwi, oparł brodę na splecionych dłoniach. – Sam miałem o to spytać, już wtedy, kiedy Canelle próbowała ci o tym powiedzieć. Zastanawiało mnie, czemu tak po prostu powiedziałeś, że „wiesz” i olałeś sprawę. Wtedy jednak skupiliśmy się wszyscy na ratowaniu Waltera – westchnął. – Cholera, nie podejrzewałem, że Ely mogłaby tak po prostu... chociaż tak naprawdę nie ma co się dziwić. Ostatecznie była dziką księżniczką.

– Dziką księżniczką? – Martin przypomniał sobie, że dziewczyna w istocie powiedziała coś takiego. Tylko ślepiec może sądzić, że dzika księżniczka potrafi się zakochać. – Co to oznacza?

– Może nigdy się nad tym nie zastanawiałeś, ale w bajkach znika całkiem sporo księżniczek – pospieszył z wyjaśnieniami Greem. – Chodzi głównie o młodsze i starsze siostry, poboczne

bohaterki, które nagle wyparowują z kart historii zupełnie bez śladu. Królowny, które zostały porwane i zaczarowane, lecz księżęta nie zdołali ich odszukać, bohaterki bajek bez zakończenia.

– Co się z nimi dzieje?

– Niektóre przełamały krępujące je zaklęcia i opuściły swoje wieże, by skryć się gdzieś po drugiej stronie. Inne wciąż są w mocy złych uroków... tak czy inaczej lepiej ich unikać i uważać na spotkane w lesie dziewczęta. Mogą być groźne.

– Ale przecież...

– Młody, musisz zrozumieć, że to nie są te pocziwe, złotowłose księżniczki z bajek. Większość z nich to starsze i młodsze siostry, pozbawione przywilejów, sławy i bogactwa. Inne mają żal do świata, że tak szybko o nich zapomniano i że zaprzestano poszukiwań. Są bardzo rozgoryczone i kiedy już trafią na księcia, który nie zjawił się na czas, zazwyczaj marny jego los. Bywają krwiożercze i mściwe, znają się na czarach i do tego stały się bardzo sprytne, od kiedy zaczęto na nie polować.

– Polowali na nie?! – spytał nieufnie Martin. – Ale czemu?

– Na początku najemnicy i poszukiwacze przygód wyruszali na poszukiwanie księżniczek, pełni dobrych intencji. Kto by nie chciał rozkochać w sobie biednej, zaginionej arystokratki? Szybko okazało się jednak, że księżniczki są rozczarowane, pełne złości i wcale nie mają ochoty zostać odnalezione i uwiedzione. Kilku najemników nigdy nie wróciło z tych wypraw, a z częścią po powrocie zaczęły dziać się bardzo dziwne rzeczy. Wciąż zdarzają się naiwni, większość jednak uważa, że jeśli spotka się taką na leśnej drodze, lepiej przebić ją mieczem, uciąć głowę i głęboko zakopać, zanim zdąży rzucić na ciebie czar. I wygląda na to, że jednak mają rację.

– I Walt... zakochał się w kimś takim?

– Z tego, co mi opowiadał, miał pecha natknąć się na Ely zaraz po tym, jak opuścił znane sobie ziemie i wyruszył w wielką podróż. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale ją odczarował, a ona w jakiś sposób zaczarowała jego. Od tamtej chwili ciągle próbował ją znaleźć, mimo że wciąż mu umykała. Znaleźli się i zeszli, ale kiedy tylko Walt tu trafił, dostał list z Kolegium. Jak się właśnie okazało, dostali go oboje.

Martin słuchał w milczeniu. Ely. Dzika księżniczka, w której pewien książe z bajki zakochał się do szaleństwa. Naprawdę tak bardzo chciała zabić Waltera? Naprawdę była do tego zdolna? A może ktoś ją do tego zmusił? Podczas rozmowy z zabójcą nie wyglądała na przekonaną. Podobno miała inne okazje, by zabić Walta, ale z nich nie skorzystała. Wahała się.

– Ely nie zrobiła tego z własnej woli – powiedział, zaciskając dłonie w pięści. Greem popatrzył na niego ze zdziwieniem. – To wyglądało, jakby ten gość, z którym gadała... ten, który jest na roku z tobą albo z Aislingiem, miał na nią duży wpływ. Wiedział o niej i o Walterze. Musiał wiedzieć, jakie jest jego zadanie. I nie tylko jego.

– Co masz na myśli?

– Rozmawiali o próbach usunięcia mnie i jeszcze kilku innych „pionków”, żeby zmniejszyć liczbę kandydatów. Mówił, że robi to, by ułatwić jej dostanie się do szkoły, ale... wykorzystał ją, żeby pozbyć się i jej, i Waltera. Musiał to planować od początku.

– To dość... śmiała teoria – przyznał Greem. – Muszę cię jednak zmartwić – powiedział, spoglądając w oczy Martina. – Nie mam pojęcia, kim jest osoba, o której mówisz. Na pewno nie ma nikogo takiego na roku Aislinga. Jest on i dwie dziewczyny, u nas też raczej nie pozostał nikt taki...

– To znaczy... że kto to mógł być? – Martin poczuł, że po plecach przebiega mu nieprzyjemny

dreszcz. Zateśknął za byciem poczwarką. – Jakiś inny manipulator? Bo to na pewno musiał to być ktoś od nas... ktoś z Kolegium.

– Szczerze mówiąc, mam pewne podejrzenia – przyznał Greem. – Ale wolałbym się nimi na razie nie dzielić, dopóki tego nie potwierdzą. To nie jest w tym momencie istotne.

Martin nagle popatrzył na niego, zaalarmowany i pełen powątpiewania.

– No nie wiem – powiedział ostrożnie. – Myślę, że tożsamość tej osoby jest ważna.

– Dlaczego? To, co Canelle znalazła w pokoju Klary, pokrywa się z tym, co usłyszałeś. Ktokolwiek to był, mówił prawdę. Nie musisz się bać, że udzielisz błędnej odpowiedzi.

– On powiedział coś jeszcze, Greem. – Martin spiorunował go wzrokiem. – Powiedział, że dowiedział się o miejscu pobytu Waltera od jednego z jego przyjaciół. Od kogoś, kto wiedział, że Walt zostaje tu na kolejną noc i będzie sam. Ktoś z was, dranie, siedział tu z nami, rozmawiał, śmiał się i pił wino, a później zdradził informacje osobie, która... która doprowadziła do czegoś takiego.

– No i masz! – Chłopak rozłożył bezradnie ręce. – I właśnie w momencie, kiedy wszystko zaczęło się wyjaśniać, pojawia się kolejna tajemnica.

– Będę o tym pamiętał, Greem – powiedział Martin. W uchylonych drzwiach pokoju pojawił się jeden z trzech reprezentantów Rady i stanowczo wskazał na wiszący na łańcuszku zegarek. Czas się skończył. – Będę pamiętał i dowiem się, kto to był. Może nie dziś, może nie podczas tego egzaminu, ale się dowiem.

– Naturalnie, że się dowiesz – odparł pogodnie Greem, wkładając dłonie do kieszeni. – Jesteś przecież połówką duetu Kot i Ciastko. A ja będę wam kibicował.

15. Egzamin wstępny

Pospiesznie powołana komisja egzaminacyjna zebrała się w przestronnym salonie Waltera. Mortimer i jego trzech towarzysze siedzieli na wygodnych fotelach, ustawionych przodem do drzwi wejściowych. Przed nimi, na niskim stoliku, leżały jakieś papiery. Obok fotela Podróżnego stał kuferek i fajka wodna, którą klucznik cały czas zapamiętale palił, wypuszczając w powietrze kłęby dymu. Martin i Walter stali na dywanie, naprzeciwko reprezentacji Kolegium. Greem i Inga opierali się o futrynę. Podróżny wyraził zgodę na ich obecność ze względu na ostatnie wydarzenia, których byli świadkami. Nigdzie za to nie było Canelle. Prawdopodobnie ciągle siedziała zamknięta w pokoju.

Martin nie czuł się ani trochę bardziej gotowy na podsumowanie swojego zadania egzaminacyjnego. Dalej nie miał pojęcia, jak wybrnąć z faktu, że poszukiwanym przez niego mordercą jest prawdopodobnie dyrektorka uczelni, na którą aplikuje. Zerkał kątem oka na stojącego obok Waltera. W czystej koszuli, ze starannie obandażowaną ręką i nieobecny spojrzeniem, wciąż wyglądał na osobę w ciężkim szoku. Wydawał się jednak przytomniejszy niż godzinę temu, prawdopodobnie ból go otrzeźwił.

– Pan Martin Lubovic, czyż nie? – zapytał jeden z członków komisji. Miał okulary w rogowych oprawkach, krótko ostrzyżone włosy i czarną bródkę, która nadawała mu wygląd diabła z bajek dla dzieci. Martin potwierdził skinieniem głowy.

– Świetnie, zaczniemy od pana.

– Jeśli mogę – wtrącił łagodnie Podróżny. Jego głos dochodził gdzieś zza chmury tytoniowego dymu. – Osobiście wolałbym zacząć od omawiania sprawy księcia Waltera, wydaje się mniej skomplikowana.

– Masz dziwną definicję nieskomplikowanych spraw – stwierdził szpakowaty reprezentant Rady. Martin pamiętał, że ma na imię Tymoteusz. – Księciem Walterem zajmujemy się za chwilę, kiedy rozstrzygniemy kwestię pierwszego kandydata. Panie Lubovic, proszę opowiedzieć o swoim zadaniu. – Podróżny rozłożył ręce, jakby chciał się usprawiedliwić. Trudno powiedzieć, czy było to skierowane do Martina, czy do pozostałych członków Komisji.

– Miałem... – Martin przez chwilę próbował zapanować nad drżeniem głosu. – Miałem dowiedzieć się, kto zamordował moją przyjaciółkę, Klarę Berg.

Reprezentanci Kolegium wymienili zaniepokojone spojrzenia. Profesor Septim zaczął szeptać coś do ucha siedzącego obok Tymoteusza. Przez zasłonę dymu widać było zielone, pełne autentycznego zaciekawienia oczy Mortimera.

– Tak, khem... – powiedział mężczyzna z czarną bródką, sprawdzając coś w dokumentach. Wydawał się czymś bardzo zaniepokojony. Przeniósł wzrok na drugiego z kandydatów. – Walter, książę Żelaznego Dworu, jak rozumiem?

Walter poważnie skinął głową. Martin zmarszczył brwi. Nagle postanowili go zignorować? Tak po prostu? Przecież sami chcieli zacząć posiedzenie od rozpatrzenia jego sprawy.

– I jakie było pańskie zadanie, jeśli można wiedzieć? – spytał uprzejmie profesor Septim. Uśmiechnął się do chłopaka zaskakująco miłym, dodającym otuchy uśmiechem.

Walter dumnie uniósł głowę i zmierzył komisję wciąż odległym, ale pełnym determinacji spojrzeniem.

– Moim zadaniem było zapewnić księżniczce Ely bezpieczeństwo na czas trwania mojej rekrutacji, bez względu na jej wynik.

– I jak oceniasz wykonanie swojego zadania? – padło następne pytanie. Walter zacisnął

niezranioną dłoń. Szczęka zaczęła mu lekko drżeć.

– Jeśli można, panowie – wtrącił się znów Mortimer. – Trzymajmy się wcześniej ustalonej kolejności – zaproponował. Wyglądał jak ktoś, kto bardzo dobrze się bawi.

– Kolejności? – spytał nieufnie Tymoteusz. – Co masz na myśli?

– Kolejności zadawania pytań. Znamy już tożsamość obu naszych kandydatów i ich zadania. Teraz pora powrócić do Martina Lubovica, od którego sami upieraliście się zacząć, i dowiedzieć się czegoś więcej o przebiegu testu i efektach. Martinie, proszę, scena jest twoja.

– Tak więc... no – odkaslnął chłopak, czując się idiotycznie. Walter był chyba jeszcze bardziej zdezorientowany niż on. – Dowiedziałem się, że moja przyjaciółka przed śmiercią bardzo interesowała się... moją uczelnią. Zbierała informacje i...

– Informacje? – zaciekawiał się profesor Septim. – Mógłbyś powiedzieć na ten temat coś więcej?

– Sprzeciw – wtrącił mężczyzna z czarną bródką, poprawiając swoje okulary. Te słowa, gest i do tego czarna toga sprawiały, że wyglądał nie tyle jak sam diabeł, co bardziej jak jego adwokat.

– To nie ma żadnego znaczenia dla sprawy.

– Doprawdy, Dagonie – wtrącił z rozbawieniem Podróżny. – Nie przerywaj nam w najciekawszym momencie. Skąd wiesz, że to nie jest istotne, skoro w ogóle nie pozwalasz dojść chłopakowi do głosu?

– Podobno miałeś być tylko obserwatorem – wycedził przez zęby szpakowaty przedstawiciel Kolegium. – Wasza książęca mość – zwrócił się do Waltera. – Jak pan ocenia przebieg swojego zadania? Jakie kroki pan podjął?

Książę spoglądał nieufnie to na komisję, to na Podróżnego, ledwie widocznego spoza chmury dymu, za którą wciąż się ukrywał.

Nagle Martin pojał, co się dzieje. Co mają na celu wtrącenia Mortimera i sposób, w jaki Kolegium go zbywało. Wszyscy zebrani w tym pokoju wiedzieli, jaki był efekt jego śledztwa. Wiedzieli i panicznie bali się, że Martin wypowie te słowa na głos. Bali się do tego stopnia, że nie chcieli dopuścić go do głosu.

– Księżniczka Ely zginęła – przyznał Walter, wciąż wpatrując się nieobecny wzrokiem w twarze członków Komisji. Brzmiał jak ktoś, kto stoi na samej krawędzi wysokiego urwiska – jego wzrok padł na leżący na szklanym stoliku sztylet. – Została zabita tą bronią.

Profesor Septim poruszył się niespokojnie. Tymoteusz splótł dłonie w piramidkę.

– Straszne, naprawdę straszne – powiedział nieco sarkastycznie. – Kto dokonał tego czynu?

Walter popatrzył mu prosto w oczy.

– Ja.

– Tak więc – uśmiech, który pojawił się na ustach szpakowatego manipulatora, był zimny i okrutny – obrońca stał się mordercą. Jakże smutna to historia.

– Walter zabił w obronie własnej – powiedział głośno i wyraźnie Martin. Świadomość, że komisja najprawdopodobniej zrobi wszystko, by nie pozwolić mu mówić o Ericie Ekhart, dodała mu odwagi. – To Ely próbowała zabić jego.

– Czy istotnie tak było? – zagadnął Waltera Mortimer. Chłopak spuścił głowę, bezskutecznie starając się powstrzymać drżenie ramion. Widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, Podróżny powtórzył pytanie, zwracając się do stojących przy drzwiach Ingi i Greema. Oboje poświadczyli, że istotnie tak właśnie to wyglądało: Walter nigdy nie planował zabić Ely, wręcz przeciwnie. Zrobił wszystko, co możliwe, by zapewnić jej bezpieczeństwo. To ona chciała jego śmierci tak bardzo, że uzależniła od niej swoje przyjęcie na uczelnię.

– Próbujesz zwrócić naszą uwagę na rzeczy kompletnie pozbawione znaczenia, Morty – spostrzegł Tymoteusz. – W obronie własnej czy nie w obronie własnej... zabicie osoby, którą się miało ochraniać, nie może być chyba traktowane jako poprawne wykonanie zadania?

– Całkiem możliwe – odparł Podróżny, od niechcienia machając ręką, by oczyścić sobie pole widzenia. – Dym – westchnął, kierując swój wzrok na Martina. – Jak on zmienia czasem perspektywę – powiedział z rozbawieniem. Szpakowaty manipulator z rezygnacją przesunął dłoń po twarzy.

Martin zamrugał i z niedowierzaniem pokręcił głową. Drzwi prowadzące do oranżerii były uchylone. Za fotelem Mortimera czaiła się Canelle. Widział ją tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz znów zniknęła za oparciem. Nie miał pojęcia, kiedy i jakim sposobem udało się jej tam dostać. Najwyraźniej ukrywała się od dłuższej chwili. Starał się robić wszystko, co w jego mocy, by nie wyglądać na zaskoczonego.

– Tak czy inaczej – kontynuował swobodnie Morty – osobiście uważam, że warto zwrócić uwagę na kwestię relacji łączących księcia Waltera i księżniczkę Ely. Relacje międzyludzkie są tak fascynujące – powiedział z entuzjastycznym błyskiem w oku.

Dłoń Canelle znów wychyliła się zza fotela, próbując wymacać zwisający z oparcia fioletowy płaszcz. Jedna z kieszeni była wybrzuszona i wystawał z niej koniec rzemyka. No tak, klucze. Przecież przy aresztowaniu odebrano jej wisiorek, który najwyraźniej trafił na przechowanie do Podróżnego.

– Ale nas wcale nie interesują ich relacje – sprzeciwił się Tymoteusz. – Jego zadaniem było ją ochronić. Zamiast tego ją zabił. To chyba stawia sprawę dość jasno.

Podróżny od niechcienia sięgnął po płaszcz, wyjął z kieszeni swój pęk kluczy i zaczął odplątywać przywiązany do niego rzemyk z kluczami Canelle. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do towarzyszy, był doskonale świadom obecności uciekinierki.

– Stawianie takich spraw jasno, Tymoteuszu, to jedna z przyczyn, dla których Kolegium chyli się ku upadkowi – powiedział, nie odrywając wzroku od swoich kluczy.

Profesor Septim zachichotał nerwowo. Dagon ze zniecierpliwieniem przeczesał palcami krótkie, czarne włosy.

– Mógłbyś przynajmniej podczas egzaminu wstępnego nie demoralizować swoich przyszłych studentów i nie wkładać im do głowy bredni o słabości Kolegium?

– Wydaje mi się, że to nie ma wielkiego znaczenia, skoro i tak w tej chwili nie zanoszą się na to, by zostali moimi studentami – odparł z szerokim, beztroskim uśmiechem klucznik Londynu. – Wszystko wskazuje na to, że zamiast podejść do sprawy poważnie i dać chłopcom szansę na obronę, wy i tak zamierzacie ich po prostu zabić.

Chyba tylko Podróżny był zdolny rzucić tego typu uwagę całkowicie pogodnym i niefrasobliwym tonem. Martin nie mógł przestać analizować jego słów, zarówno tych, jak i wcześniejszych. Wszystkich jego wypowiedzi. Mortimer z jakiegoś powodu uważał, że to, co łączyło Walta i Ely, ma znaczenie. Że jest tutaj coś, co mogłoby uratować Waltera i zmienić jego sytuację. Tylko co?

– Wasza książęca mość – zabrał głos profesor Septim. Jego głos był nienaturalnie wysoki i nerwowo. Jakby obawiał się, że w każdej chwili ktoś może mu przerwać. – Niestety, obawiamy się, że ze względu na fakt, iż nie wykonał pan wyznaczonego sobie zadania, musimy odrzucić pańską kandydaturę na adepta sztuki manipulacji. Jak mniemam, sam pan zdaje sobie sprawę z tego, co to oznacza. Czy wasza książęca mość chciałby coś powiedzieć, zanim...

– Och, skończmy wreszcie ten cyrk – powiedział ze zniecierpliwieniem Tymoteusz. –

Zabierzmy się wreszcie za klucznika. Przecież po to tu przybyliśmy. – Zwrócił zimne, szare oczy na stojącą przy drzwiach Inge. – Dziewczyno, przyprowadź nam tutaj Canelle Althan. Zaczniemy ją przesłuchiwać, jak tylko rozwiążemy problem naszego... księcia.

Martin zdrzął. Oni naprawdę zamierzali zabić Walta, i to już teraz, zaraz. Co gorsza, zamierzali rozprawić się też z Canelle.

Przecież jeśli Inga teraz po nią pójdzie, zastanie pusty pokój. Canelle ukrywała się za fotelem Mortimera, bez powodzenia próbując odzyskać umożliwiające jej ucieczkę klucze.

– Poczekajcie! – odezwał się niespodziewanie. – To nie tak!

Członkowie Komisji spoglądali na niego w napięciu, niepewni, co chce powiedzieć. Był dla nich małą bombą, która w każdej chwili może wybuchnąć, stawiając ich w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Walt, pamiętasz, co mi powiedziałeś podczas jednej z rozmów? – zwrócił się do towarzysza.

– Wtedy, kiedy przyznałeś, że twoim zadaniem jest ochranianie Ely za wszelką cenę?

– Co w związku z tym? – spytał zimno Tymoteusz. – Skoro rzeczywiście żywił tak głębokie przekonanie, powinien pozwolić jej wypełnić swoje zadanie i bezpiecznie zaliczyć egzamin.

Martin nie mógł się z tym nie zgodzić. Właśnie to było najbardziej okrutne, pokręcone i niezrozumiałe. Przecież sam do ostatniej chwili był przekonany, że to Walter zginął. Że księżę nie ma szans w tym starciu właśnie dlatego, że w ogóle nie podejmie walki. Że bez słowa protestu pozwoli dziewczynie dostać się do Praskiej Szkoły Lalkarzy jego kosztem. Tego się wszyscy po nim spodziewali, wiedząc, jak bardzo jest zakochany. Dlaczego w takim razie?...

– Podczas tej rozmowy Walter bardzo specyficznie doprecyzował to zadanie – powiedział, spoglądając manipulatorowi w oczy. – Powiedział mianowicie, że nie chodzi tylko o ochronę. Że zamierza dopilnować, że nic jej się nie stanie, że to nie będzie miało wpływu na jej życie. Że to jej w żaden sposób nie zmieni i ona wciąż będzie Ely, którą kiedyś poznał. Oczywiście – zacerpnał tchu – mógł „pozwolić jej wypełnić swoje zadanie” – powiedział nieco kpiąco. – Mógł dać się zabić. Eliska mogłaby zaliczyć egzamin i trafić do Praskiej Szkoły Lalkarzy. Tylko co dalej? – powiódł wzrokiem po członkach Kolegium. – Czy fakt, że zabiła bliską osobę, nie miałby wpływu na jej życie? Czy studiowanie na uczelni, dopuszczającej tego typu sytuacji, by jej nie zmieniło? – Tymoteusz i Dagon zaczęli szeptać między sobą, wyraźnie niezadowoleni. Podniósł głos. – Nie. Gdyby zdała egzamin i rozpoczęła studia, nie byłaby tą samą, niewinną Eliską. Dlatego nie można tak po prostu powiedzieć, że zabijając ją, nie wypełnił zadania. Miał ją chronić przed krzywdą, także tą psychiczną, i w pewnym sensie to zrobił. Czasami – głos mu zdrzął – czasami żeby chronić ludzi robimy rzeczy, których normalnie byśmy nie zrobili. Które nam wydają się słuszne, chociaż tak naprawdę są straszne i bezsensowne, i wyrządzają jeszcze więcej złego.

– Wzruszające – powiedział Podróżny, lekko klaszcząc w dłonie. W jakiś sposób Martin poczuł się wyśmiany. – Naprawdę, wyciskająca łzy z oczu przemowa. Wasza książęca mość – zwrócił się do Waltera. – Czy istotnie było tak, jak mówi Martin? Czy takie właśnie znaczenie miały twoje słowa?

Walt skinął głową, krótko i po żołniersku.

– Tak.

– Świetnie! – Morty wstał i otrzepał ręce. – W takim razie załatwione. Witam na pierwszym roku Praskiej Szkoły Lalkarzy, chłopcy. To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność móc was uczyć. Podobnie jak dla obecnego tu profesora Septima.

Wspomniany profesor był na razie zbyt zdumiony i dezorientowany, by móc wyrazić swoją

opinię.

– Co? – zapytali jednym głosem Walter, Martin i Greem i Inga.

– Skąd to zdziwienie? Skoro chłopak mówi, że tak było, ja mu wierzę.

– Morty, do jasnej cholery! – warknął Tymoteusz. – Co to za szopka? To my tutaj jesteśmy tutaj od podejmowania decyzji! A jeśli się nie zgadzamy?

– Hm... Martin powie wam o wszystkim, czego się dowiedział podczas swoich poszukiwań, naturalnie łącznie z tym, kto jest mordercą i jakie miał motywy – odparł beztrąsko Morty. Martin uśmiechnął się wyzywająco i pokiwał głową, dając do zrozumienia, że jak najbardziej jest gotów. W myślach błagał, żeby obyło się bez tego. Owszem, wiedział, kto jest mordercą, ale co z pozostałymi informacjami? Czego jeszcze tak naprawdę powinien był się dowiedzieć? – Oczywiście dopilnuję, żeby zostało to uwzględnione we wszystkich oficjalnych raportach – ciągnął pogodnie Morty, uśmiechając się do swoich towarzyszy. – I żeby całe Kolegium i Obrzeża dowiedziały się, że oddaliście szkołę w ręce psychopatki, która morduje każdego, kto za bardzo zbliży się do poznania jej sekretów. Podejrzewam, że mogłoby to wyrzucić dość – zmrużył oczy – rewolucyjne efekty.

To chwilowo zakończyło dyskusję.

– Ale... ale co z klucznikiem? – spytał Dagon.

– Cóż... klucznik. – Morty zakręcił młynka trzymanym w dłoni rzemykiem Canelle. Martin ze zdumieniem spostrzegł, że teraz są na nim cztery kluczyki, nie trzy. Czwarty był najmniejszy i do złudzenia przypominał kluczyk do dziewczęcego pamiętnika. – Dobre pytanie. Obawiam się, że albo mamy do czynienia z amatorem, albo nie mamy już czego szukać.

Dagon zmarszczył brwi.

– Jak to?

– W takiej sytuacji każdy rozsądny klucznik już dawno powinien był... – jeszcze raz zakręcił rzemykiem młynka i beztrąsko wypuścił go z dłoni – ...UCIEC!

Wtedy kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie..

Canelle wyskoczyła z kryjówki, łapiąc rzemyk w locie. Dagon zerwał się, by ją pochwycić, ale Morty wbił mu w nogę czubek swojego parasola i zręcznym kopnięciem przewrócił szklany stolik, tarasując drogę drugiemu z przedstawicieli Rady. Profesora Septima nie trzeba było powstrzymywać. Nawet nie próbował wstać z miejsca. Canelle z kluczami w ręku podbiegła do szafy. Martin skoczył za nią. Pokonał dzielącą ich odległość w dwóch susach i złapał ją za nadgarstek.

A później Canelle otworzyła drzwi.

16. Piekielny rajd

– Co... co my właściwie robimy? – zapytał Martin. Biegli długim, krętym korytarzem. Nie to spodziewał się ujrzeć po otwarciu drzwi od szafy małym kluczykiem od pamiętnika.

– Po prostu mi nie przeszkadzaj, dobra? – zbyła go dość szorstko, całkowicie skoncentrowana na szukaniu drogi ucieczki. – I staraj się nie zgubić. Nie puszczaj mojej ręki.

Za ich plecami rozległy się odgłosy kroków. Ktoś biegł korytarzem. Manipulatorzy. Dagon i Tymoteusz skorzystali z niedomkniętych drzwi i rzucili się w pogoń.

Zacisnęła mocniej w dłoni swoje klucze. Zerwała się do biegu. Martin też. Biegli tak szybko, jak się dało. Widzieli swoje cienie na ścianie korytarza. Słyszeli odgłosy kroków. Mijali kolejne drzwi.

Wreszcie Canelle chyba znalazła te właściwe. Przekręciła klucz w zamku, ale nie chciały się otworzyć. Martin dopomógł jej, rzucając się na drzwi całym ciężarem ciała. Wypadli przez nie i znaleźli się na rozległym placu handlowym. To nie tylko nie wyglądało już jak Praga, ale w ogóle nie przypominało nawet Europy Środkowej. Upał, wszechobecny zapach przypraw i tytoniu. Orientalna muzyka. Jasne, oślepiające słońce, z powodu którego trudno było cokolwiek dostrzec.

– Co? Ale jak...

– Nie gap się – syknęła. – Biegnij!

Ktoś przepychał się przez tłum w ich stronę. Pogoń. Zanim zdążył spojrzeć przez ramię, by zobaczyć, jak duży dzieli ich dystans, Canelle pociągnęła go za sobą. Pobiegli w stronę niewielkiego sklepiku. Pomieszczenie było ciemne, pełne dywanów i odrobinę chłodniejsze niż rozpalony plac handlowy. Drzwi, po dopasowaniu odpowiedniego klucza, prowadziły na otuloną śniegiem uliczkę. Sądząc po charakterystycznych kolorowych domkach, znajdowali się gdzieś w Skandynawii. Martinowi aż zaparło dech w piersiach. Przejście od upału do takiego zimna było zbyt nagłe, zbyt niespodziewane. Nie mogli tracić czasu na przyzwyczajanie się. Pogoń wciąż deptała im po piętach. Zbliżali się.

Drzwi.

Drzwi.

Korytarz.

Coś, co wyglądało jak wioska Indian.

Znów drzwi i tym razem zagracone mieszkanie o oknach z widokiem na Manhattan. Jego właściciel był bardzo agresywny i krzyczał coś o pierdolonych hipsterach, którzy nie znają żadnych granic bezczelności i pełno ich w całym Williamsburgu. Martin miał cichą nadzieję, że ścigających ich manipulatorów potraktuje równie ciepło i przyjaźnie. To mogłoby choć odrobinę spowolnić pościg. Z każdymi kolejnymi drzwiami czuł się coraz bardziej zdezorientowany. Kręciło mu się w głowie i szumiało w uszach. Zupełnie tak, jakby raz po raz wysiadał z samolotu. Ledwie biegł. Canelle również dyszała ciężko i ledwie trzymała się na nogach. Krwawiła z nosa.

– Udało mi się je zapieczętować i nie mogą już z nich skorzystać – wydyszała, opierając się plecami o zamknięte właśnie dwuskrzydłowe drzwi i ocierając krew materiałem koszulki. Powoli osunęła się do pozycji siedzącej. – Mamy chwilę spokoju, przynajmniej dopóki nie znajdą innego wejścia.

Znajdowali się w jakimś magazynie, zimnym i cuchnącym rybami.

– Jesteś... – Popatrzył się na nią z mieszaniną podziwu i bezsilnej złości. – Jesteś nienormalna.

I do tego cała we krwi, jakby ktoś cię pobił.

– Ty też – uśmiechnęła się zaczepnie. Martin przyłożył dłoń do nosa. Rzeczywiście, również krwawił. Na wszelki wypadek zajął pozycję siedzącą i pochylił się do przodu, próbując jednocześnie jakoś zatamować krwotok. – To przez zmiany ciśnienia, kiedy się robi bardzo duże skoki. Morty mi to kiedyś tłumaczył... – Machnęła niecierpliwie ręką. – Mniejsza o to, Kocie. Mamy mało czasu, a musimy zająć się naszą sprawą.

Potrząsnął z niedowierzaniem głową. Ledwie żyła, ale wciąż jeszcze miała siłę na tą głupią zabawę w detektywów z komiksów Klary?

– Co tu jeszcze jest do...

– Nie zauważyłeś? – spytała z odcieniem satysfakcji. Znowu dostrzegła coś, czego on nie dostrzegł. Znów była mądrzejsza. – Naprawdę nie zauważyłeś?

Nawet nie miał dość sił, by spytać, czego tym razem nie zauważył. Po prostu posłał jej pełne zmęczenia i irytacji spojrzenie.

– Chodzi o informacje – powiedziała uroczyście. – Oni wcale nie bali się tego, że powiesz, kto jest mordercą. Przestraszyli się dopiero, kiedy wspomniałeś o tym, że Klara zdołała zebrać jakieś informacje. To, co sugerował później Morty – że poznała sekrety Eriki Ekhart.

– Sądziś... – zmarszczył brwi. – Sądziś, że to ważne?

– Pomyśl tylko. – Jej cyrkonowe oczy rozbłysły dziwnym blaskiem. Nierówno obciążona grzywka była potargana i sterczała na wszystkie strony. – Przypomnij sobie, co wszyscy tutaj o niej mówią. Nawet nasi znajomi manipulatorzy wydawali się poirytowani wprowadzonymi przez nią przepisami. Wszyscy się jej czepiają, wszyscy uważają, że tylko dla jakiegoś chorego wymysłu zmieniła uczelnię w miejsce, które wzbudza strach. Nie dziwi cię, że mimo to od pięciu lat wciąż siedzi na tym stołku i nikt jej z niego nie zrzucił?

Zmarszczył brwi. Rzeczywiście. Dawało to trochę do myślenia. Dziw, że sam na to wcześniej nie zwrócił uwagi. Nie usprawiedliwiała go ani skołowanie, ani natłok wrażeń, ani przeświadczenie, że przecież wszystko wokół jest dziwne. Nie ma żadnych oczywistości. Nie można niczego traktować jak oczywistość.

– No więc... – odkaszlnął i potulnie popatrzył na Canelle. Była niecierpliwa i nadmiernie wścibska, i uwielbiała ryzyko, ale gdyby nie ona, zginąłby pierwszego dnia trwania egzaminu. – Masz jakąś teorię, Inspektorze Ciastko?

– Ona musi mieć coś, dzięki czemu trzyma wszystkich w szachu – powiedziała dziewczyna. – Skoro nawet Rada tak naprawdę nie ma śmiałości jej tknąć i boi się, że ktoś dowie się za dużo. Nie wiem, co to jest, ale myślę... wydaje mi się, że Klara wiedziała. Że stanowiła dla Eriki realne zagrożenie i dlatego musiała zginąć.

– Ale skąd niby miałyby wiedzieć?!

Nagle Canelle poderwała się na równe nogi i rozejrzała niespokojnie. Minę miała poważną. W oczach chyba po raz pierwszy od początku podróży błysnęło przerażenie. Przerażenie tak wielkie, że Martin instynktownie poderwał się na nogi. Niemal od razu zakreśliło mu się w głowie.

– Są blisko – powiedziała cicho. – I tym razem mają ze sobą kluczników.

– To... to źle, prawda?

– Nie za dobrze. Do tej pory udawało nam się uciec, bo Morty ich olał i nie pobiegł za nimi. Ale jeśli mają prawdziwych kluczników... Martin, nie uciekniemy im oboje.

Nie mógł zaprzeczyć. Ledwo trzymali się na nogach.. Wiedzieli, że wróg jest w pobliżu i trzeba się spieszyć. Mimo to ich ruchy były powolne i ospałe. Zaciśnięta na kluczu dłoń Canelle

drżała. Martin zacisnął ręce w pięści. Był bezsilny, nie potrafił wskazać odpowiednich drzwi ani otwierającego je klucza. Mógł co prawda popchnąć je, gdy się zacięły, ale to było za mało. To ze względu na niego przewodniczka starała się zbytnio nie ryzykować. Oczywiście tego nie przyznała, ale wiedział, że tak jest. Już kilkakrotnie podbiegała do jakichś drzwi, po czym zerknęła na niego, kręciła głową i szła dalej. Przeszkadzał, był zbędnym balastem. I tak naprawdę wcale nie musiał uciekać. Wiedział, że jest w stanie odpowiednio rozegrać sytuację. Miał kontrolę. Członkowie Rady musieli na niego uważać, przynajmniej tak długo, jak utrzymywał ich w przekonaniu, że zna sekrety Eriki Ekhart i jest gotów je ujawnić. Oczywiście, niewykluczone, że będą próbowali się go pozbyć, skąd jednak mogą mieć pewność, że już komuś nie powiedział i że jego usunięcie nie utrudni zamykania sprawy pod dywan?

Mógł wrócić i rozpocząć naukę na wymarzonej uczelni, jak bardzo ironicznie by to nie brzmiało.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Oboje wiedzieli, co trzeba zrobić i mieli świadomość, że to jedyne wyjście, żadne jednak nie chciało być tym, które rzuci propozycję. Canelle nie chciała przyznać, że Martin jest dla niej utrudnieniem i bez niego poruszałyby się dużo szybciej. On nie chciał jej zostawiać tylko dlatego, że miał taką możliwość.

Wreszcie to Canelle zdecydowała. Wybrała jeden z kluczy i ostrożnie przekręciła go w zamku.

– Te drzwi prowadzą teraz na Złotą Uliczkę – powiedziała cicho. – Nawet jeśli przez nie przejdziesz i zaraz po tym zemdlejesz, zajmą się tobą alchemicy. To lepiej, niż gdybyś został tutaj.

– Co z tobą? – spytał. Jego głos był dziwnie zduszony i bezradny.

– Poradzę sobie. – Posłała mu jeden ze swoich wyjątkowo przebiegłych uśmiechów. – Jestem przecież Mrocznym Ciastkiem Zagłady. – Delikatnie oparła dłoń o jego przedramię i rezolutnie popatrzyła mu w oczy. – Kiedy zamknę za sobą te drzwi, otworzę następne. Tym nowym kluczem, który dostałam dzisiaj od Mortimera. Nie użyłam go wcześniej ze względu na ciebie. – A więc jednak zdobyła się na to, by się przyznać. – Bez względu na to, gdzie wyląduję i jak daleko od domu będę, postaram się odkryć, czego dokładnie Klara dowiedziała się o Erice Ekhart – zapowiedziała. – I oczekuję, że zrobisz to samo, inspektorze Kot.

– Załatwione.

– Bardzo... – wzięła głęboki oddech – bardzo podobało mi się to, jak broniłeś Waltera – powiedziała nieśmiało. – To, co mówiłeś. Że czasami próbując chronić ludzi, robimy głupie, złe rzeczy i nawet pogarszamy sytuację.

– To było o tobie – odparł surowo marszcząc brwi. – I o Klarze.

– Wiem. Przepraszam.

Wspięła się na palcach i lekko pocałowała go w policzek. Pchnęła otwarte już drzwi i wycofała się. Martin zrobił kilka chwiejnych kroków w tył. A później usłyszał skrzyp zamykających się za nim wrót i stracił świadomość.

Obudził się, czując zawroty głowy i suchość w ustach. Był sam w zupełnie obcym pokoju. Wysoki sufit, wysokie okno, typowe stare budownictwo. Niewielki pokój pomalowano na biało i urządzono dość skromnie: łóżko, szafa, biurko i krzesło. Nic, co wykraczałoby poza standardy przeciętnego pokoju w akademiku. Na podłodze leżała jego sportowa torba. Gitara stała oparta o krzesło, a Daimon wisiał na krzyżaku na ścianie, wpatrując się w niego zielonymi oczami. Na drewnianym biurku leżały równo złożone ubrania. Czarne spodnie. Szara bluza z kapturem i długimi rękawami, sięgającymi do połowy palców. Rękawiczki z miękkiej skóry. Założył jedną,

zmierzył. Wydawała się idealna, miękka w dotyku, wygodna. Z podobnej skórki wykonane były wysokie, wiązane buty.

Strój adepta?!

Jeszcze raz niepewnie zerknął na wiszącą na ścianie marionetkę. JEGO marionetkę.

Czy to... czy to była Praska Szkoła Lalkarzy? Czyżby jednak się dostał?

Podszedł do Daimona i zdjął go ze ściany. Od niechcienia wziął krzyżak do ręki i zaczął nim poruszać. Szło mu niezwykle łatwo. Swoboda. Lekkość. Umysł czysty jak tafla lodu. Lalka wypełniała każde jego polecenie, reagowała na najdrobniejszy ruch.

Nagle drzwi do jego pokoju otworzyły się. Stał w nich Walt, ubrany w czarne spodnie i szarą bluzę z kapturem. Dobrze prezentował się w mundurku, choć był nienaturalnie blady, a lewą dłoń wciąż miał pokrytą grubą warstwą bandażu. Rana najwyraźniej okazała się głębsza, niż z początku przypuszczali.

– Wreszcie się obudziłeś – powiedział typowym dla siebie pełnym zadumy głosem. Podał Martinowi trzymaną w zdrowej dłoni szklanekę wody. Ból w jego oczach był przytłumiony, ale wciąż obecny. – I widzę, że udało ci się dostroić marionetkę. Ja nad moją ciągle pracuję.

– Idzie mi o wiele łatwiej niż ostatnio. Zaraz. – Martin zmarszczył brwi. Delikatnie ułożył Daimona na łóżku. – Jak to: wreszcie?

– Spałeś ponad dwa dni. Mortimer mówi, że to normalne po piekielnym rajdzie. Skutek uboczny. Chociaż ja, Inga i Greem zczynaliśmy się już martwić.

– Piekielnym rajdzie? – Martin upił łyk wody. Przypomniał sobie dziwną podróż z Canelle. Różne drzwi, prowadzące do różnych miejsc. Nie, to nie była prawda. To mu się przyśniło. Zapadł w sen jako poczwarka pod łóżkiem w jednym z pokoi w rezydencji Waltera. Przyśnił mu się i egzamin, i późniejsza desperacka ucieczka Canelle.

– Canelle cię porwała. Albo ty złapałeś się jej. To stało się tak szybko, że naprawdę trudno stwierdzić... Znaleźliśmy cię dopiero na Złotej Uliczce. Właściwie to opiekunowie Greema cię znaleźli i dali nam znać, że tam jesteś.

– Canelle... – Cynamonowe Ciastko. Klucz w dłoni. Kolejne zamki, kolejne drzwi. Złociste iskierki determinacji w jasnobrązowych oczach. Rzemyk przecinający gardło.

– Nie wiadomo, co się z nią stało – przyznał ze smutkiem Walt. Jego też to gnębiło. – Pozostawiła cię w miejscu, w którym byłeś względnie bezpieczny i ruszyła w dalszą drogę. Udało jej się zgubić pogoń, ale... sama chyba też zniknęła albo trafiła na jakieś zapieczetowane drzwi. Podróżny próbuje ją odnaleźć, ale na razie bez rezultatu. – Martin przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę. Obietnicę i pożegnanie, które przecież tak naprawdę wcale nie musiało być pożegnaniem. Po prostu nowy podział obowiązków.

– Canelle miała swoje powody, żeby tak postąpić – powiedział cicho Walt. – Nie tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo, ale także ze względu na siebie. – Martin posłał mu pytające spojrzenie. – Ona też ma coś, co zagubiła po drugiej stronie, zdecydowała się wyruszyć w tę podróż, bo ma nadzieję to odzyskać. Na pewno znajdzie drogę – powiedział pocieszająco książe. – Zawsze jakoś znajduje.

Martin pokiwał głową. Kompletnie nie rozumiał, jakim cudem Walt jest w stanie mówić tak spokojnie, nawet go pocieszać. Może wciąż był w szoku.

– Wiem – westchnął. – Coś mi obiecała. W każdym razie skoro ty też tu jesteś, wygląda na to, że... obaj się dostaliśmy? – zaryzykował.

– Tak – potwierdził książe. Jego głos zabrzmiał dziwnie głucho. – Obaj jesteśmy tu dzięki tobie.

Martin spuścił wzrok. Nie miał pewności, jak powinien to odbierać. Wdzięczność? Pełen pretensji sarkazm? Książę chyba sam nie wiedział.

– Pani Althan też jest zajęta szukaniem Canelle – mówił Walter, chcąc jakoś zmienić temat. – Nie miała możliwości się tobą opiekować, kiedy byłeś nieprzytomny. Podróżny doszedł do wniosku, że najciemniej pod latarnią, więc skoro i tak już zdałeś swój egzamin, najlepiej umieścić cię od razu tutaj.

– Tutaj, czyli właściwie gdzie? – spytał nieufnie Martin. Podszedł do okna i lekko uchylił zasłonkę. Dziedziniec, który widział w dole, wydawał mu się podejrzanie znajomy. Aż za bardzo znajomy. Ale przecież to nie może być...

– W budynku Praskiej Szkoły Lalkarzy. W Klementinum.

Martin popatrzył na towarzysza z niedowierzaniem.

– Ale czy ono nie jest przypadkiem...

– Poddawane renowacji i częściowo zamknięte? – uśmiechnął się krzywo książę. – Jest, sam zobacz.

Na podwórzu stała dość duża ciężarówka, zaś pracownicy w pomarańczowych, odblaskowych kamizelkach uwijali się wokół, wyładowując sprzęt budowlany.

– Idea jest taka, że tutaj zawsze jakieś części budynku były i będą zamknięte i niedopuszczone do użytku – wyjaśnił książę, przyglądając się ich dość powolnej pracy. – Teraz ta rewitalizacja, jak skończą, to pewnie coś się zawali albo zostanie zalane i będzie wymagało pilnej i mozolnej naprawy. A szkoła działa sobie w najlepsze, nikomu nie przeszkadzając.

– Ale... Klementinum? – Martin cały czas potrząsał przecząco głową. Znał ten budynek od dziecka. Zwiedzał go podczas wycieczki szkolnej. Mijał, jeżdżąc na warsztaty teatralne. Kilka razy był tu z rodzicami na koncercie muzyki klasycznej. – W życiu bym się nie domyślił. Dokumenty wysyłałem pod zupełnie inny adres...

– I prawdopodobnie jesteś jedyną osobą, która to zrobiła – zauważył nieco zgryźliwie Walter. – Ale owszem, na wszystkich listach z Kolegium widnieje adres, pod którym całkiem przypadkowo znajduje się też pierwszy czarny teatr. To tylko adres kontaktowy, nikt dowiaduje się, gdzie znajduje się siedziba uczelni, dopóki nie zda egzaminów wstępnych – zapewnił go Walter. – Ja sam wiedziałem tylko dlatego, że Greem się wygadał jeszcze zanim sam dostałem list.

– Więc w sumie... – Martin przysiadł na szerokim okiennym parapecie. – Wychodzi na to, że siedzibą Kolegium Iluzji i Manipulacji jest budynek dawnego kolegium jezuitów? To dość...

– Bezcelne, prawda? – uśmiechnął się krzywo Walter. – Taki mają styl.

– Tylko w tym przypadku tak jest? Czy wszędzie?

– Wszędzie – odparł poważnie książę. – Prawo ustanowione niegdyś przez Kolegium mówi, że każdy budynek, który ma w swojej obecnej lub historycznej nazwie słowo „kolegium”, jest własnością Kolegium Iluzji i Manipulacji i może zostać przez nie wykorzystywany w dowolny sposób. Niekoniecznie jako szkoła lalkarzy, bo tych nie ma znowu aż tak dużo – tłumaczył, ze znużeniem przyglądając się robotnikom w pomarańczowych kamizelkach. – Ale na przykład jako szkoła przygotowawcza, biblioteka, instytut badawczy... Zazwyczaj nie brakuje im pomysłów.

– Naprawdę wszędzie? – zaniepokoił się Martin. – Znaczy... jeśli w Cieszynie, gdzie mieszka moja ciocia, jest budynek kolegium nauczycielskiego, to...

– Tak – odparł ponuro Walter. – Tam też. Oni są wszędzie. A właściwie... – popatrzył Martinowi prosto w oczy – my jesteśmy wszędzie.

Przez chwilę obaj milczeli, wyglądając przez okno. Do Martina dopiero teraz w pełni dotarło to, jak wielka jest organizacja, której częścią właśnie się stał. Może i rzeczywiście słaba, tak jak twierdziła Iskra, może źle zorganizowana, co podkreślał Podróżny, ale bez wątplenia wielka.

– Jest tutaj ktoś oprócz nas? – zapytał Martin, przerywając ciszę. – No wiesz, z uczniów?

– Greem, Inga i Aisling, i te dwie dziewczyny z trzeciego roku – odparł książę. – Z naszego rocznika jesteśmy tylko my dwaj. Pozostali mają jeszcze kilka dni, żeby dotrzeć. A, i wygląda na to, że zostaliśmy sąsiadami.

– Przykro mi – uśmiechnął się kącikiem ust Martin. Walter odpowiedział szczerym, sympatycznym uśmiechem.

– Cóż... – Lekko skłonił głowę. – Chyba jakoś to przeżyję. – Jego wzrok padł na leżącego na łóżku Daimona. – Dalej zamierzasz zostać najlepszym lalkarzem w historii?

– Nie – odparł Martin, patrząc na niego uważnie. – To już nie jest mój jedyny cel.

– A co zamierzasz?

– Poznać sekret tej uczelni – odparł cicho. – I dopaść Erikę Ekhart.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Anna Karnicka



Rocznik '89. Fizycznie spod Łodzi, duszą i sercem z Krakowa. Studiowała na Uniwersytecie Łódzkim. Tłumacz języka angielskiego. Pasjonatka literatury, szczególnie fantastyki, a zwłaszcza Tolkiena oraz powieści dla młodzieży. Lubi się bać. Fascynuje się miejskimi legendami i strasznymi opowieściami krążącymi po Internecie. Uwielbia podróżować, a w szczególności jeździć pociągiem. Zbiera klucze.

Spalić wiedźmę

Magdalena Kubasiewicz



Sara Weronika Sokolska, zwana Saniką, w niczym nie przypomina nadwornej czarodziejki. Młoda, żywiołowa i dzika jak magia, którą włada, stanowi jedną z największych tajemnic królewskiego dworu. Nie wiadomo, gdzie uczyła się magii i kto był jej mistrzem, ani nawet skąd przybyła do Krakowa. Plotki mówią, że jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą króla Julina, a może nawet kimś więcej. Media donoszą o jej spektakularnych wyczynach: polowaniach na biesy, inkuby i strzygi, o pojedynkach z członkami Łoży Czarodziejów.

Wydaje się, że Sanika jest najpotężniejszą czarownicą w Polanii i tylko szaleniec mógłby rzucić jej wyzwanie. A jednak nawet moce wiedźmy mogą okazać się niewystarczające w starciu z przeciwnikiem, który pragnie zniszczenia Krakowa. Wrogiem, za którym stoi pradawna i niezwykle potężna magia...

„W alternatywnej, przesyconej magią rzeczywistości monarchii Polanii rządzi król Julian, a drugą co do ważności osobą po władcy jest Pierwsza Czarownica, harda i nieugięta Sara Weronika Sokolska. Gdy nad Krakowem zawisa widmo czarnoksiężskiej apokalipsy, to ona staje przed wyborem: chronić miasto czy... siebie.

Magdalenie Kubasiewicz udało się zgrabnie wpisać motywy z krakowskich legend w nowoczesność, a baśniową symbolikę połączyć z wartką akcją. Smok wawelski, czarnoksiężnik Twardowski, diabeł z Krzysztoforów zyskują nowe oblicze, ale to pyskata Sara skradła moje serce.”

Agnieszka Hałas, autorka cyklu *Teatr węży*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/spalic-wiedzme-magdalena-kubasiewicz/>

Okup krwi

Marcin Jamiołkowski



Herbert wiecie spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiolkowski/>

Order

Marcin Jamiołkowski

Marcin Jamiołkowski



Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zaginął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwerbowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom?

Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” - mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzą? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

„Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wplątać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy.

Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora.

Dodatkowy plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.”

Romuald Pawlak, autor bestsellerowych powieści *Armia ślepców*, *Inne okręty* i *Rycerz bezkonny*

DRUGI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/order-marcin-jamiolkowski/>

Bezseni

Marcin Jamiolkowski



W stolicy wybucha seria tajemniczych pożarów. W dziwny sposób łączą się one z niezwykle błękitnym płomieniem, który nawiedza sny młodej blogerki, wabiąc przypadkowe ofiary i paląc je na popiół. Ktoś lub coś morduje Bezsennych, ulubieńców Złotej Kaczki, niepodzielnie władającej magiczną Warszawą.

Herbert Kruk jak zwykle ma szczęście – lub pecha – znaleźć się w samym centrum wydarzeń.

Czy mag wygra wyścig z czasem i zdoła ponownie ocalić stolicę? Jakie intryki rozgrywają się na Dworze Złotej Pani? Czy agent rosyjskiego Archiwum X okaże się sojusznikiem, czy może śmiertelnym wrogiem? Jaką cenę trzeba będzie zapłacić za pomoc rusalki? I wreszcie – czy warszawski czarodziej zdoła uratować swoją matkę, od lat zamkniętą w magicznym kryształce?

Herbert Kruk z tomu na tom coraz bardziej zaskakuje i zmienia się jak Warszawa, która już teraz tętni magią i mocą.

TRZECI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/bezsenni-marcin-jamiolkowski/>

Idź i czekaj mrozów

Marta Krajewska



W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyry i strzygonie, młodzieńca Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”

Paweł Majka, autor *Pokoju światów*, zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

„Autorka wymieszała z wprawą dobrze wyszkolonej zielarki elementy demonologii i mitologii słowiańskiej, komponując własną, smakowitą mieszankę.”

Witold Jabłoński, autor cyklu *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer*

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/>

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina

Jacek Wróbel



W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i dawnymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłódami rzucanymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

„Życie wędrownego maga i alchemika powinno być usłane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu „Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orżnięci klienci potrafią całe lata chować urazę...”

Andrzej Pilipiuk, jeden z najpoczytniejszych polskich pisarzy fantastycznych, „ojciec” Jakuba Wędrowicza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/cuda-i-dziwy-mistrza-haxerlina-jacek-wrobel/>

Redlum

Katarzyna Rupiewicz



Najbardziej epickie przygody zawsze rozpoczynają się w karczmie. Dlaczego jednak nie pozostać w niej do samego końca? Zaintrygowani?!

Witajcie w Redlum, mieście potworów, gdzie rzeczywistość przeplata się z magią, a reguły wolnego rynku z brutalnymi prawami natury. Wjeżdżacie na własną odpowiedzialność! W naszym pięknym mieście możecie wiele zyskać, ale również w okamgnieniu wszystko stracić.

Karczma Słodkiego jest jedynym miejscem, gdzie cichną spory i waśnie, a wszyscy – zarówno mieszkańcy, jak i przyjezdni – mogą zaznać chwili spokoju. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom. Słodki nie jest człowiekiem, a jego klienci również nie wydają się szczególnie normalni. Szczerze mówiąc, to przeważnie potwory. Ale najgorsze bestie czają się gdzieś tam... na zewnątrz.

Czy Redlum przetrwa? Wydaje się, że nawet tego nie chce!

Czytałam tę książkę dwa razy i za drugim podobała mi się jeszcze bardziej niż za pierwszym. Jest w „Redlum” humor, który w idealnych proporcjach łączy się ze scenami chwytającymi za serce, jest sympatyczny główny bohater, są tajemnice oraz oryginalny pomysł na miejsce akcji. I wreszcie jest efektowne zakończenie, które zgrabnie spina w całość rozrzucone wcześniej tropy. Polecam.

Anna Kańtoch, pięciokrotna zdobywczyni Nagrody im. Janusza A. Zajdla i zdobywczyni Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/redlum-katarzyna-rupiewicz/>

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY

IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY

IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

Studnia Zagubionych Aniołów

Artur Laisen



Astronom ze Szklanej Wieży nieustannie śledzi splątane linie losu, różne światy połączone wspólnymi historiami, dziejącymi się wciąż od nowa. Każda z nich jest osobną opowieścią, będącą zarazem częścią nieskończonej całości. Każdy bohater ma tam swoje miejsce, swój czas i rolę.

Młodzi warszawiacy – Joanna, Tomasz, Kinga i Michał – niespodziewanie zostają wyrwani ze znanej im codzienności. Przekroczwszy granice naszego świata, odnajdą się w baśniowym Hamanie – krainie, której idylliczność może okazać się jedynie kruchą skorupą, skrywającą niepokojące i niebezpieczne wnętrze. O co toczy się gra, w którą zostali wplątani? Na czym polega niebezpieczeństwo zagrażające Światowi Błękitu? Czy zbliżająca się kometa naprawdę zwiastuje powrót Mrocznej Gwiazdy – tajemniczego Demona z Zewnątrz, o którym wspominają pradawne legendy? Podejmując wyzwanie uczestnictwa w nadchodzących wydarzeniach, każdy z przybyszów będzie musiał odnaleźć własną opowieść.

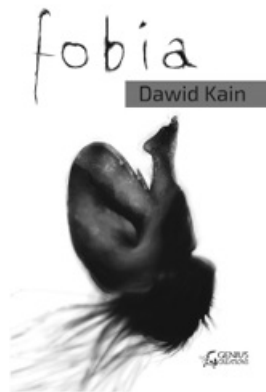
Mityczni Jeźdźcy Światła uwięzieni w Studni Zagubionych Aniołów czekają...

Studnia Zagubionych Aniołów otwiera sagę fantasy Teraia

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/studnia-zagubionych-aniolow-artur-laisen/>

Fobia

Dawid Kain



Bliska przyszłość, w której ludzie zasłonili sobie świat nakładkami nowej sieci – Immersjonetu, żyjąc w gigantycznych kompleksach mieszkalnych, z całodobową obsługą dronów i botów.

Magdalena Kordowa musiała porzucić studia i znajomych, by zaopiekować się ojcem – pisarzem, który postradał zmysły w pogoni za arcydziełem. Ten pewnego dnia zniknął, zostawiając po sobie jedynie ostatnią powieść, „Kres Komunikacji” skrywającą wskazówki dotyczące swojej niewytłumaczalnej ucieczki.

Zrozpaczona córka rozpoczyna poszukiwania, na przeszkodzie stoi jednak pewien „drobny” problem. Magda, jak wielu jej rówieśników, cierpi na batofobię, skrajną odmianę lęku przed głębią.

Czy można przeszukać cały Kraków bojąc się wyjść z domu?

Gdzie tak naprawdę znajduje się zmierzający ku zagładzie świat równoległy, dotknięty epidemią milczenia?

I jak spojrzeć w otchłań myśli szalonego ojca, wiedząc że bezpieczne jest tylko ślizganie się po powierzchni rzeczywistości?

Na te i inne pytanie odpowie wyłącznie „Fobia”.

„Fobia to zaskakująca powieść, w której z każdą kolejną stroną treść kształtuje formę i na odwrót. Można mówić, że takiego eksperymentu w polskiej literaturze jeszcze nie było, ale po co? Dawid Kain nie potrzebuje reklamy, wystarczy, że po raz kolejny udowodnia, że jego wyobraźnia nie zna granic.”

Aleksandra Zielińska, autorka powieści *Przypadek Alicji*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/fobia-dawid-kain/>



KUPUJ W
madbooks.pl